

Regina Godlewska

MAŁANKA

„ - Ach, królowo... kwestie krwi to najzawilsze problemy na świecie!”

M. Bułhakow, Mistrz i Małgorzata

"Jam jest..."

J. Heller, Bóg wie

- Ożenisz się z tą dziewczyną, urodzi syna, dużo synów, i skończymy na zawsze z żydostwem. Żadnych córek.

- Mame, z gojką? I ja jej nie kocham.

- Gojka nie gojka, kochasz nie kochasz, masz się żenić. Chcę synów.

Kazała, więc się ożeniłem, wcale nie dlatego, że wpędziłem dziewczynę w ciążę, ale dlatego, że mamele zobaczyła w niej matkę dla swoich wnuków. Była zachwycona dziewczyną, mną i sytuacją. A głównie sobą; mogła dalej rządzić, wpić się we mnie i w moje życie, do cna zlikwidować przerwę w panowaniu nade mną. Przyznaję, ożeniłem się chętnie, bo chociaż nie byłem zakochany, dziewczynę lubiłem bardzo, a jeszcze bardziej seks. Alina była świetna w łóżku i - co ważniejsze - rodziła z ochotą i jak na zamówienie. Samych chłopców! A ja, cóż: choć pracowałem w banku, nie byłem Kafką, fakt. Do tego na złość matce przestałem pisać wiersze, dobrze więc, że przynajmniej co do synów gotów byłem zaspokoić jej pragnienia.

Po kilku karkołomnych operacjach lokalowych zamieszkaliśmy w dużym mieszkaniu na parterze z używalnością sporego ogródka, do którego dokupiliśmy kawałek sąsiedniego sadu. Przy każdej zamianie mieszkań napadałem na matkę:

- Wykorzystujesz swoje znajomości i moje pieniądze!

Za każdym razem przyrzekała, że nigdy więcej, i zawsze było tak, jak w Antwerpii, gdzie mnie odnalazła zaraz po

wojnie i wyciągnęła z tego „bagna”, jak nazwała dom, który mnie dla niej ocalił. Sam wiedziałem, że to stary burdel, ale po ucieczce z Holandii tam właśnie znalazłem pracę szlifierza soczewek, diamentów i rubinów; po dwóch latach praktykowania w Amsterdamie to umiałem robić najlepiej. A ten antwerpski rzemieślnik - intelektualista tylko na mnie spojrzał i, spokojnie oglądając wizytówkę pana Ludwika, powiedział:

- Dziosi Broon, klajn Bubern, też dobrze. Mieszkać będziesz obok, idź przez te drzwi prosto i na prawo. - I zaraz krzyknął: - Titi!

Nie słuchałem, co mówił piękną francuszczyzną do starej, rozczochranej kobiety, było mi wszystko jedno. Dużo później poznałem historię domu, który mnie przyjął; wtedy od razu rzuciłem się na szerokie łóżko w bezokiennym pokoju mieszczącym jeszcze skrzynię, maszynę do szycia i wielki fotel, ozdobiony wstążeczkami, bukietkami, koralikami i kokardkami. Titi zgasiła światło, zasnąłem i obudziłem się po ciemku cichy, spokojny i rozprawiczony. Dostałem jeść i znowu zasnąłem, i znowu byłem rozprawiczony, a Titi miała trzydzieści sześć lat i mówiła do mnie: „Dziecinko”.

Po trzech latach, kiedy matka przez ciocię Felę w Paryżu i pana Ludwika w Amsterdamie dotarła do rzemieślnika w Antwerpii, znalazła mnie w tym właśnie pokoju. Coś długo szukała swego syna, było już lato czterdziestego szóstego roku, ale znalazła. Eee tam, znalazła. Dopadła. Nie chciałem wracać do Warszawy, nie chciałem studiować. Powiedziałem jej, siedemnastolatek, że już skończyłem uniwersytet, pokazałem skrzynię, coś plotłem o wykładach mojego pryncypała - nie chciała słuchać, wytrzeszczyła oczy, wymachiwała wąską czarną torebką jak tasakiem i krzyczała, co jej jestem winien, bo ma tylko mnie.

- Nie oddam dziecka dziwkom! Należysz do mnie! - wyła na cały dom. A potem poruszyła wszystko: gminę żydowską, komórkę partii komunistycznej, antwerpską policję i gazety. No i zarząd portu, bo uparłem się zabrać skrzynię, której wypalone w drewnie oznakowania wskazywały na właściciela, a nie byłem nim wcale ja. Oczywiście, że jej się udało. Kazała załadować skrzynię i maszynę do szycia w dwie wielkie paki i na najbliższy statek, a potem mnie, niechętnego i ciągle jeszcze otumanionego, powlokła na grób ojca. Dziewuszki, do których zacząłem tęsknić już w chwili odjazdu, wołały za dorożką:

- Dziosi, Dziosi, uciekaj!

Matka jednak trzymała mnie mocno i tylko warczała:

- Ja ci dam Dziosi! Ziutek jesteś! Moje dziecko! Bałem się odezwać, wiedziałem, że gotowa jest wskoczyć na kozioł i pogonić konia, więc tylko skuliłem się i zatkałem uszy.

Dopilnowała mnie, a jakże. Miałem być dzieckiem, jej dzieckiem. Mogłem tylko kaprysić. A że za nic nie chciałem studiować architektury, matka starannie obejrzała moją skrzynię, pocmokała nad książkami i zdecydowała:

- Prawo. Pójdiesz na prawo. Łacinę i języki masz już właściwie zaliczone, te starożytności i logika też są do wykorzystania, nie będzie ci trudno. A lekcje rysunku u Syrkusów i tak będziesz brać, ze względu na pamięć ojca - dowodziła. Widziałem, jak szybko to wszystko wykombinowała na podstawie zawartości mojego „skrzyniowego” uniwersytetu, i wiedziałem, że rysunek ma być hakiem, na którym mnie powiesi, jeśli nie będę chciał kuć na studiach prawniczych. Podałem się, pokręciłem trochę na uniwersytecie i jesienią rzeczywiście zacząłem studiować. Długo nie wytrzymałem, pod koniec roku akademickiego bryknąłem i po dwudziestu pięciu godzinach wylądowałem w Amsterdamie. Tak jakoś wmieszałem się w powracającą z

jakiegoś zjazdu grupę młodych Żydów, że bez żadnych problemów udało mi się przekroczyć obie granice. Poczułem, że żyję.

Pan Ludwik nie zdziwił się ani moją osobą, ani opowieścią, był jednak trochę zakłopotany. Powiedziałem więc, że tylko skoczę do Antwerpii i wracam do matki, ale od razu mnie przejrzał i kazał najpierw zatelefonować. Niech będzie, dobre i to; umówiłem się, że Titi przyjedzie do mnie. Zamiast niej zjawiała się bardzo młoda i bardzo piękna dziewczyna; dowiedziałem się, że Titi umarła, a ona, Maria, jest jej córką i właśnie zaczęła studia. Opiekował się nią mój mistrz, nie powiedziała jednak, czy jest jej ojcem. Pamiętał mnie! Warsztat prosperował po dawnemu, ale dziewczęta się rozbiegły - Mimi wyszła za męża, Leda wyjechała do Paryża, Pina otworzyła sklep, a Bibi wróciła na wieś, gdzie miała rodzinę i syna. Maria przywiozła pozdrowienia od starego i mały prezent - lupkę używaną przeze mnie w warsztacie i sto dolarów wetkniętych w książkę, którą czytałem przed wyjazdem. Dziewczyna spieszyła się „do domu”, jak powiedziała. Znowu musiałem się poddać. Pan Ludwik załatwił mi jakieś papiery, kupił bilet i szybko wyprawił do Warszawy, przypominając delikatnie o miłości matki. Trochę mnie korciło, żeby pod fałszywym nazwiskiem prysnąć w świat, ale skoczyłem tylko do Paryża. Chciałem zobaczyć się z Felą, może mnie jakoś wybroni. Bardzo mi rada, zapomniała o wojnie, mąż został profesorem i otworzył własną klinikę. Dominika kończyła studia, chłopcy dobrze się uczyli. Jest bardzo dobrze, nawet świetnie. Cholera, nawet palca sobie nie skaleczyli.

Trochę ją wypytywałem o różaniec, który matka zawsze nosi w torebce.

- Och, Lili go dostała od nas w prezencie ślubnym. Charles go gdzieś zdobył. Lili mówiła, że te koraliki ocaliły

jej życie, różaniec jest do modlenia się, więc jak ją ktoś paluchem trącił i pokazał gestapowcowi, że "Jude!" - to Lili zaczęła się modlić i broniła różańca, aż się popłakała. Oni pomyśleli, że na pewno katoliczka, i dali spokój, a ten Niemiec to ją poklepał po plecach... ale co było dalej, zapomniałam, chociaż poczekaj, Lili pisała...

Zapomniała! Chryste Panie, rodzona siostra nie pamięta takich rzeczy, zapomniała raz - dwa, i już. Nie czekałem na odszukanie listów, uściskałem moją dobrą ciotkę i wróciłem do domu. Matka nic nie powiedziała, chociaż nie było mnie tydzień, a pan Ludwik z pewnością o wszystkim ją zawiadomił; znali się dobrze sprzed wojny, a poza tym mieszkaliśmy wtedy w jego ocalałej garsonierze w Alei Róż.

Jak cielę na rzeź, ot co. Teraz to mnie dopiero pilnowała, ta moja mame! Pojęła, że marzę o szlifowaniu diamentów i obrabianiu dziewczuszek, więc tak wszystko pourządzała, żebym nie musiał pracować i był skazany na wstrzemięźliwość. Studiowałem zatem, pisałem wiersze, ukrywałem przed nią romans z Olgą i jazzowe wieczorki. Na lekcje rysunku chodziłem pilnie prawie przez cały rok. Byłem potulny. Ona bezwzględna. Dopiero kiedy w moim życiu pojawiła się Alina, matka odpuściła. Oczywiście na początku próbowała dziewczynę zniechęcić. Już po półgodzinnej rozmowie przy pierwszym podwieczorku powiedziała jej słodko, że może być spokojna, bo chociaż tyle czasu przestawałem w burdelu z dziewczynkami, jestem zdrowy.

- Nic nie złapał - mówiła, jakby to jej zasługą była zdrowotna kuratela Titi. I to „przestawał"! Dobre sobie! Opowiedziałem o tym wszystkim Alinie dużo wcześniej, ale cóż może przeszkodzić zakochanej kobiecie? No i Alina była w ciąży.

Szybko znalazłem pracę, rzuciłem studia i się ożeniłem. A kiedy się wreszcie zakochałem we własnej żonie, mieliśmy już

pięciu synów. Na Janka od razu wołaliśmy Japa, potem były bliźniaki Marek i Mateusz, a później Tobiasz, poronienie i Łukasz, nazywany bez powodu Łapą. A może nie bez powodu, bo gdy leżał w łóżeczku, wyciągał rączkę do góry i tak trzymał, aż do momentu, gdy ktoś odezwał się: - Łapa! - a jak nie, to ssał palec. Kiedy chłopcy podrośli, wystarczyło zawołać „Japa - Łapa!” i przychodzili wszyscy. Matka tym ich imionom była trochę niechętna, ale że miała tylu moich synów, czasami tylko mamrotała: „no dobrze, dobrze, byle nie Jefte, bardzo proszę, byle nie Jefte”. Jefte to był mój dziadek ze strony matki. Nie wiem, dlaczego jej to imię przeszkadzało, ale próbowała je zmienić w swoich papierach. Pewnie żyła w strachu, że Hitler powróci i upomni się o swoje. Ja się nie bałem, wiedziałem lepiej, co to ars moriendi, no i miałem dobry zawód, pracowałem w banku jako kasjer. Ten etat to taki parawan dla mojego prawdziwego zajęcia - byłem zatrudniony jako rzeczoznawca kamieni szlachetnych i wyrobów drogocennych. Znowu cieszyłem się pracą, chociaż marzyłem o obróbce choćby szmaragdów. Nie dociekałem, skąd się biorą w kraju takie skarby ani co się z nimi dzieje. Bank to bank. Płacili dobrze.

W tym czasie raz tylko przeszłość próbowała upomnieć się o swoje. Kiedy Łapa miał parę tygodni, zaczął płakać przy sikaniu. Lekarz stwierdził niedrożność ujścia cewki moczowej i napomknął coś o małym zabiegu chirurgicznym. Matka oszalała. Nazwała nas brudasami, niedbaluchami, świniami. Potem uspokoiła się i zabrała dziecko do siebie. Co godzinę moczyła nieszczęsny kutasek Łapy w kieliszku z roztworem kwasu bornego, kąpała dzieciaka trzy razy dziennie, prasowała pieluszki po obu stronach, wstawiała w nocy, czuwała, przewijała: spokojna, zdecydowana wygrać z losem. Zawiesiła na ścianie obrazek Madonny z dzieciątkiem, tak jakby Jezusek nie był obrzezany i mógł patronować jej zamysłom. No i udało

się, Łapa uniknął katolickiego rzezaka, który próbował chirurgicznie upamiętnić nasze byłe żydostwo.

\*

„...nic już powiedzieć nie można, nad niczym więcej  
zapłakać, jak tylko nad Widziadłami ze Snu,  
schwytanymi na granicy przebudzenia...”

Allen Ginsberg, Kadysz i inne wiersze

Lecę pilnować. Robię to codziennie, więc już się nie  
błąkam. Znam porządek świata, nakręca się sam, trzeba tylko  
uważać. Najpierw: myję stygnące ciała, suszę śmiertelne poty,  
w rozdziawione usta wsuwam fortral, salowe won. Ktoś mówi  
głośno - wszystkie trupki siup do kupki. I już na porodówkę,  
od sali do sali, pozawiazywać śliskie pęпки, niech się nie rodzą  
poeci, ugłaskać krzyki i śpiewy. Cicho! Teraz sny, łowię je i  
jednocześnie sprawdzam latarnie, bramy, okna, szyny,  
ogłoszenia, horoskopy, nekrologi. Sięgam jedną ręką, łapię  
sny poplątane i proste, nowe i stare, czyste i używane, już  
mam pełne kieszenie i pełną garść. Teraz otrzepuję je z kurzu,  
mgieł i łzawego deszczu. Komu sen nowy, komu. Starczy,  
proszę się nie pchać, dam i tak nie wszystkim. Wizg i jazgot,  
znowu? Więc raz jeszcze nadajniki, plakaty, gęby pełne  
zachęty. Pilnować bram. Kto zginie rano, kto w południe, kto  
wieczorem. Do nocy daleko. W rzeźniach półcie mięsa  
ociekają krwawym sokiem, z jaj wyskakują kurczaki i już  
fruną żółtą jaśniejącą ławą na stoły. Kto zginie, jeszcze nie  
wiadomo, trzeba pilnować nieśmiertelnych, tych jest  
najwięcej. Syreny karetek pogotowia krzyczą, że  
najważniejszy jest człowiek, tylko one. Zatrzymajcie się,  
ludzie, stać samochody, tramwaje, znaki drogowe, drzewa,  
gapie pod kroplówkę. Stać! Ginie człowiek! I już ktoś grzebie  
w śmietniku, co to? A to pokurcz! - Znalazł szczęście, teraz je  
dźwiga i stęka, taki pełen wór. Cicho! Ktoś rozchylił białe



szmatki, gmera przy pępku - więc po łapach. Nie wolno! Nie wolno! I krzyk - pilnować!

Byłem zakochany we własnej żonie. Ledwie Alina odchowiała Łapę, był rok 1961, dawno po Październiku, ja zakochany. Snułem się za nią po mieszkaniu, po ogródku, nawet po mieście. Podglądałem w łazience. Kręciło mi się w głowie od jej zapachu; wypraszałem pozwolenie na czesanie włosów, głaskanie jej brzucha. Zabierałem na spacer, do teatru, do muzeów, na wędrowkę przez most na Pragę, daleką i wietrzną. Trzymając się za ręce, staliśmy przed domem, w którym mieszkała, kiedy się poznaliśmy i gdzie kochaliśmy się w jej małym pokoiku na wąziutkim łóżku słodko i boleśnie, pierwszy raz. Przynosiłem do domu kamienie ze skarbcza, układałem na jej piersiach, brzuchu i cipie, a potem ona układała je na mnie, a ja czułem, jak oblekam się w blask klejnotów i zapach ukochanej, a potem, kiedy brylanty, szmaragdy, rubiny i opale powciskały się w nasze ciała, podnosiłem ją rękoma i kolanami do góry i czekałem, co spadnie na mnie, jej usta czy jakiś kamyk. Ona też czekała, ale ja, zakochany, byłem impotentem.

Na spacerze po ulicy 11 Listopada obiecałem spełnić jej wczesne marzenie: obiecałem, że zabiorę ją na wycieczkę do Amsterdamu i że sprawdzę, co to było Toledo. Nie, nie to w Hiszpanii, tylko więzienie, gdzie zamordowano jej wujka.

Do pracy chodziłem wtedy tylko po to, żeby odnieść uprzednio wzięte klejnoty i przynieść sporą garść nowych, więc rano mogłem się nie spieszyć. Dom trochę spał, trochę mruczał, matka w kuchni słuchała radia, piła kawę i czytała „Życie Warszawy”. Stawałem przy oknie i wyglądałem; wychodzili z drzwi, wyskakiwali z bram - wyż naszych lat pięćdziesiątych - ciągnęli ciurkiem do szkoły.

Poszli. Mieli niby niedaleko, podwórzem, rozmiękłym trawnikiem, wąską ścieżką koło domu, w którym był szewc, i

znowu przez podwórza z piaskownicami, chodnikiem obok starej szkoły, a potem już tylko pawilon ze sklepami, kiosk, zakręt, śmietnik, znowu trawnik, kilka drzewek, znak „szkoła” i już ulica, przy której mieściła się ich buda. Może kilometr, może mniej, ale i tak musieli wychodzić z domów pół do ósmej.

\*

- Tego i owego - jak mawia łakomczuch Tobi, kiedy bierze sobie dokładkę. A więc: owego roku, gdy w Wiśle brakowało wody, a w kranach mieliśmy codziennie wielogodzinną posuchę, na samym początku tamtego gorącego lata nastąpiła do nas Paraska. Był to najwyższy czas na stałą pomoc, bo Alina, udręczona moją miłością, nie dawała rady zajmować się uprawą i handlem cebulkami tulipanów. Było ich niby zawsze tyle samo, jednak wymagały wykopywania, suszenia, czyszczenia, sortowania, pakowania i znów sadzenia kolejnej partii do sprzedaży. Nie lubiłem tej roboty, ale Alina ją kochała, no i mieliśmy z tego sporo forsy. „Bez podatku” - kąśliwie zaznaczała moja matka. Nie chciałem, żeby dokuczała Alinie, więc w takich razach waliłem na odlew: „Coś mi się widzi, że pani zetilełtam ma się za dobrze” - co było przytykiem do jej pracy w cenzurze. Nie miałem mamuśce za złe, że rzuciła wydawnictwo, tym bardziej, że jej „praca na froncie ideologicznym” dawała profity w postaci przeróżnych książek, które mogłem czytać do woli. Przynosiła też paryską „Kulturę” i „Playboya” i nie żałowała ich nikomu. Ale musiałem pilnować, żeby się za bardzo do nas nie wtrącała.

Jeśli chodzi o tulipany, to matka tylko ścinała mocno rozwinięte kielichy kwiatów, ustawiała je w misach, miskach i miseczkach, a potem wyrzucała całe stosy kolorowych płatków. Kompostowałem je chętnie razem z cierpko pachnącym zielskiem, resztkami z kuchni, torfem, włóknem

kokosowym zdobywanym u prywaciarza i pociętymi gazetami. Lubilem tę pracę; lekko przerzucałem cały stos, a płatki tulipanów lśniły jak drogie kamienie. Czasami trafiała się ścięta trawa, czasami dozorca przywiózł taczkę końskiego nawozu; zapachy mieszały się, a kwiatowe odpadki błyszcząły wtedy jeszcze bardziej. Ograniczeni miejskimi restrykcjami tylko wieczorami, ukradkiem, leliśmy tam wodę, a chłopcy ciągle przybiegali nasikać.

Po dziewczynę Alina sama pojechała do Tykocina na Boże Ciało, wykorzystała dni między czwartkiem i czerwcową niedzielą, rozejrzała się po osadzie, poradziła się dawnych koleżanek, zlustrowała ich rodziny. I znalazła Paraskę, której nie chciało się siedzieć na miejscu. Paraska była wnuczką Peli. Jej wybór - bo to Paraska nas wybrała - był prosty: albo do Popowlan, albo do Warszawy. I Paraska zjechała do nas - z wiklinową walizką, z własną nowiutką pierzyną, z wąskimi lnianymi ręcznikami, w za ciasnych butach i z kompletem różnokolorowych fartuszków. Już w przedpokoju zzuła trzewiki i biorąc kapcie matki, bosą weszła do kuchni. Od razu trafiła! Siedząc przy stole, spokojnie popijała herbatę, skromnie rozcierała palce stóp i okręcała wokół głowy gruby warkocz.

- To co będzie na obiad? - zapytała rzeczowo i zaraz sięgnęła pod stół. - O, są kartofle - ucieszyła się i rozejrzała za nożem.

Na obiad mieliśmy placki ziemniaczane, tykocińskie cebulaki i herbatę z samowara. Paraska zaniósł się śmiechem przy próbie rozdmuchania węgla.

- O, elektryka, a wygląda jak u nas. - Matka przyglądała jej się uważnie, ale nic nie mówiła.

- Zosia ma sześcioro - powiedziała Alina - i Paraska przez rok dużo się u niej nauczyła. I ogród tam duży, większy od naszego. Jest zwyczajna każdej roboty i lubi dzieci.

Matka milczała, koso spoglądając na swoje kapcie na stopach dziewczyny, więc moja żona dodała:

- Kupię ci nowe, mam, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się i dalej słuchała wyjaśnień synowej. Dopiero wieczorem powiedziała do mnie:

- Nie wiem, może macie rację, ale po wnuczce Peli ja bym się wiele nie spodziewała.

Nie odpowiedziałem, cóż mnie obchodziło, że Pela była latawicą i rzucała uroki. Kiedy to było? Milczałem, więc matka od razu przypomniała sobie, że gdy wymusiła na mnie małżeństwo, obiecała nie wtrącać się więcej do mojego życia.

Akurat. Ale pojęcia nie miałem, co mnie czeka pod nowiutką pierzynką Paraski, choć ten poniedziałkowy dzień 21 czerwca 1965 r. zapamiętałem na zawsze.

\*

„Najgorsze, gdy człowiek nie myśli, bo wtedy nie jest”.

Jerzy R. Suszko, Myśli chłopięce, rkp.

Tygrys? Żeby tak się choć trochę wychylić z bezruchu i zobaczyć. Leży rozplaszczony na dwóch belkach, ogromny zwierz, prawie jak autobus, czerwonopomarańczowy. Dyszy? Przesiane przez szpary jak przez plotek słońce znaczy gęstą ciepłą sierść ciemnymi smugami. Belki są jak wielkie skrzyżowanie dróg, a może rusztowanie domu albo stodoły. Tam, daleko w dole, nic, puste klepisko. W górę ledwie można się odchylić i zaraz niebo. Małanka to letnia błyskawica w biały dzień, tęcza jest odbiciem promieni słonecznych w kroplach wody, horyzont to linia styku nieba z ziemią, ciężka woda... o tak, teraz widzę, to tygrys. Rozplaszczył się jeszcze bardziej i zaraz spał w sobie. Czaję się, przyłgnałem do samego siebie. Muszę to zrobić: leżąc na brzuchu, pochwycić belkę i, uczepiwszy się rękoma, obrócić od razu grzbietem w dół. On czeka na to mgnienie, wtedy

skoczy z rozwartym pyskiem jak błyskawica, ale ja w tym samym czasie dosięgnę drabiny. Czuję to w całym ciele, dam radę. Twoje oczy, chłodne, ciekawe strużki nieba. Zaraz ruszę się, skoczę, to moja sprawa, ocale, trzeba tylko dobrze wymierzyć skok, czuję strach i pewność, że to zrobię już, już, już. I ciągle u spodu ten napis jak w kinie, mknący, szybki, zimny: protokół sekcji... zwłoki mężczyzny... długość ciała sto siedemdziesiąt pięć centymetrów... budowy prawidłowej... oględziny zewnętrzne... skóra czysta... oględziny wewnętrzne... dział... szkielet... płuca... wątroba wagi... w szparach serca płynna krew... koniec filmu.

\*

- A co to takiego ma Paraska do powiedzenia? - usłyszałem głos matki, jakby z góry odpędzający to, co tamta zamierzała. Paraska wcale niezrażona tonem starszej pani ani jej półobrotem ku oknu i nie dając się zniechęcić otwieraniem lufcika, wypaliła: - Zaraz powiem, ja tam na nic patrzeć nie będę. Bo proszę starszej pani, Japa, znaczy się Janek, powiedział na tego, no, Łapę, „ty żydziaku”. A niby co to ja u Żydów jestem? - szamotała się dziewczyna.

- Co to Parasce przeszkadza, chłopcy się ciągle przezywają - próbowała łagodzić moja matka. - A Łapa jeszcze nie rozumie.

- Ale od Żydów nie wolno. Mają dość brzydkich słów, ciągle je mówią. Prawdziwego imienia nie chcą, nawet się nie odezwą, kiedy wołam Janka albo Tobiaszka. A „skurwiel” też się im podoba.

- No to niech Paraska przestanie wygrażać i buzie im wychlorkuje. Ja pomogę - wymigała się matka.

Słyszałem drzenie w jej głosie, takie ledwie wyczuwalne. Pewnie się bała, czy Paraska nie zacznie dochodzić, kto tu jest Żydem. Jeszcze nie była pewna, co dziewczyna myśli ani co sama ma myśleć. Dla matki Paraska była skarbem przez swoją

prawdziwą polskość: mało jej było mojego ojca i Aliny, potrzebowała Paraski z jej prostą, ludową i, jak się wydawało, czystą polskością. Pewnie oczekiwała, że jakoś się przez to wyprostuje nasze żydostwo.

- Skąd ona się taka wzięła? - mówiła do Aliny. - Przecież tam u was sami narodowcy, jakiś straszny nacjonalizm, przynajmniej twój ojciec tak uważał, prawda?

- Ale moja matka nie - odpowiedziała Alina i od razu poczułem, że znowu się rozminą. Wiedziałem od niej samej, że jej matka i babka nie cierpiały Żydów, jak wszyscy. Za to lubiły Żydówki, żydowskie jedzenie i lody u Fejgi.

- Dziecinada - próbowałem ją rozbroić, ale ona odpowiadała z wyższością:

- Ależ skąd. Kobiety to co innego, wiesz.

Jednak tym razem interesowały mnie szczegóły, więc spytałem, czy to prawda, że do Peli chodził młody dziedzic z Lipnik, jak słyszałem od ojca Aliny, który znał dobrze Tykocin.

- Gdzież tam! - ofuknęła mnie. - Młody dziedzic przekradał się do Estery Joskówny i tylko dla niepoznaki woził konwalie kuzynkom z Jeżewa. Zawsze jechał przez miasteczko konno, a ogiera zostawiał u Pampucha, niby do podkucia. I tylko przechodził przez gospodarskie obejścia. Do Peli tamtej wiosny latał jeden z młodych Malarewiczów, taki tam szejne - morejne, artysta. I to z powodu tego żydowskiego chojraka wydano dziewczynę za mąż do Popowlan, parę kilometrów za mokradłami, że niby coś tam było na rzeczy. Oczywiście, że szybko, jakżeby... Ksiądz nie odmówił gospodarzowi, chociaż wcale nie był bogaty. Ksiądz sam miał dziecko z gospodynią, którą podawał za swoją siostrzenicę. Co się tak dziwisz?

Miałem męt w głowie od tych zaprzeczonych romansów i nie bardzo rozumiałem wibracje w głosie mojej żony, która

opowiadała, jak to Pela uciekała przełazkami, odslaniając na każdym olśniewająco białą dupę, zanim znikła na dróżce do młyna, już za gumnami. Alina była chyba wtedy w kolebce, ale upierała się, że sama wszystko słyszała, więc i koci wrzask Peli zapadającej się w darń pod chłopakiem, szum skrzydeł wiatraka i rzenie dziedzicowego ogiera. Tak na pewno to mogła pamiętać tylko te przełazki w płotach między ogrodami, bo po nich sama potem chodziła. Ale może i coś słyszała i widziała, w końcu jeśli Leonardo zachował pamięć od półtora roku życia, to co by przeszkadzało Panu Bogu powtórzyć swój eksperyment na mojej żonie...

\*

- ...Tak jak Pela z białą dupą? - zapytał Japa, który zawsze coś podsłuchał.

- Tak - uczciwie przyznała Paraska. Wyjaśniała właśnie, że nasz kot Wacus jest Wacusia i dlatego turla się po podłodze. Chłopcy w lot pojęli, że Wacusia musi na dwór do kocurów, ale słowo „grzeje” trzeba im było wyjaśnić bardzo dokładnie, jak i to, co z tego grzania wynika. Nie wystarczyło zwykle Paraskowe „tamoj tak się mówi”, więc dziewczyna była absolutnie szczerą: powiedziała po swojemu, co trzeba, a oni zrozumieli. Na koniec dodała:

- Będą małe, znaczy się kociuśki, każdy dostanie swojego, wasza mama pozwoli. - I do Japy: - Żebyś mi więcej o Peli tak nie mówił, słyszysz? W końcu to moja babka.

Dzięki Parasce uświadomienie naszych chłopców było uczciwe i w odpowiednim dla nich czasie. Wacusia kociła się na ich oczach; śledzili pilnie to, co się dzieje między kocim podogonem i pyszczkiem a skupioną twarzą Paraski, która dbała o wygody Wacusy. Wzdychali tylko, widząc, jak kocica oblizuje i odpępnia płody i zjada łożyska, małe kociątka zaś, jeszcze mokre, gramolą się i czepiają cycuszków matki.

- Mądra, ale mądra - stęknął Tobi. - Wszystko robi tak, jak mówiłaś, ojej...

- Zwyczajnie, tak ma być, to i jest - powiedziała cichutko Paraska i podsunęła kotce świeżą gazetę. - Poczekaj - uspokoiła Łapę. - Zaraz będzie jeszcze jeden, dla ciebie - obiecała. Trochę pogłaskała, a potem nacisnęła kilka razy brzuch położnicy, która krótko sprężyła się i wyplusnęła kociątko. Chłopcy odetchnęli.

Na samym początku kocich ksiutów zleciało się do Wacusi kilka kocurów. Po skończeniu swoich męskich zapasów zostały dwa, które na zmianę dosiadały kocicy, chociaż jeden wyraźnie górował. Ona darła się za każdym razem, ale sumiennie odbyła gody. Dopiero trzeciego dnia rano legła w nogach naszego łóżka, na kocu z wielbłądziej sierści - własność mamuśki! - i dokładnie się wylizała. Ukojona, najedzona, spała trzy dni. Jeden z kocurów, ten silniejszy, czarny, warował jakiś czas pod agrestem, a potem na ganku. Śmieliśmy się, że pilnuje swoich genów, a Paraska, że pewnie czeka na „poprawiny”. Dawałem mu jeść na liściu łopianu, uznałem go za męża Wacusi i nazwałem Kohinor. Sierść miał błyszczącą, jedno ucho w strzępach, pysk mordercy. Dawał się głaskać i drapać pod brodą tylko Łapie, który przekornie przezywał go Kochasiem, ale potem bardziej interesował się malutkim Nambu niż dorosłymi kotami. Kohinor był mój. Powoli, z rozwagą opanowywał dom, czasami tylko pozwalając sobie przycupnąć na moich kolanach. Wołał stołek na ganku, skąd miał widać dobry punkt obserwacyjny. Sypiał na strychu lub pod jakimś krzakiem, a rano bezszelestnie wskakiwał na parapet i budził mnie jednym jedynym mrauknięciem. Jadał wszystko, co mu dawałem ze swojego śniadania, i długo oblizywał się nawet po listku sałaty; potem mył się cały, wpatrując się przepastnymi oczyma w koszyk z Wacusią i kociakami. Czasami wynosił



się na kilka dni w swoich sprawach, zapewne bardzo ważnych, skoro porzucał dom pełen jedzenia i przyjaźni. Wracał jak gdyby nigdy nic i dawał mi się trochę potar mosić. Chociaż nieodgadniony, był jednak bezproblemowy; szanował Wacusię i z czułością przylegał bokiem do jej boku, oplatając jej ogon swoją puszystą kitą. Uznałem, że jego uczucia ojcowskie dorównują moim - uczył kociaki wychodzenia do ogrodu, przynosił im złowione myszy, dawał znać, kiedy mają zniknąć w żywopłocie albo w pokrzywach, bo gdy przychodzili do nas goście, kocie towarzystwo bawiło w ogródku, prawie niewidoczne.

\*

Paraska wstawiała wcześnie, co odpowiadało Alinie, która lubiła się rano poprzytulać, a co źle znosiła mamuśka, nawykła do słuchania dzienników radiowych. Słyszałem płynące po domu pobożne dźwięki i czułem fale zazdrości. Paraska miała nie tylko swojego dobrego Boga, ale i czysty, mocny głos. Śpiewała:

- „Na Podolu siny kamień, Podolanka siedzi na nim, przyszedł do niej Podoleniec, Podolanko daj mi wieniec...”. - Te słowa, na przemian z końcówką innej piosenki: - „Na brzegu dwa trupy leżały, tak spokojnie ścisnęły swą dłoń” - objęły mocnym kręgiem braterskiego wtajemniczenia moich synów. Coś dla nich ważnego znaczyły, bo zamiast „takiego wała” mówili „węża zielonego”, a zwykle „pas” w kartach zastąpiła „dłoń trupa”. A Łapa, gdy teraz miał o coś poprosić, to zaczynał słowami: „gwiazdo zaranna, bądź aniołem”. Wszyscy się dowiedzieli, że ta Podolanka - zbrodniarka „otrąła brata swego” potrawką z „węża zielonego” i że to było z miłości, a miłość to „cygańskie dziecię”. Paraska śpiewała o sokołach, co mają lecieć na Ukrainę, o Stasiu, co z jarmarku przywiózł pierścionek, ale na nic się to zdało, bo choć miał „usta jak dwa korale”, kochankiem został inny - ten, który

„żadnego nie dał podarku”; o tym, kto dla kogo był i będzie aniołem, o starym diakonie kiwającym głową i ścierającym drżącą siwą brodą „kurz ze złotych ram”, że „dla Hucuła nie ma życia jak na połoninie”, no i o tym, kto zakwitnie różą, a kto kaliną. Atamani i dziki Polesia czar zlewały się z obietnicą, że „dobry Bóg przebaczy wszystko ci”, i z zachętą: „kupujcie publiczki, goriaczi bajgiele, od biednej Fajgiele, choć kilka sztuk”, a pod wieczór z wezwaniem - „zachodźże, słoneczko, skoro masz zachodzić” i z pobożnymi napomnieniami: „wszystkie nasze dzienne sprawy...”.

Tylko w niedziele i święta Paraska sypiała dłużej i zwalniała z obowiązków swoje donośne „ranne zorze”. Szykowała się do kościoła. Z powinności własnych uznawała tylko przygotowanie śniadania dla wiecznie głodnego Tobiaszka. Sama nie jadła, bo przystępowała do komunii.

\*

„...otóż powieści pisane w pierwszej osobie są na ogół dla czytelnika nużące. Nawet bardzo wnikliwe rozważania zdarzeń, myśli i uczuć bohaterów, relacjonowane odautorsko w toku opowieści, rzadko przyciągają całą naszą uwagę. Jeśli autor nie zdecyduje się na akcję, na samodzielny ruch postaci lub siebie samego, to w powieści tak naprawdę nic się nie dzieje. Konstrukcja opowiadania, niezależnie od jego objętości, winna to przewidzieć. Piszemy przecież dla czytelnika zanurzonego w akcji własnego życia, i społecznego oczywiście, które modeluje jego umysł. Stąd pragnienie i oczekiwanie, żeby »coś się działo - , bardzo charakterystyczne dla masowego odbiorcy. Spełnienie tego oczekiwania publiczności nie jest wcale schlebaniem jakimś - w pojęciu pewnych krytyków - niskim gustom. Weźmy dla przykładu powieść Wildera »Most San Luis Rey«, którą uważam za doskonale skomponowaną, gdyż...”

Słuchałem wywodów mojego ulubionego pisarza i byłem zażenowany. On sam pisał przeważnie w pierwszej osobie, wcale nie licząc się z upodobaniami masowego czytelnika, a może tylko podstępnie próbując je zmieniać, przyzwyczajając do własnych nowatorskich sztuczek czy artystycznych zamierzeń. Nudził coś o Wilderze, ukrywając siebie. Czytałem „Most San Luis Rey” parę lat temu, bo wcześniej nie chciało mi się pójść do biblioteki po przedwojenne wydanie. Ja tam całkiem co innego zobaczyłem, co innego mnie oczarowało: właśnie doskonałość opisu. I było mi wszystko jedno, czy dotyczył wnętrza autora, czy losów jego pięciorga bohaterów, którzy tracą życiową szansę na lecącym w przepaść peruwiańskim moście. Teraz tej książki nigdzie nie można dostać; ja też nikomu nie chciałem jej pożyczyć, pilnowałem, ukrywając tomik na półce za kanapą. A ten tu truje o sztuce kompozycji, jakby ironię losu miał za nic. Losu, który potrafił sprawić, że pracuję nad drogocennymi klejnotami, tak samo, jak niemieccy urzędnicy wyceniający na karaty i kilogramy zrabowane precjoza i złoto z wyrwanych zamordowanym Żydom zębów. Pleć pleciugo, byle niedługo. Chciało mi się spać, a wyjść nie wypadało, autor był przyjacielem matki, no i usiadłem za blisko. Po byle jakiej dyskusji koniec spotkania; podszedłem do autora, przywitałem się, przyjąłem i oddałem pozdrowienia, a na pytanie, czy coś piszę, odpowiedziałem w stylu Aliny:

- Skąd, gram na gitarze.

Co zresztą było prawdą. Robiłem to na złość matce, która kupiła pianino, kazała je nastroić i ogłosiła program umuzykalnienia chłopców. Ale grać nauczyła się Paraska.

\*

„...doświadczenie nigdy nie zadowala rozumu w zupełności”.

nt, Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki...

Mam sprzątać w tamtym mieszkaniu, adres: 241 Boulevard Saint Germain, Paris VII. Na drzwiach tabliczka: Felicite et... jak mu tam? Charles? Ze szpary wystają cztery palce. Wciskam się w drzwi, jestem. I już wysoka mahoniowa bieliźniarka odsuwa się na własnych nogach, odsłania wejście do tamtego pokoju. Wchodzę, ciągnę wąż odkurzacza, cichy warkot. Zrobione, chociaż trzeba by ścierką też, ale nie mam, zgarniam kurz połą, co to za fartuch, przecież nie mój, ale papierosy w kieszeni moje. Prędeż, prędeż. W szufladach poukładane, czysto. Znajduję spięte gumką listy, wkładam za pazuchę, mocniej ściskam się paskiem. Rysunki na bok, jest dziennik. Czytam, a tu same rachunki, wiem, już wiem, wszystko było liczone, niby taka szczodra, a wszystko liczyła. Skrzypią drzwi, których przedtem nie było. Teraz są. Idę tam, a to mały pokój bez okna, tylko kozetka, fotel, serwantka i telewizor. Kradnę kryształowe szkiełka, w kuli z domkiem osypuje się śnieg, czuć coś stęchłego. Biorę zielonożółty kieliszek, a tu tyle kurzu! Wycieram, ściągam cuchnące jedwabne szmaty, za nimi okno, a za oknem zarośnięty dachami Paryż i niebo, że aż pofrunąć. Wiem, to film z telewizora, mnie tam nie ma, ja obok, odwracam się, chcę już przeczytać te listy, mam okulary, mam tę paczkę, mam, a tu same białe kartki. Miałem się dowiedzieć, co oni o mnie myślą, coś ważnego...

„...nikt nie krzyczy z radości, że się obudził, tylko ptaki, ptaki za oknem...” Kto to powiedział, kto to powiedział...

\*

Bliźniaki będą powtarzać rok. Alina się rozsierdziła, matce zabroniłem interwencji, posłuchała. Mat i Marek uczyli się średnio, szkołę traktowali od niechcienia. W podstawówce

oceniano ich na trolejbus, czyli na tróję. Ale do liceum zdali bardzo dobrze i jakoś im szło. Uczyli się niewiele; zawsze bardziej byli zajęci ogrywaniem się w ciupy, w dziesiątki i w tysiąca. Dużo czytali, ale bez ładu i składu, co w ręce wpadło, więc i Strugackich, i Lema, i Prousta, i paryską „Kulturę”, choćby ją babcia nie wiem jak schowała.

A do tego zimowania bliźniaków przyczyniła się przyszłość i akuratna w tym roku wiosna. Przyszłość, bo w ich liceum urządzono popisową wystawę „Szkoła przyszłości”: gmach opróżniono, wymalowano, wypastowano, umyto wielkie okna, w klasach kuliście rozstawiono nowe stoliki, dziewczyny musiały nosić białe bluzki, zdobyto skądś duży podświetlany globus, nawet nowe mikroskopy i ekstraczułe wagi do pracowni chemicznej. Była kronika filmowa, telewizja, zdjęcia, album pamiątkowy. „Pic na wodę, fotomontaż”, powiedzieli moi chłopcy, bo lekcje dla nich zrobiono w obskurnym budynku pobliskiej zawodówki. Dość, że kiedy włączył się czynnik tak obiektywny, jak wspaniała pogoda, postanowili zrobić sobie wycieczkę. Na wagary! Wszyscy! I wszyscy zaprzysięgli to własnoręcznymi podpisami. Z trzydziściorga siedmiorga stchórzyło w ostatniej chwili ośmioro i tamtego dnia snuli się cichcem po szkole i wokół, cichcem wymykali się do parku, dwie dziewczyny poszły do kościoła oglądać ślub.

To była sobota, więc wagary nie mogły nikomu bardzo przeszkadzać, ale wadziły kochającej zbiorowy ład i porządek pani Bolawej - wychowawczyni - i panu dyrektorowi Koralakowi. W poniedziałek odbyła się próba przywrócenia porządku, najpierw z dziećmi en bloc, potem pojedynczo, aż wreszcie wezwano rodziców. Pilne! Ciało pedagogiczne wystąpiło w dwóch osobach, ale pracę śledczą wykonało za dziesięć. Byli już winni - prawie cała klasa, i organizatorzy - Alusia i Jędrus. Ha! Alusia, bo sporządziła listę przysięgłych,

a Jędrus jako chłopiec Alusi, bo się przyznał, że pomagał. Byliśmy też my, rodzice. Czekaliśmy potulnie na dyrektora. Przyszedł i od razu spróbowano zrobić nas propagandowo i sterroryzować psychicznie. Część rodziców wyposażyła swoje dzieci w zwolnienia od lekarzy i z powodu uroczystości rodzinnych, reszta broniła się, ale słabo, bo wybór był oczywisty: albo usunąć prowodyrów, albo rozpedzić wszystkich. Tyle że dyrektor lubił być doskonały, a jego perfekcjonizm domagał się, żeby prowodyrów było trzech. Zapytałem dlaczego i usłyszałem, że dwoje to jeszcze nie grupa, że na pewno był ktoś trzeci i ma się teraz przyznać. Przed wszystkimi, bo właśnie wprowadzono do tej brudnej sali z odrapanymi ławkami wszystkich winowajców. Stanęli z tyłu i nikt się nie przyznał. Klasę zawieszono, lekcje odwołano.

Wieczorem do Aliny zatelefonowała pani Bolawa z propozycją, żeby do przywództwa przyznał się któryś z naszych bliźniaków. Że tak będzie najlepiej dla wszystkich, nawet dla Marka i Mata, bo to trochę rozluźni związek obu chłopców, jakoby uzależnionych od siebie, więc właściwie lepiej, żeby byli w innych szkołach.

- Oni wszystkie głupstwa robią wspólnie! - szczebiotała ta idiotka. - Za dużo tego na jedną klasę, tej podwójności. I jak się Mat przyzna, to nikt nie dostanie wilczego biletu, obiecuję, a klasa zostanie w tej nowej przyszłościowej szkole...

Alina milczała, matka przestała słuchać, co Gomułka powiedział na kongresie o żydowskiej piątej kolumnie i tak dalej. Wreszcie Alina oświadczyła, że nie będzie występować przeciwko dzieciom ani cudzym, ani własnym, nie będzie kłamać i namawiać do kłamstwa, nie przyjdzie też na żadne zebranie. Zabiera chłopców ze szkoły, choćby miała być ona najlepszą szkołą najlepszej przyszłości. I jeszcze powiedziała, że chłopcy mówią o tej „przyszłości”, że to zwykły pic, a ona

sama uważa to wszystko za zwykłe ku... - tu spojrzała na wytrzeszczone oczy bliźniaków - zmieniła ton i dokończyła spokojnie:

- Nie będę się prostytuować, rozumie pani? Byłem tego samego zdania.

\*

„Tak też z Michasiem, był zdrow i tusty,  
pięć dni grymasił, umarł na szósty!”

piosenka ludowa

Domową gazetkę ścienną Alina wymyśliła niechęć; na słomianej macie wywiesiła ogłoszenie: „Chłopiec do prania własnych skarpetek potrzebny od zaraz. Płacę”. Zgłosili się wszyscy, nawet Łapa, który właśnie nauczył się czytać. A potem się rozwinęło: apele, ogłoszenia, zagadki, dowcipy rysunkowe, życzenia, polecenia, wiersze, opowiadania, maksymy, komunikaty o tym, co warto obejrzeć w telewizji, wyniki totolotka, rozwiązania zadań matematycznych i krzyżówek, odkrycia językowe, listy, nawet powieść kryminalna w odcinkach, do której każdy mógł coś dopisać. Mamuśka chociaż gazetki nie lubiła, to jednak ją podczytywała. Kiedy chłopcy podali do wiadomości, że zwycięzcą w trzeciej wojnie światowej będzie zwykły domowy karaluch, a potem, że w ich szkole są hunwejbini i już mają czerwoną książeczkę Mao po angielsku i będą ją tłumaczyć, matka zaniepokoiła się na dobre. Chciała nawet zdjąć te karteczki, ale musiała przestrzegać, jak wszyscy w domu, zakazu cenzurowania.

Nawet nie próbowała usunąć czegoś z „futurystycznej” powieści Japy, ponurej i zapowiadającej złą przyszłość:

„Teraz żaden zamach przeszłości nie zagraża Dzisiejszym. Nęcająca różnorodność życia Poprzednich może być odsłonięta bez obawy, że opary tego życia okażą się szkodliwe. Nie jest

to żadna literacka przenośnia. Jak wiadomo, Dom Mieszkalny, odsłonięty po ustąpieniu wód Wielkiej Otchłani, otoczony żeliwną kapsułą, zawierał powietrze przesiąknięte, zdaniem uczonych, wyziewami i mikroorganizmami Poprzednich, a przedmioty i sprzęty codziennego użytku pełne są wibracji głosów, w nich zaś jest także ostatni, przejmujący krzyk ginących..." cdn.

„Pracę niniejszą oparto na krytycznej analizie wszystkich rzeczy ocalałych z Domu i przeniesionych do Muzeum Dnia. Dysponujemy wszakże tylko tym, co ocalało; ślady niektórych pozostałości nie będą więc przedmiotem analizy, bo tylko pewność może być podstawą Prawdy. Ponadto dysponujemy dwoma plikami dokumentów piśmiennych, znalezionymi w otworze wentylacyjnym segmentu Domu, przydzielonymi do badań właśnie mnie. Jestem w nader szczęśliwym położeniu; o ile wiadomo, żadnych innych rękopisów nie znaleziono..." cdn.

Coś mi się zdaje, że Japa zamierzał poddać „krytycznej analizie” przydatność rzeczy w naszym mieszkaniu, na ganku i w ogrodzie. Zaraz też pomyślałem, czy aby się nie dorwał do papierzysek w mojej skrzyni. Ale chyba nie, bo zamiast dalszego ciągu „opublikował” esej o sporcie ze wspomnieniami meczu Anglia - Niemcy zeszłorocznych mistrzostw świata na stadionie Wembley. Sam trochę kopał, a fascynowała go gra drużyny niemieckiej. Kłóciliśmy się wtedy; nie chciał się ze mną zgodzić, kiedy twierdziłem, że nie ma czegoś takiego, jak doskonała precyzja. Z tego eseju zrozumiałem, dlaczego wybrał studia matematyczne. A niech szuka doskonałości.

\*

„Oto i lato, pora gwałtowna nastąpiła..."

G. Apollinaire, Prześliczna rudowłosa



Tamtego sierpniowego dnia niepotrzebnie zostałem w łóżku, bo przecież jeszcze nie wiedziałem, że to kolejne zapalenie płuc. Mogłem odnieść kamyki, wcale zresztą nie drogocenne, tylko ładnie gładzony różowy kwarc. Rzadkość, prawda, i było tego z pół kieszeni. Pamiętam, że wychodziłem wtedy głównym wejściem i cieszyłem palce ich gładkością. Ładnie wyglądały na śniadej skórze Aliny. I za takie głupstwo wpadłem, a przecież tyle razy bawiłem się prawdziwymi diamentami, które przyklejałem własną spermą do pępka, piersi i ust żony; no, może nie spermą, może to było tylko trochę jakiegoś płynu, ale jednak coś ze mnie ciekło mimo braku wzvodu.

- Ty to jesteś naprawdę niebezpieczny - powiedziała kiedyś Alina. - Wcale przecież nie wiadomo, czy i w ten sposób nie zrobisz mi dziecka.

- Mówisz jak święty Augustyn - roześmiałem się i opowiedziałem jej, jak ten Ojciec Kościoła w swoim dziele „O Państwie Bożym” próbował wyłgać się z obowiązku respektowania boskiego nakazu rozmnażania się w naturalny, przez Boga dany sposób. - Coś takiego, jak mówisz, trochę nasienia... kap, o, tutaj - polizałem, niech samo wejdzie, rozumiesz? Posiew potomności bez lubieżności - ironizowałem.

Śmiała się. Ale ja rzeczywiście nie byłem pewien, więc całując ją, mokrą własną i moją wilgocia, myślałem, jak to dobrze, że wreszcie mamy od Feli te pigułki. Bałem się, że Alina mogłaby urodzić córkę, bałem się matki, lecz nie bałem się sięgać no te cudowne kamienie, no i wpadłem.

Zapalenie płuc odchorowałem w więziennym szpitalu, z posiewami, antybiotykami i z paroma nasyłanymi wciąż przez matkę ftyzjatrami. Wzięli mnie chorego, więc musieli leczyć. Leżałem i rozmyślałem o dziadku Jefem, który umarł na zapalenie płuc, kiedy jeszcze nie było streptomycyny, było za

to powstanie w getcie. Mój dziadek umierał we własnym łóżku, w mieszkaniu swoich francuskich przyjaciół, w domu na Marszałkowskiej 81. Miał też własny pogrzeb - wprawdzie chrześcijański, ale osobny. Uśmiechałem się do tego żydowskiego figla: cóż innego mógł Hitlerowi zrobić dyrektor cyrku? Zawalczył po swojemu, choćby niechcący, bo jego gospodyni opowiadała matce, że „pan miał gdzieś iść po wizę, ale bardzo kaszłał, zaczęło się od grypy, spadł w gorączce z kanapy, lekarz kazał mu zostać w łóżku, gorączka rosła, no i tak pojechał na Młynarską, a nie do Peru”. Myślałem o dziadku, że był niezłym kpiarzem, a przecież drwina jest sztuką i nie zdarza się tak całkiem przypadkowo.

Z pracy wyrzucili mnie prawie bezboleśnie. Nic - nie wiedziałem o kielkującej wtedy aferze brylantowej. Nie byłem nawet malutkim jej odpryskiem. Różowy kwarc, nic więcej. Kiedy po latach wszystko się wydało, pomyślałem z wdzięcznością o losie, który mnie wtrącił w zabawy kamykami w łóżku. Byłem naprawdę niewinny, więc słusznie oczyszczono mnie z podejrzeń. A jak już znalazłem się w celi, to przesiedziałem całe dwa tygodnie z takim jednym złotnikiem, prawdziwym, chociaż donosicielem. To od niego dowiedziałem się, jak robić interesy, i złapałem pomysł na nowe życie; za pieniądze Aliny i cioci Feli urządziłem mały warsztat złotniczy w ramach „usług dla ludności”. Obrączki, medaliki i łańcuszki są w naszym kraju potrzebne zawsze, prawie jak chleb. Dało się żyć.

\*

Koniec z robotą przy łańcuszkach, medalikach i ryngrafach komunijnych. Jak na rozruch, całkiem niezły dochód. Zapłaciłem haracz za działkę, oddałem długi i starczyło jeszcze na grzywnę bliźniaków, ukaranych przez kolegium do spraw wykroczeń za „zakłócanie porządku publicznego”. Jako trochę przerośnięci licealiści traktowani

byli dość łagodnie. Może i całkiem by im odpuszczono, bo na pytanie dociekliwego przewodniczącego, czemu powtarza klasę, Marek odpowiedział: „bo Mat miał kiblować”, a Mat, że „jak Marek, to i ja”, więc wyszli na głupków, i to jednakowych.

Po tej dobie w izbie dziecka wyglądali zupełnie dobrze i już myślałem, że to koniec biedy, gdy karceni pouczeniami moi synowie odpowiedzieli, że wszystko rozumieją i że „władza jest po to, żeby bić”. Grzywna była wysoka. A wszystko zaczęło się tak niewinnie! Jesienią, kiedy w szkole przerabiano „Dziady”, oni za nic nie chcieli czytać. Alina z matką na wypródki opowiadały treść dramatu, bo pani od polskiego, nazywana w szkole Lolitą, żądała, żeby „własnymi słowami”. Mamuśka zgrabnie streściła Wielką Improwizację, a Alina z Tobim przedrzeźniali chór. Chłopcy nie chcieli też iść ze swoją klasą do teatru; forszę na bilety przegrali w dziesiątki z Łapą, bardzo zręcznym w różnych grach. Raptem coś im się odmieniło i matka musiała zdobywać bilety do Narodowego, zupełnie jak niedawno na Rolling Stonesów. Dostała cztery. Japa zabrał się z Anką, więc my poszliśmy z bliźniakami. Byłem nawet poruszony Holoubkiem, matka też coś susłała z towarzyszami, a tymczasem chłopcy, cali jeszcze radośni i spłakani, zniknęli. Japa powiedział spokojnie: „tylko słowa uskrzydłają nas wszystkich”, a ja zdążyłem pomyśleć: „no proszę, już przeczytał Arystofanesa”. Bliźniaków zgarnęła milicja. Zakłócali spokój.

\*

Znowu lato. Japa w Paryżu, bliźniaki na obozie, Tobi i Łapa z Paraską na wsi. U naszej kupcowej na Polnej kupiłem młodą kaczkę, do tego dwie butelki Egri Bikaver i zrobiłem ucztę. Cała kaczka dla dwojga! Piekłem ją w strasznym upale, ale tak jak lubię, z zielonymi papierówkami i świeżym majerankiem. Wytopiło się sporo tłuszczu, więc do słoika i

do lodówki: jak matka wróci z Wesołej, a Paraska ze wsi, zrobimy ulnik. Alina, jak zawsze przy pełni księżyca trochę rozdrażniona i trochę smutna, zasnęła. Pogrzebałem w mojej skrzyni i znalazłem wiersz, który napisała, kiedy była we mnie zakochana: „Żeby tak być małą szklaną kulką/ kolorową mandalą/ żeby tak leżeć w twojej kieszeni/ żebyś mnie nosił i ogrzewał/ twoim ciepłem”. Przeczytałem dwa razy i jakoś nic nie poczułem.

\*

- To scubły i okunie, a pod spodem karaski, ale duże. - Paraska wyjmowała grubą ściółkę chrzanowych liści. - Byli we wodzie jesce rano, a grzyby my trzymali w ziemiance. Będzie zupa i gefilte. Migiem się bierę, bo oni majo dużo ości - powiedziała i poszła do łazienki. Ja, zasłuchany, pomyślałem tylko: Co za muzyka... Paraska wróciła i teraz kręciła się na bosaka po kuchni, zadowolona, co obudziło niechęć mojej matki, która siedziała beczynnienie i uparcie milczała; widziałem, że dziewczyna coś wyczuła: przestała schylać się przy kuchni, poprawiła fartuszek, zdjęła rękę z piersi i przerwała opowiadanie, jak to na szosie białostockiej autobus stanął i musieli czekać, bo przejeżdżały ciężarówki z ruskim wojskiem, a dwa „pyrkacze” ciągnęły dymiące kuchnie, podobno polowe. Matka wyszła.

Kiedy większość ryb była sprawiona, Paraska nastawiła wodę w wielkim garnku, wrzuciła cebulę i zioła, a gdy zawrzało, powkładała ryby, najpierw te większe. Potem - skoro nie chciałem wyjść z kuchni - dała mi robotę. Wybierałem i starannie układałem na półmisku co ładniejsze kawałki ugotowanych, gorących ryb. Mniejsze kawałki miksuję się z cebulą i dodaje po trochu płyn, w którym ryby się gotowały. Umyłem garnek, włożyłem bielutkie mięso i powoli wlewałem zmiksowaną białą zupę. Paraska siekała

koperek i pietruszkę, a mnie kazała dodać do zupy trochę śmietanki.

- A farfelki? - zapytała. Farfelki: dwie i pół szklanki mąki, dwa jajka, dwie łyżki wody zagniata się na twarde ciasto, a kiedy odpocznie, trze się na grubej tarce. Uczyłem się, tak przejęty jak w Antwerpii. Tarłem i patrzyłem na swoje umączzone ręce, które wyglądały jak w rękawiczkach. Farfelki gotuje się krótko i od razu na sito. Paraska zabrała połowę tych śmiesznych klusek do ususzenia, a ja już ugotowane wkładałem ostrożnie do zupy. Wyglądały jak opalowe chipsy, tylko trochę grubsze.

Matka telefonowała do Paryża i dowiedziała się, że w Czechosłowacji doszło do interwencji ZSRR, w Pradze czołgi na ulicach, podobno Czesi walczą. Nic o tym nie wiedzieliśmy, tylko ten głupi komunikat z „prośbą o bratnią pomoc”. Japa nie chce wracać, boi się wojska.

\*

„Wyprowadzić i rozstrzelać - rozkazał generał...”

J. Heller, Paragraf 22

Paraska dotrzymała słowa i dowiedziała się dla mnie, jak to było w Tykocinie z Żydami, kiedy i tam dotarli Niemcy. Bardzo szybko, osłonięci szalonym pędem swoich wojsk na wschód, urządzili rzeź. Podobno kazali wszystkim Żydom przyjść na plac targowy, wcześniej rano - i oni przyszli. Z dziećmi, starcami, kalekami, tobołkami, koszykami, walizkami, psami i kotami. Jakiś specjalny oddział Wehrmachtu sformował kolumnę i na jej czele ustawił orkiestrę; potem szedł rabin i starsi gminy, a za nimi kolorowy tłum w różnych ubraniach, nawet w futrach, chociaż był sierpień. Szli z muzyką na Jeżewo, niby do getta w Białymstoku, ale po drodze kazano im skręcić w prawo, na Łopuchowo, gdzie pod lasem już były wykopane doły. To

chłopi je kopali, pod strażą z karabinami. I tam cały ten pochód wystrzelano, a rzeczy wrzucono na ciężarówki. Od pani Zosi Paraska się dowiedziała, że trochę Żydów uciekło. Jak pani Zosia, wówczas sześćioletnia dziewczynka, szła z koleżankami do lasu, za rzekę - a to przecież w drugą stronę, niż pogoniono Żydów - na jagody, to do nich przyłączyła się jakaś ubrana po gospodarsku Żydówka, ale że strasznie płakała i mówiła, że idzie do Tatar, to one się złękły i zaraz za pierwszym mostem uciekły i schowały się w trzcinach. I jeszcze tego dowiedziała się Paraska od ludzi, że doktor Turek (nie poszedł z rodziną, bo go nie było w domu), jak tylko wrócił od porodu ze wsi, to sam się do Niemców zgłosił. Nie wiedział, nie wierzył, nie rozumiał, chociaż tylu prostych ludzi od razu się połapało, co jest. Ale Niemcy pana doktora tylko odesłali do jakiegoś obozu, gdzie byli potrzebni lekarze.

- Babka mówią, że moc narodu Niemcy zabili i że od razu zmusili ludzi do robienia porządków, że niby miała być groźba zarazy. Więc w miasteczku zrobiło się luźno aż strach, ludzie się pochowali i było pusto. Co lepsze rzeczy żydowskie Niemcy wywieźli, a resztę pozwolili zabrać Polakom. I tak w ciągu kilku dni każdy wziął sobie, co mu się mogło przydać, nawet wieś się zleciała. A potem żydowskie domy zostały opieczętowane i nie wolno tam było chodzić i zrobiono zarząd.

- Ja tam żadnego wyobrażenia nie mam - powiedziała Paraska - ale z tego babci mówienia widać, że w naszych stronach kiedyś było inaczej. - I, nieświadoma dokonywanej uniwersalizacji, dodała: - Teraz tych Tykocinów i Knyszynów to już nie ma. Ojciec Paraski pochodził z Knyszyna.

\*

- Skąd wiesz? - spytała jak zwykle Alina, a ja po swojemu:

- Co wiem?

- No o tych karach w Grecji za Sokratesa, wiesz, bezbożność, różne takie deprawacje - dopytywała.

- Od Tatarkiewicza, ale nie z książki, tylko z odczytu.

- Byłeś? - Chciała wiedzieć, co teraz robię na uniwersytecie. Jak ją poznałem, studiowała etnografię, ale się zraziła i szybko przeniosła na SGGW, na ogrodnictwo. Z natury dociekliwa, chciała się zajmować ziołami, jakimiś egzotycznymi roślinami leczniczymi, lulecznicą himalajską czy gruczołkowcem pawim. „U nas egzotyka? Może też podróże zagraniczne?” - usłyszała. Została jej mięta, zimowit i jakiś glistnik jaskółcze ziele.

- Za bezbożność pięć lat, za recydywę kara śmierci. A Sokrates był recydywistą, wcale nie słuchał napomnień, mówił, co myśli, i nauczał, nauczał, nauczał. No i ktoś doniósł, że tym, co głosi, i sposobem dowodzenia demoralizuje młodzież. O tym donosicielu nikt nie pamięta, ale to, co stworzył Sokrates, to podstawa etyki, moralności, wielkich systemów filozoficznych, wiesz - Platon, Arystoteles...

- Co robiłeś na uniwersytecie? - przerwała. Bałem się kłamać dalej o odczycie, wiedziałem, że myśli o studiach Japy. - Cały wydział rozgonili?

- Nie, tylko drugi i trzeci rok - odpowiedziałem uczciwie.

- No to koniec. Będzie studiował w Paryżu - zdecydowała. - Albo w Anglii, sam wybierze.

Ciekawe, za co, pomyślałem, ale właśnie przyszła Anka i już nie zdążyłem powiedzieć, że albo budujemy dom, albo fundujemy Japie studia za granicą. Nie chciałem martwić Anki, która przyniosła nowe wiadomości. Już się pogodziła, że jej chłopak nie wraca, labidziła nad kolegami. Aż dziw, ile oni mieli żydowskich koleżanek i kolegów; dziw, bo nikt wcześniej nie zwracał na to uwagi.

- Rozpierducha kompletna na moim wydziale, płacz i zgrzytanie zębów. Odejdą akurat najciekawszi ludzie - wywodziła.

- Ktoś zostanie przecież - uspokajałem.

- Właśnie - odpowiedziała. - Czy mogłaby ze mną zostać Stefa? Jej rodzice muszą wyjechać, a ona nie chce. Dostanie pieniądze od ciotki z Izraela na dyplom. Mogłybyśmy razem mieszkać na Hożej?

- Hm. Na Hożej - mruknąłem i spojrzałem na Alinę. Japa z Anką mieli się żenić i już mieszkali razem w kupionym okazji mieszkanie. Długo to nie trwało, teraz Anka była tam sama, więc dlaczego by nie? - A jak Stefie idzie z miniaturami? - zapytałem i nie słuchając odpowiedzi, patrzyłem na Alinę. Moja żona milczała; lubiła Ankę, podobała jej się prędką miłość młodych, ich szalone decyzje.

- A co do tego ma Hanka Wspinaczkówna? - zapytała raptem, bo Hanka była wcześniej dziewczyną Japy. Anka zacisnęła usta.

- No bo... bo tu chodzi nie tylko o Żydów, inni też obrywają - zaczęła jakoś niezręcznie, a potem szybciotko wyjaśniła Alinie całą sytuację. - Więc rozumie pani, nasza grupa - Janek, Hanka, Słama i Wojtek...

Alina pokiwała głową i przerwała:

- Nie wszystko pojmuję, ale jasne, że możesz mieszkać ze Stefą.

\*

Brama ze skoblami, solidna, nowa, a plot byle jaki, stare drągi i słupki. Idę łąką, ty siedzisz w trawie, siadam i ja. Już nie mogę się ruszyć, jestem jak zawiązany. Wyciągam rękę i bezgłośnie krzyczę do ciebie: - dotknij! Ja chcę! Nie widzę twojej twarzy, wyciągam rękę do ciebie, czekam na twój dotyk. Pogłaskaj, Dotknij choć moich palców. Tango, tangere, tetigi, tactum. Zieloną trawę pokrywa szadz, moja ręka



prześwituje czerwonym pulsem pragnienia dotyku - daj mi go, proszę. Wszystko rozumiem, to nie ta łąka, to bariera białego stołu, szlaban, ale ja sięgam i proszę: - Daj mi rękę, tato, weź moją dłoń, zamknę oczy, przez krwawo podbite powieki widzę, jak odchodzisz, ciągniesz za sobą łąkę z wysoką trawą, co jeszcze nie wykwitła. Jest tylko słup telegraficzny, dalekie drzewa i blask zachodu słońca na oszadziałych liściach chrzast pod płotem, i to powolne, ssące pragnienie dotyku... łąka dotyku... tactus tuus...

\*

„Bez przodków, bez małżeństwa, bez potomków,  
a z dziką żądzą posiadania przodków,  
małżeństwa i potomków”.

F. Kafka, Dziennik

- Poślizgnąłem się i upadłem, o tak - pokazywał - i o mało nie straciłem ojcostwa - tłumaczył Tobi swoje rozdarte na pół dżinsy. - Zasztyje się?

- A oko? - zapytała spokojnie Alina.

- Oko to nic. Trochę zakleisz i dasz mi tę czarną opaskę Japy. Nic mi nie będzie - mówił, chociaż ślip już się zrobił czerwony. Trzy małe ranki od rury, po której skakał, prawie nie krwawiły. Rzeczywiście, wystarczy zakleić. Tobi, już trzynastoletni, ciągle wierzył w mamine zdolności usuwania bez śladu wszelkich ran i zadrapań.

Wieczorem Alina lamentowała:

- Co ja się z nimi mam, jak ja sobie poradzę, już nie mogę... - Ale jej łyzy były słodkie, usta nie drżały, tylko tak biadoliła nad sobą i chłopcami. Potem śmiała się, szczęśliwa.

- Z tym ojcostwem to mu się udało, prawda? Jaki elegancki! Nie, nic, obejrzałam, ma tylko otarte udo.

- Wszystko mu się udało. A on sam najbardziej. Pamiętasz, jak o mnie mówił? „Tata atleta, może mnie

podnieść, a statek też może, bo jest dźwig". I chciał mi dać za coś medal, zapomniałem za co.

Kiedy Tobi się urodził i dostał imię, matka sarkąła:

- Myślałam, że koniec z tymi apostołami, lubię ich, ale nie za bardzo. - I przyglądając się to dziecku, to fotografiom na komódce Aliny, dodała:

- Powinniście dać mu Franciszek, po twoim ojcu, bo dziecko do niego podobne.

Na to Alina, że przecież Japa jest ze chrztu Jan Michał, a to po pradziadku z jej rodziny, więc wystarczy. Ona będzie wołać na małego Tobi, bo tak jej się podoba.

- To żaden święty, Tobiasz to desperat - upierała się mamuśka. Nie chciała pamiętać, że nasz pierworodny dostał imię mojego ojca; chciała tępić nasze żydostwo, tak jakby mój ojciec nic nie znaczył, skoro był Polakiem. A jakby tak i w jego rodzinie znalazła się jakaś Estera? Joskówna, ma się rozumieć. Co mi tam, też mam o czym myśleć.

\*

Może jednak powinniśmy byli posłuchać matki i znaleźć jakieś inne imię dla Tobiego? On sam był zadowolony, dziadka nie pamiętał, tyle o nim wiedział, co od Japy i bliźniaków. Alina tak jakoś milcząco przeboleła śmierć ojca, rzadko opowiadała o nim chłopcom. Gdy umarł, była bardziej zajęta chorowitym Tobiaszkiem (i bardzo cierpiała z powodu niedawnego poronienia) niż kimkolwiek innym.

Kiedyś, dawno, Alina żartowała, że jestem płodny raz w roku, w maju, a potem płakała, wspominając nienarodzone. Poronienie to straszna rzecz; ten krwotok, strach w oczach kobiety, ból, skurcze, wreszcie pogotowie i lekarka - młoda, piękna Horpyna - która nie chciała ode mnie nic, tylko żebym przysunął stół do ściany.

- Nie pora na transport - stwierdziła. Jakoś dowlokła z sanitariuszem mdlejącą Alinę do stołu i zrobiła skrobankę. -

Koniec, może pan już wejść - powiedziała. - Proszę żonę potrzymać pięć dni w łóżku, tu zwolnienie z pracy, tu zlecenie na zastrzyki w domu. Tak, to penicylina.

Alina zasnęła natychmiast po kilku łykach kawy, której zażądała, sanitariusz uwijał się wprawnie i szybko, ja odprowadziłem Horpynę do furtki i wtedy ona, zanim wsiadła do sanitarki, zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i powiedziała:

- Wie pan, to byłaby dziewczynka, zawsze sprawdzam, w celach naukowych, oczywiście. No i ludzie często chcą wiedzieć. Ciekawe, prawda? Mężczyźni pragną synów. Nie rozumiem, jaką pociechę daje świadomość, co utracili. Ale to filozofia, dla lekarza interesujące są fakty; mnie przy takich zabiegach zastanawia, dlaczego najczęściej skrobię chłopców, co to za selekcja natury? Zbiorę karty zabiegowe z paru lat, statystyka jest ważna, sprawdzę, policzę, coś w tym musi być, przecież w zdrowiu zwykle przewagę ma płeć żeńska, to jasne. Za dwa lata mogę mieć dość materiału: pogotowie, szpitale, prywatne gabinety, wszystko ująć w tabele, prawda? Pan jest prawnikiem, może dodać coś z akt sądowych, jak pan myśli?

Coś jeszcze mówiła, ja milczący szurałem elegancko nogami, zegnałem panią doktor. Sanitarka odjechała, stałem przed domem oniemiały, ogłupiały, osłupiały. Co za menda! Musiała to powiedzieć? A ja? Skazaniec, wystawiony na pośmiewisko, bezbronny. Och, zabić, zabić, zabić to miłe, zdolne, wykształcone stworzenie, ludzkie stworzenie, takie dobre w swej robocie, sprawne, dokładne, bystre w komendach, żadnych zbędnych słów, tylko to jedno: „łożysko”.

Alina ciągle spała, matka wybrała się do sąsiadki po chłopców i z prośbą, żeby przed północą zrobiła chorej

zastrzyk. Stałem przed lustrem i wpatrywałem się w siebie, w moją twarz rozbitą, rozmazaną i szyderczą.

- Łachudra. Gamoń. Łach. Skunks. Buc. Skurwiel - mówiłem niegłośno, ale matka zaraz się zatroszczyła:

- Co tam mówisz, dlaczego przeklinasz, chciałbyś czegoś? Już robię kawę, okryj się, cały się trzęsiesz. Masz, wypij łyk koniaku. No już, siadaj, przykryję cię pledem, nie hałasuj. Alina musi spać, zaraz zadzwonię do jej matki, ona zawsze ma proszki nasenne. Trzeba zrobić coś, żeby Alina jak najwięcej czasu przespała. Co mówisz? Daj rękę, siadaj, mówię, chcę wiedzieć, co ta lekarka powiedziała. No wypij tę kawę, bo mi zaśniesz, potem zrobię ci omlet, nic nie jadleś, stracisz siły. No mów, chyba nie będzie komplikacji, ta lekarka sprawia bardzo dobre wrażenie, no mów...

Co jej miałem powiedzieć? To, co usłyszałem? Żeby się cieszyła tym poronieniem, żeby odetchnęła: nie będzie w naszej rodzinie żadnej małej Żydóweczki. Milczałem długo, zmagając się z nienawiścią do matki, i tylko wydusiłem z siebie:

- Alina o mało nie umarła, pamiętaj. - Oczy miałem mocno zaciśnięte, nie chciałem jej widzieć. Matka zgasła dużą lampę, zostałem w półmroku, zasnąłem.

Niedługo potem Japa, którego dziadek nazywał Michasiem, niósł w kondukcje pogrzebowym aksamitną poduszkę z Krzyżem Virtuti Militari za wojnę 1920 roku, a Mat i Marek wzdychali, że mimo śmierci dziadka wcale nie wiedzą, jak się umiera. Nikt im tego nie wyjaśnił, o umieraniu się nie mówi. Ja sam żałowałem teścia, choć on zawsze traktował mnie powściągliwie; Alina mówiła, że jej tata, ojciec czterech córek, był wciąż zdziwiony, że spłodziłem tylu synów.

\*

„gdyby ona umarła miałbym ręce rozwiązane”.

## T. Różewicz, Rozwiązane ręce

- Jestem, jestem, już idę! - zawołała matka, zgasiła radio i pobiegła otworzyć drzwi, a Paraska urwała krótkie dźwięki, które powtarzała za radiowym koncertem. Matka już się ścisnęła z ciotką Janką i zamykała drzwi do kuchni, skąd dobiegały słowa piosenki. - Słuch to ona ma absolutny, ale te teksty - westchnęła przepaszająco.

- Ładne słowa, nawet je trochę pamiętam - uprzejmie powiedziała ciotka. - To śpiewała wtedy... Słyszałaś? - zapytała, a matka wyciągnęła szyję. Zagłębiły się w fotelach i rozmowie o najnowszych wydarzeniach w towarzystwie. Ćwierkały coś o książce i chorobie Czajki i jakiejś Hani, o której się mówi, że jej chujem z oczu patrzy, a to tylko taki sobie seksapil. Było mi niezręcznie wyjść, chociaż bardzo chciałem znaleźć się w kuchni, gdzie Paraska szykowała śniadanko i kawę dla pań. Coś stuknęło, więc ruszyłem zobaczyć. Nic mnie nie obchodził szyk pani Grabowskiej ani straszne skutki rozvodu państwa Rogalińskich, chciałem słuchać głosu, który śpiewał: „O mój wymarzony, o mój wytęskniony, nikt nie kocha tak jak ja...”.

- Coś potrzeba? Tylko przegnałam kocura. Zaraz przyniesę popielniczki - powiedziała Paraska i nie śpiewała już więcej. Rozejrzałem się po kuchni, powąchałem szynkę, poprawiłem gaz pod czajnikiem. Na patelni podsmażał się ulnik, to dla mnie, dla pań były tartinki z chałki. Pachniało smakowicie.

- Przecież to kugiel! - zachnęła się matka na widok Paraskowego ulnika, a Paraska grzecznie:

- Po naszymu ulnik, ale może być i tak, jak pani mówi. U nas kugiel to się robi z cebuli, macy i jaj, ale dopiero na wiosnę, jak jajka tanie.

Ulnik robiliśmy z Paraską tak: kartofle trze się i odcedza z nadmiaru soku. Dodaje się podsmażoną na gęsim lub kaczym tłuszczu cebulę, potem kilka mocno roztrzepanych jajek, trzy łyżki mączki ziemniaczanej, sól, pieprz, gałkę muszkatołową i ciut imbiru. Wszystko trzeba dokładnie wymieszać i wylać na mocno olejem natłuszczoną blachę. Piecze się całą godzinę, a zjada prosto z pieca. Do tego sałata, a jak kto lubi, to zimne mleko.

Nakładając sobie na talerzyk spory kawałek podsmażonego z obu stron ulnika, myślałem o wczorajszym dniu. Mamuśka, ha! To dopiero! Tak się z tą cioteczną siostrą kochają, że tydzień temu „nie miała siły” powiedzieć jej o najeździe na Czechosłowację.

- Wiesz, Janka by się tym strasznie zdenerwowała, a Antoni! Nie mogłam jej tego zrobić tak z samego rana, niech się sami jakoś dowiedzą, choćby z telewizji. Zresztą Antoni słucha BBC...

\*

„Śniła się zima, ja biegłem po śniegu...” ...przez moją głowę szedł pogrzeb, końca nie było rzędom ludzi z kwiatami i świecami. Ja w śniegu i lodzie. Księżyc uciekający czy może doganiany, ostatnia kwadra, wąski rogalik nie do ugryzienia. Ludzie idą i idą, dzwony dzwonią i dzwonią, jak to na wiejskim pogrzebie. To są wszystkie pogrzeby świata, co były, są i będą, wszystkie przez moją głowę, po śniegu i lodzie, po słońcu i księżycu, leżę płasko na kamieniach w strumyku. Oni idą, choć nie ma tam ścieżki, muszą przez moją głowę, bo tylko wtedy pogrzeb się liczy. Ktoś woła:

- Jest tam kto?
- Ist niemand da?
- Liudi au!
- Anyone there?
- Il y a quelq'un? ...daj im wieczne spoczywanie...

\*

„Puszczaj chleb twój po wodzie, bo po wielu dniach znajdziesz go”.

Eklezjastes, XI, 1

- Leć na kompost, ja tu teraz sprzątam. Weź papier - zarządziła Paraska. Patrzyłem przez okienko w ciemnej spizarnce, jak Łapa się wypina, słyszałem, jak stęka. Nauczył się tak załatwiać podczas wakacji w Tykocinie i teraz wołał kompost od siedzenia na sedesie. Kompost był blisko sadu i wielki krzak jaśminu osłaniał fajdających i sikających.

- To takie naturalne - mówiła mamuśka, a ja, nie bacząc na zachłanną miłość babki do Łapy, wściekałem się, bo było w jej głosie coś fałszywego.

Trochę połasuchowałem w spizarni i kuchni i wróciłem do dużego pokoju, gdzie matka z Aliną i z Paraską przeglądały rzeczy z paczki. Ciocia Fela ciągle przysyłała nam znoszone ubrania swoich trzech wnuków, córki i własne, hojnie inkrustując paczki nowymi džinsami, swetrami, skarpetkami i rajstopami. Nie przepadałem za dniami pełnymi ciuchowych wzruszeń, ale czasami Fela wtykała do paczki książki i w ten sposób mogłem zapoznać się na przykład z najnowszą powieścią jakiegoś autora, choćby Cendrarsa, opisującego perypetie swoje i koleżki w antwerpskim burdelu i porcie. Tak w ogóle to paczki te wspomagały nas, jak wiele rodzin, dodawały koloru i radości na co dzień. Trochę też się bawiłem, obserwując przydziały, przymiarki i wesołe parady w ciocinych wymyślnych kapeluszach.

- Boże, jakie to piękne! - wzdychała matka, wciskając Alinie niebieski kostium. - Moja droga, ponosisz to ze dwa lata, bardzo porządny tweed, a jaki miękki! Wcale nie trzeba skracać, popatrz, jest żurnal, właśnie tak teraz się nosi. Oczywiście, Dominika pewnie znowu przytyła i dlatego... ale

to dobrze dla nas, bo masz całkiem nową rzecz i to prosto z Paryża! Jak pięknie wygląda z tą twoją nową bluzką! Bardzo się cieszę... O, popatrz! To przecież mini, spójrz tylko! Ciekawe... będziesz nosiła? Śmieszne, ale nawet ładne. Musisz zaraz Przymierzyć, nogi masz akurat...

Alina, ciągle szczupła, oglądała się w lustrze, unosząc lekko spódnicę, prostując nogę, wspinając się na palce. Ciuchy lubiła, nawet na Skaryszewską jeździła po bardotki. Patrzyłem na nią z przyjemnością. Chłopcy przymierzali spodnie i koszulki. Tobi od razu chwycił zamszową kamizelkę kowbojską i wrzasnął: „To dla mnie!”. Łapa wciągał za duże džinsy i żądał skrócenia nogawek, ale już! Bo on jutro pójdzie w nich do szkoły! Paraska, która w kuchni ostro trzaskała garnkami, przy szmatkach robiła się łagodna i rzewna. Omdlewała na widok jedwabnych apaszek; delikatnie przesuwała je szorstkimi palcami w pudełku od Hermesa, 24 Faubourg Saint Honore, Paris, odsłaniając kolejne cudo.

- Chcesz? - zapytała Alina i podała dziewczynie turkusową chustkę i granatowy sweterek. Matka się nie wtrącała, bo Łapa ciągnął ją do kąta, do maszyny do szycia. Zaczyna się, pomyślałem z niechęcią. Łapa miał swój sposób na babkę. Raz krzykiem, raz szybkimi pocałunkami wymuszał na niej, co tylko chciał, a mamuśka tak lubiła mu ulegać! Teraz też: już siedziała przy tym swoim singerowskim antyku, który zdobyła dzięki przelotnej chciwości, jaka ją napadła dawno temu w Antwerpii, zaraz po wojnie. Zazgrzytało, zastukotało, zaturkotało. Łapa wyciągnął z maszyny długą wąską szufladkę, przywiązał do uchwyty centymetr i przyciągnął do Paraski, żeby pobawić się z dziewczyną guzikami. Do szufladki od razu wskoczył Nambu, kocurek Łapy, małe psotne licho. Paraska co chwila wołała „psik!” i dalej pomagała Łapie liczyć guziki.



Siedziałem z Hilem, osieroconym i leniwym kotem Japy na kolanach, było mi ciepło, syto i szczęśliwie, kocur co jakiś czas strzygł jednym uchem ku Łapie i Nambu, ale nie chciało mu się ruszyć. Też mu było dobrze. Paraska nuciła i szybko przewijała rozartgany przez kota kłębek nici na szpulkę, raptem zawołała:

- O, kamyk! - coś ostro błysnęło i Łapa przyniósł mi ołowianoszarą grudkę. Patrzyłem na nią i najpierw pomyślałem: A skąd ja wezmę diamentowy proszek do oszlifowania tego czegoś? Pomilczałem, spoglądając chwilę na bawiących się, a potem przysiadłem się do nich. Kilka wcale niewyglądających na złoto szpuleczek z kolorowymi nićmi, dwa brunatne kamyki, spora atramentowego koloru grudka, mały rubin jak koralik, dziesięć matowoszarych okrągłych płytek wśród guzików, jakiś zwitek brudnego papieru z małymi diamencikami. Hm.

Dopiero wieczorem pomyślałem, że przecież singerowska maszyna do szycia ma dwie szufladki i że chyba należała do biednej starej Titi, mojej wybawicielki, która tak nagle umarła.

- Te guziki to stare rosyjskie monety. Bili je jakieś sto lat temu, jak jeszcze nie wiedzieli, co można zrobić z platyny - powiedziałem Alinie.

Potem pojawiły się w mojej głowie dwa szafirowe, spore kaboszony z przepięknym asteryzmem, które miałem oprawić w platynę i złoto pierścionków.

\*

- Pani Japalska, pani pozwoli - wywołała matkę sąsiadka z góry. Stały na ganku i przyglądały się wyczynom Marka i Mata. Obaj krzyczeli z radości i uzbrojeni w jakieś żelastwa wspinali się po słupie jeden za drugim, potem zgodnie w dół, a po chwili odpoczynku skok i próba włożenia „na małpę”. Matka zawołała chłopców i od razu urządziliśmy naradę. Ponieważ bliźniacy i tak od dwóch lat próbowali taternictwa,

postanowiliśmy zbudować im w pokoju prawdziwe drabinki do ćwiczeń.

- Idzie zima - dowodziła mamusia. - I tak będzie przerwa, bo nie macie odpowiednich butów i jest szkoła. A do tego pani Wagner nie może patrzeć, jak wisicie na tym słupie. Boi się, ma takie delikatne... - przerwała i krzyknęła w stronę kuchni: - A ty co tam robisz?

- Czyszcę ryby! - zapiał Tobi mutacyjnym dyszkantem.

- Jakie ryby?

- Już mówiłem, tylko nikt nie słucha. Byłem nad rzeką, złowiłem trzy szczupaki, razem z Borsukiem złowiliśmy siedem. Nic się nie martw, zanim wróci Paraska, zdążę sprawić. A ty lepiej wyjdź - zwrócił się do Aliny. - Ty nie patrz, tamten duży jeszcze się rusza.

Alina jednak nie wyszła, w milczeniu przyglądała się synowi.

- No to patrz, jakie są, widzisz? Ale się udało!

- huczał basem. - W listopadzie najlepiej biorą, capnie taki muchę i już go mam - przechwalał się.

- Żeby tak jeszcze mieć lepszą wędkę i chociaż kilka prawdziwych sztucznych much...

Alina milczała. Kiedyś nazwała Borsuka zwierzakiem, zezłoszczona robakami w lodówce; niby tak jej się wyrwało, ale tak naprawdę nie lubiła ani Tobiaszkowego wędkowania, ani Borsuka. Wolała innych kolegów syna, takich jak Tomek, miłych i delikatnych. Więc się kłócili. Ona jak zwykle zakazywała, on wrzeszczał lub błagał.

- Tylko tak na niego nie mów! - darł się na matkę. - Wcale nie jest zwierzak, Borsuk to nie ksywa to jego nazwisko. Sama mówiłaś, że z nazwisk się nie żartuje! I na imię ma Andrzej! Obiecuję ci, że tylko w niedziele, że nie będę latał na piłkę, tylko na ryby i nosić skrzynki na Polnej. Pozwól! - I już spoglądał na mnie z prośbą o pomoc.

Cóż, mnie było łatwiej. Nie brzydziły mnie rosówki w lodówce, podobała mi się pasja Tobiego, lubiłem Borsuka. Po cichu zasiląłem kieszeń syna, bo wędkarstwo nie jest tanie, a zarobki za pomoc na Polnej, gdzie handlowała matka Borsuka, wcale nie takie duże. Ciągle też pamiętałem lekcję, jaką dał nam Japa po przeczytaniu Korczaka. Ile on miał wtedy lat? Chyba dziewięć; stukał palcem w okładkę i mówił: „Szanuj dziecko”. Więc teraz popatrzyłem na Alinę i spytałem:

- Pamiętasz książkę „Kiedy znów będę mały”? Zaczerwieniła się i nic nie powiedziała. jakoś się dogadali; Tobie obiecał, że nie będą za szybko jeździć motorem Andrzeja, że sam będzie szykował zanętę, a robakami zajmie się Borsuk. Alina jednak nocą z soboty na niedzielę i tak źle sypiała; na kopanie dżdżownic chłopcy wybierali się wieczorem.

\*

Siedzą i czekają. Cztery pary oczu. Ja stoję i milczę. Egzamin z polskiego. - To proste - zachęca pani. - „Nad Niemnem”, solidaryzm społeczny Elizy Orzeszkowej... rozumiesz? Milczę. Grzebię w głowie, a tam ślimaki, wielkie rude pomrowy, zupełnie jak z atlasu zoologicznego. Śliskie. Nie wiem, co to solidaryzm, boję się i mówię: - Nie czytałem tej książki, a solidaryzm to... - Nie czytałeś Orzeszkowej? To co czytałeś? - pyta łagodnie, więc ja śmiało:

- Przeczytałem... „Państwo Boże” po francusku, „Obronę Sokratesa” po łacinie i jeszcze... - wyliczam ze strachem autorów i tytuły. I pocę się. - Nie, tam nie było nic po polsku. Tylko Mickiewicz... „Pan Tadeusz”, wydanie z 1834 roku - czepiam się deski ratunku. - I ja to umiem na pamięć, bo czytałem dla języka. Później? Nie, żadnego później nie było, tylko wciąż wojna... siedziałem w takim bezokiennym pokoju i był warsztat. Nocami oglądałem mapy i atlasy, czytałem te rzeczy i... poznałem sztukę przeszlifowywaniaty...

diamentów, mogę powiedzieć, to dość proste, żadna tajemnica teraz, bierze się... Słucham? - Nie, żadnych lektur nie znam, zabrali mi te lata... więc Sienkiewicza też nie. Jak się bez niego uchowałem? Tak jakoś... Boję się coraz bardziej, bo pani od polskiego nie chce wierzyć:

- Nie znasz Trylogii? To niemożliwe. - I kręci głową, i odyma usta, i patrzy nierozumnie, i krzywi się z niechęcią. Czuję to, a ona... obcasem wierci dziurę w podłodze: - Nie udawaj, Japalski, w czasie wojny można było się uczyć. Ty mi się tutaj popisujesz filozofią i językami, to na nic. Jak ty przeżyłeś bez nauki? Co? - Ależ ja czytałem, ja z językami, diamentami i z... - chcę powiedzieć... a ona ma minę, jakby chciała zapytać: „i po coś ty przeżył, skoro nie znasz kanonu literatury polskiej?”.

- Wiem, proszę pani, to kanon gimnazjum i liceum, ja powinienem, mnie się udało bez tego, tak jakoś wyszło, ale teraz, rychło w czas ja... już tamtego nie muszę... ja teraz, kiedy... ja... no, przeżyłem... to... - Co za udręka... budzę się, budzę...

\*

„Podsuwam wodę, podpłomyki świeże  
(...) w bordelu, kędy mamy zacne leże”.  
F. Villon, Wielki testament

Dzień pełen treści. Wskoczyłem z autobusu na placu Konstytucji i od razu spotkałem Zimanda. Poszliśmy na kawę, wysłuchałem gadki, kto wyjeżdża, a kto nie. Oblęd. Potem szliśmy Koszykową, on skręcił w Lwowską, gdzie jadał „obiady domowe”, ja poszedłem do desy, trochę tam miałem swoich wyrobów. A teraz szukałem czegoś dla Aliny i właśnie znalazłem - szare agaty uformowane za pomocą srebrnych drucików w sznur koralii. Piękne! Miały kolor jej oczu.

Kiedy wróciłem do domu i przechodziłem do dużego pokoju, rzuciłem okiem na matę. Coś mnie tknęło: przecież to pismo Japy, taki charakterystyczny dla leworęcznych półdruk. Kartka pognieciona, więc rozprostowuję. Japy nie ma od ponad pół roku, w gazetce żadnych jego tekstów, a tu proszę, wiersz:

Jam jest najdoskonalszy Układ samosterujący  
Poszukiwany obszar ufności Zbalansowana ścieżka wzrostu  
Człowiek.

A biologicznie archiwum dziejów Siedziba majestatu  
natury Póki co nienaruszalnego.

- A to ci dopiero! - mruknąłem. Wiedziałem, że pisze wiersze, ale że się ukrywał i trochę wstydził, nic nie mówiłem. Rimbaud się znalazł, psiakrew, wcześniej zaczął. Ja w tych jego wierszach widziałem raczej Villonowską grubszą kreskę, a opowiadki kraszone były dosadnym słowem. Skąd raptem coś takiego? Od Paraski dowiedziałem się, że kartkę znalazła, sprzątajac tapczan Japy, a że „napisane, to wyczepiłam na tej ichniej gazecie”. Pomyślałem, że przy mnie Paraska jakoś łatwo wraca do swojego języka, który mamuśka uważała za wsiowy. Postąłem chwilę przed słomianą matą, przeczytałem manifest Tobiego: „My narody kolonialne ogłaszamy wolność i niepodległość”, wykaligrafowany specjalnie nieporadnym pismem, a zaraz obok jego gorący apel o dobre kolacje i Łapowe kulfony z prośbą o dobre śniadanie. To korespondencja chłopców z Paraską, która owszem, prośby o „jajka na bekonie po angielsku i razowiec na miodzie” czytała, ale na stół stawiała Tobiemu jajecznicę po tykocińsku - dużo skwarek grubo krojonych. Trochę więcej względów okazywała Łapie, żądającemu na śniadanie „płatków owsianych z rodzynkami, jajek w szklance i soku pomarańczowego”, co też zwykle dostawał zamiast bułek z szynką oraz herbaty, ulubionych przez Paraskę.

Na stole w dużym pokoju list od Japy, bardzo przez cenzurę pokiereszowany, za to w plastikowej osłonce i z pieczętką: „list nadszedł z zagranicy uszkodzony”. Japa już jest w Anglii, stara się o stypendium; egzamin zdał bardzo dobrze, język zna nieźle, będzie pracował, bo semestr jednak musi powtórzyć, a Villon, choć był bardzo wspaniałomyślny, jednak się kończy. Uśmiechnąłem się do tego zdania i pomyślałem, jak to przed wyjazdem Japy lekką ręką sięgnąłem do skrzyni, wyciągnąłem pierwsze wydanie „Wielkiego testamentu” z 1489 roku - trzysta lat przed Wielką Francuską Rewolucją! - i dałem mu. Powiedziałem, gdzie w Paryżu ma iść, jakby co, i po ojcowsku dodałem słynne Villonowskie „nie leż w błoto”. A ten szczeniak wziął, wsadził książeczkę w okładkę po kryminale, poklepał, mruknął „dobra, dobra” i wsunął do kieszeni kurtki. W pociągu czytał, jakby nigdy nic, a na odprawie trzymał książkę w ręku! I dalej dobrze sobie poradził, bo mając forszę, mógł, porozrabiawszy z francuskimi kolegami, machnąć się z jakimś rudzielcem, takim samym jak on, do Berlina Zachodniego, a potem w samą porę wylądować w Londynie u stryja Antoniego, najstarszego z kuzynów Aliny. Stary to on jest - napisał - ale nieźle się urządził. Podał adres w Richmond. Alina się ucieszy, że tak sobie Japa dał radę; wtedy w marcu, kiedy chłopak zbierał się do wyjazdu - bardzo niechętnie, bo rozpoczynał się solidarnościowy z Uniwersytetem strajk na Politechnice, a do tego Anka nie dostała paszportu - Alina się zamartwiała i nie wiedziała, co robić. Ale jechać musiał, wszystko było wcześniej nagrane, i taka okazja, zjazd studenckich kół naukowych, no i władze wtedy jeszcze udawały, że u nas wszystko w porządku, normalnie.

- "Wina, wina, wina dajcie, a jak umrę, pochowajcie" - śpiewała Paraska, grając tęsknozawadiacką melodię na pianinie. - „Hej, hej, hej sokoły...” - niosło się po całym domu.

Postanowiłem coś z tym jej talentem zrobić, może jakieś ognisko muzyczne, czy co. Ale dopiero po naradach z matką i Aliną zawiozłem ją późną wiosną następnego roku do słynnej pani Miry.

Na obiad jedliśmy supę ogórkową z ukwaszonych przez Paraskę ogórków i befsztyki z polędwicy. Robiliśmy je razem; ona wkładała grube plastry mięsa do plastikowych torebek, ja tłukłem je płasko trzymanym wałkiem do ciasta, delikatnie. Smaży się je na małej ilości tłuszczu, wkłada do gorącego żeliwnego rondla i dopiero wtedy dodaje masło, sól i pieprz. Próbowałem wytłumaczyć Parasce, na czym polega tajemnica puree. Robiła wszystko, jak kazałem, ale puszystą masę nazywała tłuczonymi kartoflami. Matka przyjrzała się półmiskowi i salaterkom z pomidorami i papryką i wyciągnęła butelkę czerwonego wina, a potem drugą. Była tak dumna z Japy, jakby sama była jego matką i ojcem.

Dopiero wieczorem opowiedziałem jej o rozmowie z Zimandem, a ona zezłościła się:

- Ojciec zadżumionych się znalazł, psiakrew, żebyś mi nie dał się w to wciągnąć! - zagroziła i zaraz: - Lepiej posłuchaj, co mi się śniło, bo widzisz, cały czas...

Ja, choć dość mocno ogłuszony własnymi przeżyciami, poddałem się bez grymasów. Usiadłem w fotelu i tylko trochę zachnąłem się na przydługie mamuśkowe „bo ty masz magnetyczną pamięć i dobrze to zapiszesz”. Gdzieś w połowie jej opowieści połapałem się, że już to któreś z nas śniło, nic nie powiedziałem, niech mówi, co to szkodzi, sny często się plączą między ludźmi, słuchałem jednak mniej uważnie, czego nie zauważyła, przejęta śnioną grą na wyścigach i galopadą koni. Całe szczęście nigdy nie próbowała tłumaczyć snów ani swoich, ani moich, wystarczało jej ich zwerbalizowanie. Na moje próby odgadnięcia sensu sennych zwidów zawsze machała ręką.

- Daj spokój, do tego potrzebny byłby jakiś Einstein.

\*

Zabiłam. Głowa - czaszka osobno, wałę pięścią, wałę, zlatuje skóra, oczy, włosy, żywe, mokre bez krwi, czaszka z suchej kości już odrutowana jak garnek wykopaliskowy, wałę otwartą dłonią, drut jak coś, co wryło się w ryło, czaszka jak piłka nożna pozszywana z kawałków od środka, patrzy dziurami, wałę kantem dłoni między oczy, nie słysząc trzasku: halucygenia kambryjska, skulona, kolce do środka, szwy na wierzchu, kryte. Da się zabić. Odbiegam do tyłu, biorę rozpęd, trafiam w kościaną bryłę, leci, wirując, do góry, rozpada się, znika. Nie jest kulą ziemską, nie krąży, nie wróci, raz dokoła, raz dokoła. Zabiłam. Teraz pokaz mody, wszyscy na plac, modelki na wybieg, teraz jestem górą, ot co, albo tylko tyle, że nie na dole. Kolory różowe i pomarańczowe razem, wystawa, kupić, sprzedać, zamienić, targowisko, rzeczy tylko trochę używane, tylko jeden raz. Biorę lekkie, kolorowe szmaty, zarzucam na ramię, kasa, nie mam pieniędzy, kradnę... Wystawa, pokaz, to wyścig, koń mój! Mam konia! Górą! To ja, to ja górą! Jestem! Forsa furda, koniu mój, koniu...

\*

„W twoich oczach kiedy  
pal się we mnie wspina rosna drzazgi. Rosna drzazgi pal  
się we mnie wspina”.

M. Kłobukowski, Pal się we mnie

Tej zimy dużo pichciłem - już to dlatego, że miałem ochotę, już to dlatego, że Paraska pojechała do ciotki w Morzyczynie, a tam wylał Bug.

Coraz bardziej lubiłem gotowanie z Paraska. Czasami robiliśmy wielki gar gołąbków z mięsem i ryżem, spierając się rozkosznie, czy mają być podprawione grzybami, czy pomidorami. Paraska wołała grzyby, których dużo, i to



prawdziwków, dostaliśmy z Tykocina, ja byłem za pomidorami łączonymi z tartą cebulą. Zrazy zawijane Paraska robiła sama, ja tylko spinałem je patyczkami i zaglądałem do rondla, czy aby mają dość sosu. Nadzienie do zrazów to według Paraski prosta sprawa: słupki słoniny, zuchelek borowika i piórka cebuli. Sos, którego pilnowałem, doprawiając solą, pieprzem, kostką rosółową i śmietaną, najlepiej smakował z perłową kaszą. Żeby móc gotować, przyjąłem do warsztatu jeszcze jednego pracownika. Sam przyspieszałem z robotą i wreszcie, już w domu odciągałem dziewczynę od pianina lub sprzątanania, krzycząc, że jestem strasznie głodny. Potem, ukojony zapachami i kawałkiem chleba ze smalcem, robiłem sok z marchwi dla Aliny i Łapy, surówkę ze słodkiej kapusty z orzechami i majonezem dla mamuski i Tobiego, kanapki dla Marka i Mata. Wyciągałem miski i półmiski, salaterki i talerzyki, rozstawiałem, układałem, siekałem nawet czosnek, pietruszkę i cebulę, szykowałem jedzonko na czas filmów w telewizji: pakowałem krakersy z serem do małych torebek i wtykałem tam dla każdego małą niespodziankę - gruszkę, jabłko, suszone śliwki i morele, czekoladkę lub mały marcepanik i krówkę Pomorskiego, kupowane w sklepiku na Marszałkowskiej róg Wilczej.

Zrobiliśmy barszcz z uszkami, zrobiliśmy kołduny, nawet nadziewane pyzy. A potem, na tłusty czwartek, pączki i faworki. Rok wcześniej, kiedy Wielkanoc wypadła w połowie kwietnia, mogliśmy połączyć tłusty czwartek z urodzinami chłopców i urządzić prawdziwy kinderbal. Było wtedy dużo dzieci i młodzieży i mimo wielkiego podniecenia dorosłych polityką bawiliśmy się jak zwykle. Wujcio Zimand, który dawniej występował na gwiazdkę jako święty Mikołaj naszego domu, przychodził teraz strasznie dumny ze swoją córką, Kosią, trochę młodszą od naszego Łapy. Patrzyłem na

to dziecko i myślałem: Czego tu się właściwie bać? Takiej małej dziewczynki?

W tym roku zabrakło prawie połowy naszych gości, a co najsmutniejsze, dzieci. Nawet nie próbowaliśmy udawać, że jest normalnie. Mamuśka, teraz przedwczesna emerytka, miała właśnie pojechać do Paryża, a ja smutny powiedziałem jej coś na temat naszego opuszczenia i wyrzucenia. Zachnęła się i warknęła:

- Ja tak nie czuję, jadę do Feli jak zwykle. - I dodała twardo:

- A ty masz żonę i dzieci.

Miałem, jak większość. I jak większość musiałem żyć. Spodziewałem się zresztą powtórki sukcesu z ubiegłego roku w moich usługach dla ludności. Celowo rozhuśtany patriotyzm owocował zwiększonym zapotrzebowaniem na pamiątki komunijne. Antysemityzm i pokazowa religijność wspierały się, z korzyścią dla mnie. Cynizm, panie Japalski? Co mi tam. Potrzebowałem forsy, jak inni.

\*

Pieć i szatani... zbudziłem się ze straszego snu cały mokry i od razu podbiegłem do okna. Dniało. Co tam senne majaki, przecież miałem wstać i spalić zimowe słomiaki, łęty i gałęzie. Przy okazji zrobić porządki z zabawkami chłopców. Już ich przepytalem, oprócz misiów wyrzucili wszystko na ganek. Bardzo dobrze - pomyślałem. Nie będziemy przecież zabierali śmieci do nowego domu.

Był lekki mróz, wiosenny. Szybko rozpałem ognisko i kiedy zrobiło się dość żaru, biegnąc do domu i z powrotem, wrzucałem na płonący stos karty do gry, warcaby, zabawki w rodzaju „mały milicjant”, mały doktor, ślusarz, chemik, stolarz, lotnik itd. Drewniane klocki z dzieciństwa Japy i bliźniaków paliły się najlepiej, kolekcja plastikowych miszków Tobiego też poszła w ogień, dymiąc kolorowo i dość

smrodliwie. Chwilę zastanawiałem się nad drewnianą hulajnogą Tobiego i odniosłem ją do swego pokoju. Niech zostanie, na pamiątkę. Bez żalu sypnąłem na płonący stos bloki rysunkowe, rulony poszarpanych plakatów, książeczki z malunkami, resztki kredek, poobgryzanych ołówków, pędzli i pisaków, obrazki Mata i Marka na deszczułkach i okleinie, powiązane w paczki - dużo tego było, ogień poszedł wysoko, szybki i nieczuły. Odsunąłem na bok misterną szkatułkę z pchełkami i „Monopoly”, trochę tylko wybrakowaną grę, w którą Łapa bawił się jeszcze z kolegami, schowałem też do swojej skrzyni porzucone przez niego samochodziki matchboxy. Wszystkie indiańskie pióropusze, kołczany i skalpy spłonęły z trzaskiem i zielonymi błyskami, tak samo stare paski, kapcie, szkolne torby, resztki świeczek i ozdób choinkowych domowego wyrobu; potargane anielskie włosy, lśniące złotem jak nowe; komplety samolotów do sklejenia, nigdy niedokończone; połamane rakiety tenisowe i dwa tornistry Łapy, pełne czarnych kostek domino, drewnianych szpulek, z których sami robili jo - jo, kolorowych bierek, resztek lotto i chińczyka. Koniec, zaraz ósma, resztę spalę jesienią.'

Czekałem chwilę, aż się ognisko dopali i będę mógł wziąć prysznic. Trochę myślałem o tym, co mi się śniło nad ranem i o różnych moich zabawkach z dzieciństwa, które zostawiłem w domu, wyjeżdżając do cioci Feli na cały rok szkolny, ostatni przed wojną. Minionej nocy tamten czas powrócił tonami wody podczas jazdy na szczytach fal. To okropieństwa. Przyszło mi do głowy, że powinienem sen zapisać, i pożałowałem nieobecności matki - już ona by wykuksała ze mnie prześnione zdarzenia tym swoim „opowiedziane, zapisane, niewytłumaczone”.

Paraska zagasiła żar, wyniosła popiół na kompost, zamiotła podwórko i wysypała całe żółtym piaskiem. Kiedy

wróciłem pod wieczór, ganek był wybielony wapnem, skrzynki z pelargoniami ustawione pod ścianą. Prawie jak na wsi - pomyślałem uradowany; nie wiedziałem, co taki wystrój domostwa znaczy, dopiero podczas pijackich wieczorów, sierpniowo sypiących gwiazdami, usłyszałem w tykocińskiej „Narwiance” - tu jest panna na wydaniu.

\*

Tamtego dnia wracałem do domu zły. Po drodze wstąpiłem do redakcji „Twórczości”, bo im kiedyś posłałem kilka wierszy. I teraz usłyszałem, że cierpienia młodej kobiety owszem, interesujące, ale oni wolą męskie uczucia. Zezłościłem się i zabrałem wszystko, także to, co chcieli drukować - poemat o umieraniu. Chciałem im zrobić kawał i przepisałem początkowy fragment naukowego artykułu jakiegoś lekarza na temat reanimacji:

Życie i śmierć rozdziela umieranie. Jest to proces rozciągły w czasie. Uzgodnione dotychczas czynności układów ustroju dające zespół objawów fizjologicznych uchwytnych naszymi zmysłami i nazywanych życiem ulegają w okresie umierania rozkojarzeniu i postępującemu osłabieniu...

Dalej było o wyłączaniu czynności tkanek i narządów, śmierci funkcjonalnej, nieprawidłowych przemianach fizycznych i chemicznych i o „stanie ciszy czynnościowej”, która tak naprawdę „nie istnieje, nawet w przedmiotach pospolicie zwanych martwymi”.

- To, to - zachwycali się. - Niech pan podkreśli tę „ciszę czynnościową” i już drukujemy.

Więc pomyślałem sobie: „dłoń trupa” i „węża zielonego”, dodałem „takiego wała”, powiedziałem „dziękuję” i wyszedłem. Byłem zły, bo naprawdę zależało mi na moim małym, babskim, jak powiedzieli, poemacie. Dupki, woleli się nabrać na mój żart, chociaż nawet nie wysiliłem się na

doskonalsze ułożenie w „schodki” tego bardzo przecież kunsztownego opisu. Byłem zły i nic nie pomagało powtarzanie za Wolandem: „Nigdy i nikogo o nic nie prosić! Nigdy i o nic, tych zwłaszcza, którzy są od nas potężniejsi. Sami zaproponują, sami wszystko dadzą”.

A w domu nic, tylko zapachy. Zapomniałem, że to Wielki Czwartek, że mazurki, pasztety, baby drożdżowe, udziec cielęcy szpikowany świeżą słoninką, sernik, schab pieczony z kminkiem, szparagi, pomarańcze, hiacynty i fiołki. Zrobiliśmy jeszcze z Paraską majonez i przygotowaliśmy święconkę. Alina z Łapą poszli do jej matki zanieść trochę naszych specjałów i pomóc upiąć firanki. Zjadłem, grzesznik, podwójną porcję schabu, plaster cielęciny, kawałek pasztetu, grzybki i miskę sałaty, położyłem się na kanapie i zasnąłem z książką na twarzy. Zbudziłem się, kiedy było już ciemno i późno, zobaczyłem na stole kartkę, że Alina z małym zanocują u matki, bo coś się źle czuje, i poszedłem do kuchni poszukać czegoś do picia. Całkiem niechcący spojrzałem w stronę pokoiku Paraski. Kotara była niezasunięta, okno mocno uchylone, pachniało jedzeniem i czymś jeszcze. Machinalnie podszedłem parę kroków bliżej, spojrzałem: nie spała, przyjrzałem jej się, ona uchyliła pierzyny, nie posuwając się ani trochę. Już byłem przy niej i na niej. Nie rozsunęła nóg, ale ja byłem gotów, twardy i nieustępliwy. Powoli, z ociąganiem pozwoliła mi wejść i tylko troszkę jęknęła. Była dziewczicą. Tego się spodziewałem, ale tego, że zadrze nogi do góry i mocno rozchyli uda, już nie. O Boże, znowu jestem! Posuwałem się niespiesznie, po trochu, pomalutku sięgając głęboko i szczęśliwie do jakiegoś dna. A więc mogę, jestem, jestem, jestem mężczyzną, myślałem nieskładnie i nieco przyspieszyłem tempa. Dzięki ci, Boże, za to, Bóg kocha dobrych śpiewaków. Zatrzymałem się i nabożnie ucałowałem oczy i usta dziewczyny. I znowu przyspieszyłem, a po chwili

przystemplowałem. O Boże! Nie dałem jej krzyknąć, a ona uwiesiła się na mojej szyi, szczęśliwa i tylko trochę miauczająca.

Rano, chyba bardzo wcześnie, chociaż już było widno, do kuchni wszedł Tobi, zobaczył nas, popatrzył i widząc, że mam otwarte oczy, powiedział „dzień dobry”. Uśmiechnąłem się, on wyjął z lodówki jakiś słoik i paczkę i wyszedł, cichutko zamykając drzwi. Co ja mu powiem, pomyślałem, ma już piętnaście lat, ale to jego zwyczajne powitanie jakoś mnie ośmieliło. Wiedziałem, że idzie z Borsukiem na ryby, że Mat i Marek po wczorajszej zaprawie w Czosnowie pośpią sobie dłużej, no i że Aliny nie ma. Zagarnąłem pod siebie Paraskę z myślą - to już piąty raz, olaboga!, ale mi dajesz, Panie Boże, tej swojej łaski, ojej.

- Kogucisko - szepnęła rozbudzona dziewczyna, ale była ochotna.

Alina z Łapą wrócili dopiero po rezurekcji i chociaż Paraska była w kościele, a ja już nie słańiałem się na nogach, jak w Wielki Piątek, moja żona od razu wszystko wywęszyła.

- Ty zbóju, co to, przypomniały ci się zabawy z dziewczuszkami w Antwerpii, tak? A ja tyle czasu czekam jak głupia i teraz tak ma być, tak? Zielone jabłka ci w głowie, co?

Słuchałem potulnie, gotów kłaść głowę na pień, ale nieskory przyznać jej rację. Niech zginę, to nie były zielone jabłka, sięgnąłem po dojrzały owoc, ot co. Że miała te osiemnaście lat? Znałem młodsze, też chętne, też dojrzałe, choć mniej smaczne.

- Ty ścierwo! - wrzasnęła raptem Alina. - Rybki w akwarium Łapy zaniedbałeś! - i wyrzuciła mnie z sypialni na kanapę w dużym pokoju. Wiedziałem, że ma rację, że nie powinienem był we własnym domu zrobić jej czegoś takiego. Ale gdzie miałem pójść? W domu było mi najlepiej, a w kanciapie za warsztatem zimno. Sam się zdumiewałem swoją

bezczelnością, tą nagłą odwagą i wcale, ale to wcale nie bałem się spłodzić córki. Nie bałem się też ani trochę świątecznego obiadu z rodziną Aliny, z tymi jej wścibskimi siostrami, nie bałem się nawet powrotu mamuski. Teraz jej nie ma, a jak wróci, to pomyślę. A niech tam, musi mnie zrozumieć. Co to ja jestem, stary? Mam niecałe czterdzieści lat, wybrnąłem z takiego okrutnego dołka, jestem mężczyzną. I niby dlaczego miałem przepuścić Parasce? Niby dlaczego - zamiast leczyć swoją przedziwną impotencję - nie pomyślałem wcześniej, żeby sprawdzić się z inną kobietą? A ja nawet w Paryżu i Amsterdamie, podczas tej obiecanej Alinie wycieczki, tylko z żoną do muzeów, na zakupy i nocne spacery po Montparnassie. Co to, nie umiałbym znaleźć filles de joie? Zakochany impotent! Dobrze wiedziałem, com winien żonie, że to dzięki niej przetrwałem czas tak długiej niemocy. Ale ona była ślepa i za bardzo trzymała się konwenansów - „nie wypada z »tego« robić sprawy, idź tylko do Ignaca, mamy wspaniałych synów, budujemy dom itepe". I była zbyt pewna siebie. I myślała, że się wyprztykałem w tym antwerpskim burdelu. A co to ja, kałamarz jestem? To prawda, dużo się w chłopięctwie naużywałem, zwłaszcza z Ledą, która mnie chętnie dopuszczała, bo lubiła bić się ze mną jak chłopak, a potem... potem pozwalała mi pomagać w kuchni. Teraz, pewny siebie, postanowiłem naprawić, co się da. Zaraz po świętach pojechałem na Nowowiejską i na Twardą, kupiłem dwa welony, kilka mieczyków i akwarium z litego szkła, które sobie upatrzył Łapa. I wędkę teleskopową dla Tobiego.

Wiosna była dla mnie wspaniałomyślna. Kopałem i grabiłem w ogródku jak nigdy. Alina trochę pofolgowała; liczyła widać, że mi „to" jakoś przejdzie, no i akurat nadarzyła jej się szansa badań nad lulecznicą himalajską, przejawiającą właściwości cytostatyczne. Lulecznicą, psiakrew! Temat tylko co zaczęty przez kogoś, kto wyjechał, czyli został wyjechany.

Zła na mnie, nie wybrała gruczołkowca pawiego. Niby wszystko jedno, ale nie dla mnie. Znałem piękne nasiona tej rośliny, używane w jubilerstwie jako odważniki. Teraz Alinę moje pasje nic nie obchodziły i tak była zaślepiona złością, że przeoczyła drobne udogodnienie, którym mnie niechcący obdarzyła: z kanapy miałem bliżej do Paraski. Ale znałem swoją żonę i dobrze wiedziałem, że szybko się pozbiera i oberwę za wszystko. Nie zdziwiłem się więc jej warunkom: żadnych rozwodów, budujący się dom ma być na jej nazwisko, Paraska won z naszej rodziny. Zacudowany własną namiętnością zgodziłem się na wszystko, tylko trochę z wyrachowania; wiedziałem, że tak od razu Alina nie znajdzie nikogo do pomocy w domu i przy tulipanach, że obiecaliśmy Parasce przesłuchanie w Mazowszu, że trzeba urządzić lato dla chłopców, no i że matka wraca dopiero we wrześniu. Pomyślałem sobie - jakoś to będzie, i na wszelki wypadek poszedłem do Ignaca.

Ciekawe, co on na to wszystko, myślałem trochę ze strachem, ale kiedy powiedziałem mu, co i jak, wcale się nie zdziwił. I, jak to lekarz, przede wszystkim uspokoił.

- No to dobrze, trzymaj się tylko tej dziewczyny - mówił, całkowicie ignorując naszą sytuację rodzinną i moje wątpliwości. - Co ty mi opowiadasz, że ona nie w twoim typie? Wiem, jakie ci się podobają, i co z tego? W seksie tajemnica powodzenia polega najczęściej na braku zahamowań. Może ta twoja miłość do żony trochę cię sparaliżowała? Zresztą Alina lubi dominować... A może się czegoś przestraszyłeś? Mówiłem ci, że nie wiem, nie zajmuję się seksem, psychoanalizą też nie. Po co ci zresztą psychoanalitik, sam sobie poradziłeś. Wybacz, nie chciałem podsuwać ci takiej możliwości, ale zmiana partnera bardzo często pomaga...



Rzeczywiście, nie zajmował się seksem, sam mówił, że wie tyle, ile musi, żeby nie pomijać tego czynnika w badaniach psychiatrycznych. Żądał jednak szczegółów, więc mówiłem dokładnie: kiedy, gdzie, ile razy, częstotliwość wzwodu, wytrysk, zwiotczenie członka pełne i niepełne i takie tam rzeczy. Nie pamiętałem, o której godzinie poszedłem do kuchni; nie chciał wierzyć, że nie miałem zamiaru.

- Eee tam - machnął ręką. - Zamiar... od dawna nosiłeś go w sobie, tylko zablokowany przeświadczeniem o własnej niemocy. Mówisz, że to ona chciała? No tak, normalna reakcja młodej kobiety na stałą obecność mężczyzny obok, chyba że kłamiesz. Dziewica? Nieważne, są takie, co się nie boją. No, no, pozazdrościć. Alina wie? To gorzej, nigdy ci tego nie daruje. Wściekła? Rozumiem, rozumiem. Ale musisz pamiętać też o sobie, seks, zdrowie psychofizyczne, sam wiesz najlepiej. Jeśli potrzebujesz takiej dupiastej, piersiastej i chutliwej, no to i dobrze. Pamiętaj, ma być prosto. I przeczytaj raz jeszcze „Kubusia fatalistę”, przypomnij sobie filozofię noża i pochewki, to bardzo mądre. I za dużo nie myśl, nie musisz, życie masz poukładane. Oczywiście porozmawiam z twoją matką...

\*

Ho, ho! Mamuśka wraca wcześniej. A tu swoje szaleństwo zaczyna maj. Morele ładnie zawiązały, przekwitają wczesne tulipany, zakwitła stara grusza, zagony obsadzone na cebulki sterczą pękającymi pąkami, jaśmin pokazał zielone łapki pączków, zielenią się moje klematisy. Wcześniej wystawiłem skrzynki z pelargoniami i przyciąłem winorośl, razem z Paraską posadziliśmy w donicach przy ganku kobeę i nasturcję i zaraz rozpiąłem dla nich drabinki. Paraską posiała obok maciejkę i rezedę, które wzeszły następnego dnia, jakby spiesząc ze swoimi zapachami do fiołków, a konwalie dołączyły palemki, zapowiadające ukryte w liściach kwiaty.

Zawiozłem Paraskę do pani S. na naukę oddechu, ale się okazało, że nie trzeba. Kupowałem na Polnej lub na Koszykach różne ryby i robiliśmy pulpety i łososiowe marynaty, do których Paraską lubiła dodawać młodziutkie oregano. Gotowaliśmy w zapamiętaniu; codziennie coś z kupowanej u baby cielęciny, raz potrawkę, czasem nerkówkę, najczęściej smażone sznyce, soczyste i pulchne. Nie wiem, jak ona je robiła, ale udawały się zawsze. Szykowaliśmy misy sałaty ze szczypiorkiem, ona wielbiła mizerię, ja sałatkę z młodej cebulki z jajkiem na twardo i oliwą. Mało kiedy udawało mi się zagonić ją przed obiadem do pościeli; wołała czekać nocy,' wstydziała się w dzień, czy co. A ja tak lubiłem wziąć dziewczynę na głodniaka i na chybcika, popychany zapachami, strachem i słońcem. Oganiała się ze śmiechem i sycząc: - Kogucisko! - dawała mi trochę poturlać się pod pierzynką.

Taki byłem zajęty ogrodem, pichceniem i miłowaniem, że nie zwróciłem uwagi, co się dzieje. Cały komunijny towar sprzedał się znakomicie, ale zaraz potem na szybie warsztatu wymalowano głupi napis - „Żydy do Syjona”. Co za ludzie, myślałem, czyżby było u mnie za drogo? Kazałem szybę wyjąć, postawić na widoku, a w okno wprawić nową. Na wystawie umieściliśmy figurę Matki Boskiej. Wszyscy sąsiedzi wiedzieli, że kupiłem ją od ciecica ze starego domu, trzymam w sklepie i wypożyczam tylko na majowe nabożeństwa. Matce Boskiej pani Lusie, księgowa, powiesiła na wyciągniętej rączce srebrny medalik... Ale cen nie obniżyłem.

\*

Siedziałem na ganku i zbierałem się w sobie, żeby pojechać na lotnisko po matkę. Paraska stanęła przede mną, wyprostowała się i powiedziała niegłośnie:

- Ja zastąpiła. - Miała na sobie niebieski fartuszek i patrzyła mi prosto w oczy.

Och, dziewczyno, myślałem, pędząc na Okęcie. Zdążyłem ją tylko przytulić i powiedzieć:

- Nic się nie martw.

Na drodze tłok, w głowie natłok. Co ja im wszystkim powiem? A nic! To moja sprawa, moja! I będzie tak, jak zechcę, ot co!

Matka źle się czuła, milcząca i zajęta własnymi sprawami. Coś jej z Felą nie wyszło, pan Ludwik chory, pan C. nie przyjechał do Paryża. Uwierzyłem jej, bo ciągle siedziała w swoim pokoju, bolała ją głowa, coś marudziła z jedzeniem, kładła pasjansy, nie chciała ścinać tulipanów, nie rozpakowała smakołyków, chociaż przymilałem się o parmezan, zieloną oliwę i awokado, a chłopcy daremnie czekali na daktyle i czekoladki. Nie chciała słuchać mojego snu o paleniu żywych kociąt w piecu centralnego ogrzewania, oganiała się przede mną. Byłem natrętny i rozzalony: tylko ona pamiętała piwnicę w domu, w którym przed wojną mieszkaliśmy, piwnicę, w której był węgiel, marchew, konfitury i butelki kolorowych wódek Baczewskiego. Że tam nie było pieca centralnego ogrzewania? No to co, przecież to szczegół, ważny dopiero teraz.

- Zostaw tę piwnicę! - powiedziała ze złością. - Wiem, o co ci chodzi, ale dzisiaj nie mam siły, sam sobie zapisz ten sen. Czy wszystko muszę robić ja... nic nie pamiętam, tak mi słabo... nie mam odwagi zadzwonić do Paryża...

Wiedziałem o jej związku z panem Ludwikiem, rozumiałem, uznawałem też świętość jej migren. I podejrzewałem, że węszy. Dom rozchybotany. Alina na tydzień utkwiała w Poznaniu przy dostawie wiosennych ziół, chłopcy rozbiegali się do swoich spraw, nawet Łapa bez

ustanku latał łowić traszki. Paraska sama chodziła wokół zagonów i ścinała kolorowe kielichy. I śpiewała:

Niewola była Jadwidze, posła do boru  
na rydze. Jednego rydza znalazła, ledwo spod niego  
wylazła. Oj, rydzu, rydzu, rydzu mój, jaki jest dobry  
korzeń twój! Oj, rydzu, rydzu, rydzu mój, jaki spaniały  
kolor twój! Ja na twój kolor patrzyła i swój wianusek  
straciła. Sukaj mamusiu pielusek, a mnie młodziuchnej  
podusek.

Dajcie matulu kopani, bedziem rydzyka kąpali.  
Sykujcie mamu pielusek, bedzie z rydzyka  
pastusek.

Słuchałem, matka słuchała też. Patrzyła na mnie i milczała. Chyba już dawno coś podejrzewała. Wiedziałem, że się nie odezwie. I ja też nie. Pomyślałem tylko: pastuszek! Niedoczekanie wasze! Wyszedłem. Byłem u Olgi i wszystko jej opowiedziałem. Wcale się nie zdziwiła ani mnie nie pocieszała. Siedziała okryta kaszmirowym szalem - prezent od mojej matki - słuchała, nie odzywała się. Pokazała mi opowiadania, które przetłumaczyła, ale jakoś nie miałem głowy, żeby się nad nimi zastanawiać. Powiedziałem tylko:

- Przecież ci tego nie wydrukują, Olga! Anais Nin to wszeteczniczka, tyle że umie pisać. Nie rozumiesz, że to tutaj nigdy nie przejdzie? Powiedz, robisz to dla siebie czy do szuflady, na to swoje „potem”, „kiedyś”?

Siedziała nieporuszona i uśmiechała się leciutko.

- Nigdy, nigdy! Skąd to wiesz? Niby po co przywiozłeś mi tę książkę, tak samo jak kiedyś Millera, co? Męczyłam się bez przyjemności i nie polubiłam Zwrotnika Raka Millera, ale Anais dała mi prawdziwą rozkosz i lektury, i pracy tłumacza... te słowa, zdarzenia i zderzenia, wiesz, słodycz i dzikość, rachuby i furia... nie, dajmy spokój pani Nin. Wiesz, że miała dwóch mężów równocześnie? Rzeczywiście wszeteczniczka,

choć... niejedna chyba by tak chciała, nie sądzisz? Jeśli chodzi o mnie, powiedzmy, że mnie to bawi. Prawdziwe życie masz ty. Zawsze cię podziwiałam, wiesz? I wiesz co? To od ciebie wiem, że nie tylko przyszłość jest niewiadomą, że z przeszłością nie radzimy sobie tak samo, że przeszłość ciągle ucieka, codziennie jest jakieś teraz i codziennie tego teraz nie ma, poszło w tył popychane przez nas nowym dzisiaj, które tylko co było jutrem, pojutrzem, przyszłością i - jak sam mówiłeś - czasem, w którym my... no, sam wiesz lepiej niż ja. Coś z tego znajduję w opowiadaniach Anais i wtedy przeczuwam oszołomienie wolnością, że to kiedyś będzie i że ja... no wiesz, załapię się, rozumiesz?

Boże święty, pomyślałem, jak ona wytrzymuje ze sobą samą, pojęcia nie mam. Siedzieliśmy w milczeniu, nawet nie spróbowałem jej dotknąć; myślałem, jak zawsze, że jest niezwykła, że szkoda naszego romansu. Wiedziała o mnie wszystko, niczego jej nie oszczędziłem, a ona nigdy nie próbowała radzić, pocieszać, manipulować. Nie wiedziała tylko, że książki kupowałem nie dla niej, ale żeby mieć co czytać w podróży. Nędznik.

Wracałem dużo spokojniejszy. Muszę coś dla Olgi zrobić, i to tak, żeby matka nie wiedziała. Lekcje angielskiego dla chłopców i ciuchowe prezenty to za mało.

\*

„Los obraca wszystko na korzyść tych, którym sprzyja”.  
La Rochefoucauld, Maksymy

Chciała pojechać do B. do znajomej lekarki, nie pozwoliłem. Chciała wrócić do babki, nie pozwoliłem. Chciała psuć się sama, powiedziałem - nie! Uparcie patrzyła mi w oczy, chciałem jej powiedzieć, że pragnę tego dziecka, ale milczałem, a ona się nie odezwała. Próbowała coś zrobić: w szpitalu na Solcu stała chwilę obok wąskich schodów w

labiryncie parterowych korytarzy. Na pierwszym piętrze znalazła drzwi z tabliczką: ambulatorium ginekologiczne, nie wchodzić bez wezwania. Na prawo - badanie serca, EKG, na lewo - ambulatorium chirurgiczne.

Przed środkowymi drzwiami grupka kobiet. Żadnej kartki o godzinach przyjęć, nazwisku lekarza, nic. Przychodzące i tak wiedzą, wciskają się w korytarzyk o powierzchni metr na dwa. Na wprost drzwi do ubikacji, na prawo do doktora. O ściany wspiera się pięć kobiet, dwie stoją na progu, kilka na schodach.

\*

Paraska urodziła w grudniu, w dzień wigilijny. Dziewczyńce, ślicznej i zdrowej, daliśmy na imię Ewa. Dziecko miało dużo brązowych włosów i cztery bielutkie ząbki.

\*

„Różą zakwita róża i nikt inny...”

W. Szymborska, Próba

- To co mam tamoj śpiewać? - zapytała naburmuszona. Już dość długo jechaliśmy, zaraz będziemy na miejscu.

- Śpiewaj, co chcesz, jedna piosenka wystarczy - mruknąłem, a ona zaraz:

- Tańcować to ja nie umiem, tylko oberka. Potem, kiedy już siedzieliśmy ni to w salonie, ni to w studio, pomyślałem, że mi wszystko jedno, byle tylko dostała się do chóru.

Pani Mira od razu oznajmiła, że ma tylko pięć minut, i łaskawie zapytała Paraskę:

- Znasz nasze piosenki?

- Znam - odpowiedziała dziewczyna.

- A co chcesz zaśpiewać?

- Naszą.

- No dobrze, a co to będzie? - Ciągle była łaskawa.

Paraska wstała, cofnęła się dwa kroki, wyciągniętą rękę oparła czubkami palców o poręcz fotela i zaśpiewała tykocińską konopielkę: „Cienka mała konopielka, hej, łołem, łołem, jesce cieńsa jak grzecniejsza, hej, łołem, łołem”, a potem o przygodzie tej konopielki ze zbieraniem „pawik piorek”, wiciu z nich wieńca porwanego przez „bujny wiatr” do wody, do dunaju i jak go chłopacy - rybacy niewodem łowili, by w „nadgrode dostać pierzcień złotny, pawin wieniec” i tę, co „młoda jak jagoda”. Co parę wierszy rozlegało się przenikliwe „hej, łołem, łołem”.

Pani Mira patrzyła na śpiewającą, oczy rozwierały jej się coraz szerzej, cienkie brwi podskoczyły wysoko na czoło, usta to się otwierały, to składały w wąski dzióbek. Szybko się opanowała i kiedy Paraska skończyła i usiadła bez ukłonu, mówiąc tylko grzecznie „dziękuję”, stara aktorka poczekała, wyciągnęła do dziewczyny suchą rękę i przymykając oczy, zanuciła cichutko melodię piosenki „Na pomoc... esoes”, co Paraska lekko podjęła, a potem zaśpiewała donośnie i rozdzierająco, a potem pani Mira przerwała dziewczynie krótkim gestem i podała kilka nutek mało jeszcze znanego utworu Ginsburga i Birkin "Je t'aime...". Paraska podchwyciła melodię czysto i ładnie, a zakończyła kilkoma bezwstydnymi jękami.

- Starczy. Teraz wstań i okręć się dookoła, ale szybko, tak, tak, dobrze. Siadaj. Teraz otwórz buzię, szeroko, o tak, jeszcze, tak, bardzo ładnie. Moje dziecko, będziesz u mnie śpiewała, już masz wszystko, co trzeba, trochę tylko poćwiczymy - powiedziała słodko. Paraska uśmiechnęła się promiennie, usta miała leciutko obrzmiałe, a pani Mira zniecka:

- Chcesz od razu u nas zostać, czy przyjdiesz, jak... urodzisz?

Dziewczyna zaczerwieniła się, przełknęła ślinę i odpowiedziała:

- Pierw urodzę.

- Tylko aby warkoczy nie ścinaj. Będą ci potrzebne. O tańcu pomyślimy później. A teraz poczekaj na werandzie - zdecydowała. I do mnie, groźnie:

- Kiedy?

- W grudniu - odpowiedziałem posłusznie. - Ale chcę, żeby karmiła.

- Pan wie, że to brylant?

- Raczej diament, szanowna pani. Brylant to z niej dopiero będzie. U pani - odrzekłem dwornie i ponuro, a pani Mira zacisnęła łakome usteczka.

\*

Muszę się stąd wydostać. Stąd, z Czerwonego Krzyża 5. Już nic więcej nie powiem. Idę spiesznie na górę, wiem, że runie stamtąd woda, i wiem, że jeszcze jest tam przejście: przy samej ścianie domów, które stoją jak na Lwowskiej, ściśle jeden przy drugim, wysokie partery, ślady dawnych sklepów, sztyldów, schodków. Muszę się tamtędy precyzyjnie przemieszczać, mam na nogach wysokie gumowce w beżowożółtym kolorze, kupione w Białymstoku. Jestem ich pewna jak samej siebie, więc spokojnie patrzę na szeroką lachę płytkiej wody, a mój lęk jest malutki. O, tam! Tam jest więcej miejsca, bo narożnik domu kieruje wodę wprost, a ta, chcąc, nie chcąc, skręca ku mnie trochę dalej, bardziej rozpiętym lukiem. Więc skok, udało się, ale tu na Tokijskiej, gdzie mieszkała kiedyś Manusia, zanim się przenieśli do własnego domu na Katowickiej, rozlewisko szybkie, rosnące, walące od Foksal i szpitala Świętego Łazarza. Stoję, woda rwie i bulgoce, szukam wzrokiem wyjścia. Od wiaduktu ściana wody, uciekam przez chaszczę w stronę Tamki, brnę w poprzek po kolana w wodzie, szuram butami po dalekim dnie, wyciągam ręce, macham jak pływak,



choć jeszcze w powietrzu. Udało się, jestem obok drzew i krzaków, czepiam się gałęzi. Do Tamki, topielą na Topiel, Obozną do góry, tam na Krakowskim dom rodziców Janka...

\*

„Z matki mam to, co mną miota: Zajadłe serce”.

W.B. Yeats, Skrucha niepowściągliwego w mowie

Lato, sierpień 1969. To już czwarte wakacje w Tykocinie. Świt nad Narwią seledynowy, ciut niebieski i trochę zapylony. Nie, to jeszcze nie mgły, to sierpniowy żniwny pył. Kiedy pięć dni temu przyjechaliśmy do Tykocina, było prawie południe i miasteczko wylegiwało się w słońcu. Złociła się buława w rękę hetmana, wysoko patrzącego w stronę kościoła Świętej Trójcy. Minęliśmy restaurowaną synagogę, żydowskie city i podjechaliśmy pod stary Alumnat. Paraska pomogła znieść bagaże i od razu poszła do swojej stryjenki, gdzie miała mieszkać, jak zwykle. Chłopcy pobiegli nad rzekę, my z Aliną urządziliśmy się w wynajętym pokoju.

Coś tu było teraz inaczej, coś mnie uwierało, pewnie bałem się, co ludzie powiedzą, kiedy odkryją ciążę Paraski. Alina to wyczuła i powiedziała:

- Nie martw się, nic jeszcze nie widać.

Rzeczywiście, niepotrzebnie się strachałem, przecież i tak wiedziałem, że nie powiedzą nic. Tak tu jest; teraz nawet po potężnej kolejce wódek w „Narwiance” nikt się nie zająknął, kiedy spytałem o imię tej młodej dziewczyny, Żydówki, co to zaraz po wojnie przyjechała szukać swojej rodziny. A przecież mnie znali i wcale nie pytałem, kto ją zamordował, tak się zgadało o wojnie, życiu, partyzantce i różnych ludzkich sprawach. Tutaj mężczyźni najchętniej mówili o rzece, łowieniu ryb dawniej i teraz, i o pożarach, które od wieków co jakiś czas lawinowo pożerały ludzkie domostwa, rzadko atakując wspaniałe barokowe budowle. Mówili mi Józwa albo

przymilnie Józus, ja znałem nazwiska gospodarzy i siudaków, nawet wiedziałem co nieco o losach rodzin i po trochu rozeznawałem się w ichnich tajemnicach, dość pogmatwanych. Czasami któryś powiedział zdanie w rodzaju: "Jeich zatłukli za drzewo, kradli gospodarskie, łapserdaki"; „Frączak był wtedy w lesie, odzienie z niego spadało i całkiem skołowaciał z tej poniewierki"; „...a Mirka to się z tej miłości całkiem struła, tak ją żądliło"; „nie, co też sąsiad mówią, taż to było z ciąży, psuła się i tylko rodzinie biedy napytała, ksiądz..."; „bez tego Gryfa my w biedę popadli, tyle ludzi namarnował, ale kiepełe to on miał"; „siedź na bździe, głupi, co gadasz..."; „a jak były wywózki na Sybir, to my się kryli na Lipnickiej Kępie, no nie?". Słuchałem, niewiele się dowiadując, skubałem świeżo zapuszczoną brodę, gęsto przepijając do każdego pijusa. Czasami było wesoło, choćby wczoraj. Któryś z pijusów nie chciał iść do domu, zataczał się po uliczkach, kluczył, śpiewał i bluzgał, a im bliżej chałupy był, cichnął, a że mu baba drzwi zaparła, wdrapał się po drzewie na strych i zasnął. Jak się uwidniło, nie pomyślał, gdzie jest, tylko wyszedł, żeby się przed domem wysikać, no i poleciał w dół, z niewysoka, ale rękę złamał. Dziś wszyscy o tym rozprawiali, trochę się podśmiewając, ze współczuciem, a niektórzy porykiwali od czasu do czasu głośnym śmiechem.

Co do mnie, nie byli zbyt wścibscy. Pewnie i tak wiedzieli, co chcieli, a ja sam mówiłem niewiele; o ojcu, że był w wojsku i walczył na froncie w tysiąc dziewięćset dwudziestym... „A, a, to dobrze - potwierdzali. - My też z ruskimi mieli tu pierepałkę"; że poległ w obronie Warszawy w trzydziestym dziewiątym... „A, a, to niedobrze, nieszczęście, pan sierota" - żałowali; że moi dziadkowie ze strony ojca zginęli w powstaniu... „O, o, tyle narodu się zmarnowało"; oni - „my tu mieli partyzantkę, po lasach siedzieli i jeszcze w czterdziestym szóstym my walczyli"; ja - że ojciec był

architektem, ale nie chciałem tego fachu, bo już byłem w jubilerstwie i to dobra robota; oni - „Józwa kształcony, to co by mógł robić?"; ja, że mógłbym w szkole uczyć francuskiego albo łaciny. Oni niechętnie popatrywali na moje ręce, jakby coś z nich chcieli wyczytać, więc im mówię, że skończyłem prawo, ale nie lubię być na urzędzie, sędzią czy adwokatem, na co oni kręcą nosami i milczą, bo dla nich „pan mecenas" to jest dopiero coś. „Bez obrazy - mówi jeden. - To lepiej na rzemiośle?" Lepiej, odpowiadałem, tyle człowieka skontrolują, co nic, więc lepiej. - „A, a czego się Józwa boją - dopytywali. - Pewnikiem domiaru?" Tak, mówiłem i śmiałem się razem z nimi, i wytykałem im szachrajstwa z rybami w spółdzielni, bo sami się nimi śmiało przechwalali po paru wódkach. Ale te rozmowy zwykle kończyły się bełkotliwą gadką, jak to im teraz lżej handlować bez żydowskiej konkurencji, chociaż i borgu nie ma. Wspólnie wzdychaliśmy za piwem i wodą sodową, bo tego zawsze brakło, i wysłuchiwaaliśmy opowieści rybaków o braniu, łowiskach i wielkich rybach, które żerowały od strony młyna Sieradzkich, o dawniejszym spławianiu drzewa Narwią i o zbieraniu jagód w Puszczy Knyszyńskiej, bo tam było zatręśnienie wszystkiego, co w lesie żyje, od smardzów po sosny masztowe.

Jednego razu, kiedy stary Korzyński porzygał się na ulicy, a ja mu pomagałem pozbierać się i dojść do rzeki, żeby się obmył i ciut wytrzeźwiał, usłyszałem: „U nas, Józwa, lepiej się pamięta, jak stary Siudak zadźgał ością wielkiego suma, z metr mu było, i że to się udało przy samym brzegu, niż jak ludziska się rzucili rabować pożydowski dobytek... nie, nie żydowski, dobrze mówię, bo Żydów już wtenczas nie było... byli... i nawet tego nie spominają, jak Niemce złapali tę tam, Rakowiczową, i innych, co bez pozwolenstwa rabowali, i jak tych parę osób wystrzelali nad dołem wykopanym na polu

tego... eee, co tam, Józwa, wiesz... A jak się dwie rodziny załby po ulicy wodziły o pożydowski dom, Józwa słyszał? Do śmiechu było, było i przeszło, nie bojs... A ten dom to ktoś wreszcie podpalił, ogień niesło w cug, my ratowali swoje, a do dziś nie wiadomo, kto podłożył. Józwa mnie prowadzo? Nogi miętkie..."

Z jednej tylko osoby, stareńkiej pani Stefanowej, wydobyłem jeszcze parę szczegółów o ostatnich dniach Żydów w Tykocinie. Zanim ich Niemcy pogonili na śmierć, pozwolili Polakom rozprawić się z żydowskimi wrogami, wziąć odwet za jakieś swojskie krzywdy. Trwało to trzy dni, ale pani Stefanowa zapamiętała tylko śmierć młodej dziewczyny, zgwałconej, zabitej, porzuconej z wyciętymi nożem policzkami, pochowanej przez swoich cichcem na mogiłkach. Pamiętała, że akurat był wtorek, dzień targowy, że w pochodzie szła w futrze Estera z mężem, dziećmi i rodzicami. Szła też Fejga ze swoimi, jeden jej syn ocalał, bo go uciekającego polną drogą zabrał jakiś chłop na swój wóz, pewnikiem zdał mu się do pasienia. A Fejga to zostawiła baniak z ukręconymi lodami w topniejącym lodzie z solą i ludzie zaraz się tymi lodami zajęli, a srebrne pucharki i kościane łyżeczki pozabierały okoliczne dzieciaki i miały czym się bawić w piasku nad rzeką. Poszedł dentysta - jak mu było? - z żoną, matką i dwoma synami, poszli Pinesowie, też z chłopcami. Tylko Goldowie z córką Renią, szkolną koleżanką Aliny, uciekli wcześniej do Białegostoku i dalej, tak samo Malarewicze, którzy skądś otrzymali cynk i dużo wcześniej wyjechali do Budapesztu czy Dubrownika; ta Żydówka, co uciekała do Tatar, to się uchowała; ona miała dużo złotych pięciorublowek i aspirynę z apteki Bogdanowicza, więc ją na wsi schowali, opłacała się i leczyła ludzi; ocaleli też żydowscy nauczyciele, co ich wywieźli w maju czterdziestego pierwszego na Sybir i dwóch dostało się potem do Berlinga

czy Andersa. Ale i tak do Tykocina nikt nie wrócił, bo kiedy zabito tę dziewczynę, co przyszła jak do swoich szukać rodziny...

W knajpie młodzi też czasami zapijali się w trupa, ale po takiego bradiagę to albo żona z pyskiem przyszła, albo tylko bełkotał, nie mając nic do powiedzenia oprócz „kurwa mać, same Żydy wszędzie”. A mnie coś napadło: chciałem wiedzieć, co mam znienawidzić, rosła we mnie groza i gniew i kiełkowała nienawiść. I tak nikogo tutaj nie mogłem polubić. Nie dało się. Oni zanadto pamiętali mi ojca Aliny, goniącego ludzi do szarwarków, przedwojennego pana sekretarza magistratu, i to z okresu wielkiego światowego kryzysu, który sięgnął aż tutaj bezrobociem i nędzą, inteligenta w pierwszym pokoleniu, o czym co prawda nie wiedzieli, ale dobrze pamiętali, że był przyjazny Żydom i Peowiakom. We mnie widzieli jego ciąg dalszy: zięć, ma samochód, dobre wędkę dla synów, dużo pije i dużo stawia prawie każdego wieczoru, obżera się ich rybami, ma za służącą gospodarską dziewczynę, na sumę nie chodzi i co tam jeszcze. Aha, czego on taki rudy? I niby skąd u niego tyle pieniędzy? Do Borku lata, na polu leży, no i książki furt czyta... Powoli, w głuchej złości rozpamiętywałem ich obojętność wobec śmierci „własnych” Żydów, puszczenie w niepamięć nazwisk żydowskich sąsiadów, a też głęboko skrywaną uciechę, że tych sąsiadów to zabił kto inny, że ich wyręczył, że mogą spokojnie używać żydowskich domów, warsztatów, podwórek, mebli, ubrań i „statków”, że nie cierpią odbudowywanej bóżnicy, że nie chcą pamiętać, skąd się wzięła tak lubiana przez nich potrawa jak ryba po żydowsku, kugiel, ulnik i maca, no i te słowa, które wtrącali nieświadomi i niewinni: Gedemfte cymes!

A żeb to małanka spaliła! - jak mawiała czasem Paraska; rzadko, bo sama trochę się tego zaklęcia bała. (Małanka spaliła orzechy na lescynie - mówiła strachliwie). Ja

złorzeczyłem swobodnie, mocowałem się z posądzzeniami, ale wyzywałem w duchu od pomagierów śmierci, trułem się bezsilną złością i bezradnym żalem nad tymi biednymi tykociniakami, których wywieźli lub wcielili do sowieckiej armii i którzy zginęli zgnojeni lub pozabijani przez jednych i drugich okupantów. Zasypiałem, pochlipując, a w dzień całkiem nie chciałem myśleć, supłałem tylko węzełki cudzej pamięci.

Pani Wanda R., z domu Bogdanowiczówna, nie wiedziała prawie nic, wojnę spędziła we Francji, w Tykocinie miała dom po rodzicach i trochę rzeczy z apteki. Przyjeżdżała z synami do owdowiałej matki tylko na lato. Zaraz poczęstowała mnie herbatą, obdarowała aptekarską wagą, małym miedzianym rondlem i porcelanowym nocniczkiem. Czytała książki z domowej biblioteki: Dostojewskiego, Tołstoja, Flauberta i Prousta w oryginale. Mała, wyniosła kobietka, tutejsza, ale kształcona na Sorbonie inteligentka. Moje pytania stropiły ją, zaraz jednak wzruszyła ramionami: „Och, takich miasteczek jak Tykocin było w naszych stronach multum... nie ma co płakać nad jednym, tu potrzebny byłby wielki chorał” - zignorowała moje wzruszenie i dodała: „Za dużo męczenników, rozumie pan?” - i zmieniła temat: „A może pan Józef chciałby poczytać Glogera, mam jego "Encyklopedię staropolską", dużo tam o naszych stronach napisał, bo on siedział na Jeżewie. Dawniej tutaj łowiono ryby przy jazach, na wędkę, na podrywkę i na klucz, a nocami przy łuczywie z łodzi, na ość, taki drewniany drąg z zębem, żelaznym oczywiście - tak pisze nasz wielki etnograf. Teraz jest inaczej, nie tak malowniczo, jest spółdzielnia, a o ryby trudno. Dawniej rybami handlowali Żydzi, wozili towar furami aż do Białegostoku, no i ryb było tyle, że po prawdzie to się wszyscy nimi żywili. Rosołem z drobnicy z cebulą, listkiem bobkowym i angielskim zieleń zalewano ugotowane

kartofle... ani to polskie, ani żydowskie, takie proste tykocińskie jedzenie".

Nie poszedłem, jak zamierzałem, drogą na Jeżewo do Lasów Stelmachowskich, ostatnią drogą tykocińskich Żydów. Najpierw powinienem raz jeszcze przejść piechotą z Amsterdamu do Antwerpii i poszukać sadu, gdzie zginął chłopiec, który szedł ze mną; nie dał się odgonić, bałem się go, bo był tak „podobny”, że jak nas Niemcy złapali, nie mieli wątpliwości. Mnie puścili, bo dobrze mówiłem po francusku, podałem się za Irlandczyka, który zgubił mamusię, i spokojnie spuściłem spodenki. A te śliwki kradliśmy po równo...

\*

Krzyk, łomot, łoskot. - Akurat musiałeś tu wleźć, dziecinko, no już. Złap się teraz za parasol i za wieszak i wio do góry! Masz być cieniem, tylko na trochę, i tylko się nie bój... Przytuliła mnie na chwilę do piersi, popchnęła, dmuchnęła i już leciałem do góry, pod wysoką powałę, lekko popychany jej chuchem. Łomot, łoskot, krzyk. Titi, rozkraczona przed tamtymi charczącymi „los, los!", woła: „A czego tu?", i jazgocze: „Niech pan zdejmie kapelusz, tu jest porządny burdel! Mam pozwolenie i lekarskie zaświadczenie dla nas pięciu, o proszę! Niech pan patrzy, niech pan liczy, panie oberleutnant!". Darła się dalej, trzymając mnie swoim wrzaskiem wysoko pod sufitem, wykrzykiwała imiona dziwek i co one mogą zrobić i nie zrobić komukolwiek. Dziewczyny popychane kolbami żandarmów śmiały się i płakały na przemian; tumult, ciemno w górze, widno w dole, a ja wiszę na ich i Titi oddechach i boję się bać, i patrzę, i boję się widzieć, i widzę - jeden złapał garścią Pinę za włosy na podbrzuszu, a drugą łapą za grzywkę nad czołem i pcha w drzwi bezokiennego pokoju i tam... dziewczyna raptem wyrywa się, pluje, wyje jak wilczyca, gryzie... zaparła się plecami o framugę, zamachnęła nogą i kopnęła go w krocze,

aż zaskuczał, a wtedy Titi zadarła spódnicę, a pod nią widać gładką białą ścianę, a na ścianie namalowaną szubienicę z powieszoną gwiazdą Dawida i koślawy napis drukowanymi literami - Żydzi do gazu 1994 - raus... umrzeć w powietrzu...

\*

Paraska przychodziła rano z mlekiem, śmietanką i świeżym chlebem. Zaraz po śniadaniu wyprawialiśmy się każde w swoją stronę - Paraska szykować obiad, chłopcy na ryby, ja czasem z nimi, czasem do okolicznych lasów. Tobi z Łapą mało kiedy coś złowili, jakieś okonki lub płotki, rzadko większego lina spod szuwarów. Wybierali się zbyt późno i za dużo rozprawiali, co też mają zrobić. Tobi wędkował już od dwóch lat, należał do Związku na prawach młodzika, czytał książki i pisma fachowe, zgromadził trochę niezgorszego sprzętu, jakieś wędkę, kołowrotki, a od cioci Feli dostał na urodziny wspaniałe haczyki z błyskami, sztuczne muchy i dżdżownice. Wpadł w swoje hobby na obozie w Ochotnicy, gdzie udało mu się nałowić pstrągów w górskim potoku. Po uszy miałem jego gadania o tym, dlaczego ryby biorą, jak warto rybę nawet parę dni nęcić, żeby było branie za braniem, jak fajnie jest trafić na „swoje” miejsce i różne takie mądrości, które ćwiczył zresztą głównie na Łapie i tykocińskich chłopakach. Ale cieszyłem się jego wytrwałością i nie przeszkadzało mi ciągle znikanie wieczorami, poświęcanymi na przynęcanie ryb. Chłopcy nie bali się rzeki, dobrze pływali i całkiem niezłe radzili sobie z łódką. Paraska słuchała ich uważnie i szykowała ciasto z wanilią, na zanętę.

W lasach zbierałem grzyby i przynosiłem ich sporo. Razem z Paraską szykowaliśmy prawdziwki do suszenia, rydze do marynowania, kurki do smażenia i maślaki na sałatkę z cebulą i śmietaną. Często tylko łąziłem po lesie z nadzieją, że spotkam Paraskę. Dziewczyna tak wypiękniała, że pojawili się kawalerowie gotowi do żeniaczki. Ona się wybraniała i



choć chętna była zalotom, dobrze pamiętała o Mazowszu. Chodziła tylko z koleżankami spacerować po moście i śpiewała z nimi wieczorami na dziedzińcu albo w świetlicy. Zżymałem się na myśl, że oto ktoś mógłby mi ją zabrać, i różnymi sposobami zniechęcałem chłopaków. A Paraska piękniała; nosiła krótką czerwoną spódnicę w białą kratkę, dobrze kryjącą kształty, i chociaż nic nie było widać, leciutka warstewka rozwijającej się ciąży otaczała jej ciało niby pulchna mgiełka, od buzi po mocne łydki. Sam zachwycony, rozumiałem młodzieńców, ale ich goniłem, zupełnie jak Kohinor swoich rywali. Należała do mnie.

Jakoś mi się udawało, choć nie wszystko. Kilka spacerów z Aliną przekonało chyba miejscowych co do mojej stateczności, knajpiane wieczory też dobrze o mnie świadczyły, więc ludzie rozumieli mój stosunek do Paraskowych konkurentów jako obronę córki raczej niż ekscesy zazdrośnika. Alina po paru dniach wyjechała, a ja... O Boże! Co ja się przez ten miesiąc namęczyłem! Ani razu nie wlażem dziewczynie do łóżka, nie zwabiłem na siano i tylko jeden, jedyny raz dziabnąłem ją w lesie, słodką, soczystą, a chętną, że ojej. Miałem świadomość strasznej krzywdy: tyle czasu, tyle razy mogłem ją posiadać! Była w sprawionej przeze mnie ciąży, a więc podwójnie moja. Do tego drugi raz by nie zaszła, więc byłbym taki bezpieczny! A tu nic, szlaban. Ze złością skubałem rosnącą brodę, całe wieczory spędzałem w knajpie, a nocami wyłem z żalu nad sobą. Najgorsze jednak były te poranne wzloty, niedające się pokonać nawet kacem... Próżno powtarzałem: hormony spać!, więc jak tylko rankiem zlazłem z wyrka, wskakiwałem do rzeki i płynąłem spokojnym nurtem Narwi aż do Kaczorowa i z powrotem, pod prąd.

Kiedyś woda była bardzo zimna, wyszedłem wcześniej i w słońcu przyglądałem się rybakom sortującym poranny połów.

Obejrzeni moje mokre slipki jak jacyś specjaliści i chętnie sprzedali sporo ryb, ale tylko małych piskorzów, miętusów wielkich za łokieć i parę dużych okoni. Dali koszyk, torbę i kredyt, wytłumaczyli, że są na prawie, bo tych ryb i tak nie biorą w spółdzielczym skupie, dla nich to chwast rzeczny, chcą tylko szczupaków i węgorzy. Przydźwigałem zdobycz do domu, wziąłem pieniądze i klamoty i biegiem wróciłem nad rzekę, prawie nagi. Poczuję się doskonale i tak było do wieczoru, do wczesnej kolacji - świeże smaźone ryby! Na piskorze Paraska mówiła „wiun”, dobre były, ale czyściło się je nie łatwiej niż okonie - wiem, pomagałem. Robiliśmy to nad rzeką, która zabierała odpadki jak swoje. Za pomoc przy rybach dostałem przyrządzone przez Paraskę miętusowe wątróbki, prawdziwy przysmak, jak trufle. Syty, długo siedziałem nad rzeką. Słuchałem piosenek śpiewanych na głosy przez mały dziewczęcy chór, w którym ślicznie dźwięczał głos Paraski: „Wieczorny dzwon odezwał się, gdym pierwszy raz...”.

\*

"Jak klej gęste i ciężkie sunt lacrimae rerum".

W. Szymborska, Film - lata sześćdziesiąte

Tamtego lata w Tykocinie kupiłem sobie aparat fotograficzny. Wprawdzie już miałem, ale ciągle ktoś go używał. A ten, przedwojenny, prawie nieużywany Kodak, leżał w chałupie obok lustra, wśród pocztówek z Ameryki i świętych obrazków. Jakoś namówiłem Paraskę, żeby pogadała z gospodynią, i ta złakomiła się na proponowany tysiąc złotych. Zaraz pojechałem do Białegostoku, kupiłem filmy, sprawdziłem, działał. Robiłem nim zdjęcia i coś mi zaczęło chodzić po głowie.

Miałem fart, a wcale nie było łatwo wejść do któregoś z domów; moja chęć przejrzenia cudzych kątów gorszyła

Paraskę, nieskorą do pomocy. Pomału zlustrowałem jednak kilka chałup i znalazłem parę rzeczy. Było trochę za późno, niedługo mieliśmy wracać, więc najlepszy pretekst - wynajęcie mieszkania - przypadł. Na szczęście wpadli na dwa dni Marek i Mat, no i przeszedłem się po chałupach w poszukiwaniu noclegu dla nich. Trafiłem na samowar, lustro psyche w mahoniowej oprawie zbielałe od wilgoci albo z przerażenia, mosiężny czajnik i mały rzeźbiony stolik. Z pewnością coś prześlepiłem, ale miałem tak mało czasu. Cieszyłem się zdobytymi gratami, załadowałem samochód i odwiozłem wraz z bliźniakami do Warszawy. Matka wykrzywiła się i tylko mruknęła:

- A to co?

Ale jakoś się wykręciłem:

- Oczyści się, oddam do renowacji, zobaczysz wtedy. To żydowskie, wiesz?

Od razu się zezłościła. - Pożydowskie, i tyle! - warknęła. - Lustro wymienisz?

Już miałem na nią nakrzyczeć, ale w porę przypomniałem sobie jej przesadne wierzenie, że w srebrzonej szybce zostają obrazy czegoś tam, więc zmilczałem, a mamuśka łypnęła na stolik i powiedziała z okrucieństwem:

- Chiński, nie widzisz?

Wcale nie chciałem jej udusić, ale prawie...

Póki co wziąłem trochę pieniędzy z banku, zdobyłem dwie skrzynki piwa i wróciłem do Tykocina zlikwidować letnisko. Trochę myślałem o dużej mosiężnej misie do smażenia konfitur, z której w jednym obejściu jadły kury.

\*

Poradziła sobie, a jakże: zaraz po powrocie poznałem panią Leokadię, miłą i stanowczą kobietę w moim wieku. Alina miała wszystko obmyślane: pani Loda pięć razy w

tygodniu będzie pomagać w domu i ogrodzie, ale bez gotowania.

- I tak ty gotujesz - powiedziała moja żona bez jadu, życzliwie. - Koniec z wystawaniem w kolejkach, siostra pani Leokadii pracuje w delikatesach, zostawię zamówienie, a ty odbierzesz siatki. I nie będziesz przepłacać na Polnej, będziemy mieli delikatesy w domu, prosto spod lady. Zobacz tylko, jakie półgęski dostałam wczoraj! A tu masz: karp faszerowany w puszkach, koszerny, reeksport z Izraela! Dobrze, co? I jeszcze: Paraska pójdzie do szkoły wieczorowej, niech przez te parę miesięcy skończy ósmą klasę, przyda jej się, nawet jakby miała zostać solistką, prawda?

Niech będzie, co mi tam, myślałem, słuchając, wcale się nie dziwiąc i nie protestując. I tak będę zajęty, bo umyśliłem uwolnić się od komunijno - ślubnej konfekcji jubilerskiej. Tłukłem na tym forszę, fakt, ale już byłem znudzony. Biedniutkie toto wszystko, szare, choć ze złota, jednakowe jak byle co, bez czaru i polotu, bez rozmachu i blasku. Błyskotki. Rzadko trafiało mi się coś ciekawego, jakieś pierścionki starej roboty, raz czy dwa razy wisiorek i stara brosza, misterne i bez dwóch oczek, ale w platynie i białym złocie, trudne w naprawie, bo musiałem odgadnąć, jak to było robione, i wpasować brylanciki. Miałem za mały warsztat, za mały dostęp do wzornictwa, za dużo gonitwy po urzędach i za forszę potrzebną na nowy dom. Złote dewocjonalia postanowiłem zostawić czeladnikowi, a samemu wejść w srebro i bursztyn, gdzie jeszcze jest coś do wymyślenia, no i kruszec łatwiejszy w obróbce. Jak będę miał osobną pracownię, zajmę się czymś lepszym, może sprowadzę narzędzia, może znajdę współnika. Powiedziałem już o tym matce i uzałiłem się nad sobą, że kiedyś, dawno temu, porzuciłem lekkomyślnie lekcje rysunku u Syrkusów. Nachmurzyła się, wyszła z domu z groźną miną, ubrana wizytowo. Po kilku tajemniczych wyprawach położyła

na stole dwa katalogi z najnowszymi wzorami biżuterii i jakieś kolorowe plansze z rysunkami.

- Możesz sam sobie poradzić - powiedziała.

Sen o śnie zapisanym szyfrem, który łatwo odgaduje Romek, a ja nie mogę. „W okolicy burza” - mówi. Chcę zapytać: „była” czy „jest”, ale nie daję rady otworzyć zaklejonych ust, a on odpowiada: „będzie!” - i już to grzmi, to błyska. Słyszę, że coś było wypalone błyskawicą. Jaką znów błyskawicą? Małanką? A on: „Jak cię tatuś nie uszanował...” - i dalej taki bełkot. „Co to znaczy?” - pytam i zaczynamy się bić. Rytm piorunów i błysków powtarza uderzenia, ja ciągle trafiam w grzmiącą pustkę, więc łapię go za kołnierz, składam się do kopniaka, nie mogę dosięgnąć, sukinsyn wierzga nogą i odjeżdża na długim wysięgniku za drzewa, wysoko, wykrzywia się do mnie i woła: „Dążenie, do przeżycia to nieprzeparta siła...”. „Czego” - chcę wiedzieć, a on krzyczy: „...pragniesz... uświęcić nieporządek swojego umysłu”. Chyba cię nie zabiłem... już wszystko rozumiem, nareszcie... common sense... lepiej udusić...

\*

Ogród zarośnięty zielskiem, wyrywam chwasty, zrobię tu ogromny klomb, tu dziać się będzie mój kabaret. Napisałem już piosenki i różne teksty, wesołe, rozdałem role dzieciom, niech się bawią, gra muzyka, lekko leci z taśmy, skąd tu magnetofon? Cała łąka tańczy, wiruje, zioła, osy, kwiaty, liście, motyle, ważki, nawet ćmy tańczą, choć to biały dzień. Ja patrzę, świat jaśnieje, idzie Basia, w ręku zielony badylek, wianek na głowie, idzie i śpiewa: „Trzy śmierci się ze mną działy...”. Ależ nie tak, tam było „Trzy światy...” - to kabaret, po co zaraz o śmierci? „Nie pouczaj, byłam w Oświęcimiu, pamiętam dym i tamte szalwie i...”. - Zepsuła całe przedstawienie, dzieci zaleknione pouciekały, czemu to zrobiła, przecież ją lubimy - ona siada na leżaku i wkłada

rajstopy, zupełnie jak matka naciągająca jedwabne przedwojenne pończoszki, trochę wilgotnymi palcami przesuwa w górę gazową mgiełkę. Patrzą, a tam, gdzie był klomb, jest teraz dół pełen wapna, gęstego wapiennego ciasta. I po co to wszystko? - Zaczynamy od początku, proszę uważać na muzykę, proszę uważać, teraz śpiewa Ella Fitzgerald, tylko ona przebaczyła światu...

\*

Wykład, muszę notować i od razu: „...wydaje się istnieć bezpośredni związek między pogodzeniem się z totalitarną doktryną i pisaniem złą angielszczyzną...”. - Słucham? - Tak, to Orwell, może ktoś zna ten cytat, proszę się przyznać, my i tak wszystko wiemy. - Już nie notuję i nawet nie słucham, jestem na skrzyżowaniu, to Krakowskie Przedmieście, Aleje Jerozolimskie, Nowogrodzka i Koszykowa, adres kamienicy w kieszeni kurtki, ale nie mam kurtki, a tu zimno, budzę się drżący i już dalszy ciąg wykładu - coś o pieku imperialistycznym, nudne... Dalej! Tortury? Proszę bardzo, kto się zgodzi dobrowolnie? Nikt? Ha! - Ja tam mogę - mówi jeden. - „To będzie, proszę państwa, wyłamanie obydwu obojczyków, normalnie”. Widzę ręce Japy, jego piękne dłonie całkiem rozbite, bezwładne, w drutach i bandażach. Stoi czy leży? Pchają go w kolebie do pieca. Ktoś postanowił znieść wszystko i przez wszystko przeszedłszy, ocalić, co ocalić? Się? Widać oczy dziecka, na rzęsach pełno gnid, w brwiach aż biało. Jest! Brama w Alejach Jerozolimskich 5, a tam piesek z ludzką głową, też mi coś. O, ktoś strzela do kotka i piesek ucieka, ogon podkulony... Twarz spalona i ciągle żywa, ludzka.

Znowu sala wykładowa, w bibliotece książki spadają ze wszystkich półek w kałuże kleju, wielkie tomy przywalają moje skarby ze skrzyni, papiery, dalej leci wykład, teraz z radia, pewnie brak im wykładowców, a to wszyscy mają

usłyszeć i zapamiętać na zawsze. Nie chcę! Ktoś wstaje, idzie, pisze na tablicy - „je vous baise” - kłania się, unosząc kapelusz, i wychodzi. A tak, to Klemens! Teraz ja - mam jeść szkło, nic strasznego, jakoś zjem, przecież cienkie. O Boże mój, jak to dobrze, że jest jakiś koniec wszystkiego, koniec, koniec, to tylko krwotok pamięci... „wy... w pysk dezertera...”

\*

„...ponieważ każda krzywda lubi powrócić echem”. B. Hrabal, Zbyt głośna samotność

Stałem pod jaśminem i sikałem na kompost, popatrując na czerwono kwitnący pigwowy żywopłot i północną ścianę domu, z którego jesienią mieliśmy się wyprowadzić. Pusto i cicho, tylko ptaki śpiewają. Na pierwszym piętrze sąsiedzi zostawili na balkonie kapliczkę z Matką Boską i wieczorami wciąż świeciła się tam malutka lampka. Wyprowadzili się na swoje, ale nie zostawili adresu i nie zabrali kłamotów ze strychu, więc pewnie jeszcze przyjdą. Kończyła się przedwojenna „Kolonja Iwicka”, od dawna wypierana przez domy nowych osiedli. Zostało nas niewielu, mało kto miał szansę zachować swoją własność, zresztą sporo ludzi wolało bloki. My postanowiliśmy tego lata nie wyjeżdżać, żeby przenieść jak najwięcej naszych roślin na nowe miejsce.

Z domu dobiegał głos Paraski: „Madame Sans - Gene to dobra praczka, Madame Sans - Gene nie pierze źle...” - śpiewała wesoło, nie kojarząc tych słów z marką wyżymaczki, której używała do pieluszek, ani tym bardziej z kochanicą Napoleona. Była szczęśliwa, bo niedługo Mazowsze leciało do USA, a ona miała już trzymiesięczny staż za sobą, nauczyła się tańczyć i schudła. Karmiła małą tylko dwa tygodnie, wszystko przez te ząbki, bo chociaż były dość miękkie, to jednak dziecko więcej gryzło, niż ssało. Mamuśka zaraz poprosiła Felę o specjalne smoczki, butelki, mleko w proszku i odżywkę. Cała paka tego przyszła - nawet, tak samo jak dla

chłopców, mydełka i oliwka Palmolive. Uwolniona od karmienia Paraska szybko wylądowała u pani Miry, bardzo zadowolonej. Tak się wtedy wszystko rozgalopowało, że nijak nie mogłem dobrać się do dziewczyny i porządnie podupczyć. Pościłem, trochę się masturbowałem, z rozpaczą rozmyślając, co to będzie. Ale późną wiosną, jak ją odwoziłem do Karolina, wymyśliłem okrężną drogę i skręciłem w znajomy las; wiedząc, że nie zechce w aucie, szukałem mszystego zakątka, tyle że mnie piliło, więc ułożyłem dziewczynę w paprociach, trochę za szorstkich na miłosne łoże. Zakręciło mi się w głowie od jej gorącej pisi, co popsuło moje plany, bo miałem zamiar heblować, że hej! Ale dałem radę tylko dwa razy, za to bez wyjmowania, a ona szybko się spłakała, wcale niezadyszana, szczęśliwa...

Trudno, myślałem, wbijając wzrok w wypukłe Pośladki, kiedy mijaliśmy łachę zielonego mchu, trudno i szkoda, bo gdy uciekła, zanim zdołałem ją na ten mech przewrócić, wydało mi się, że to koniec świata. Nigdy więcej! Pognałem do samochodu i zdyszany rozglądałem się, wypatrując czerwonej spódnicy. Była. Była! Dorwałem ją, schyloną nad torbą z ciuchami, pochwytiłem od tyłu i całując opalony kark, powoli nasadziłem na siebie. O, jak dobrze, tak lubię najbardziej, teraz mam cię całą! Ale po kilku moich ruchach obróciła się i próbowała wywinąć. Nie pozwoliłem, przyparłem do bagażnika, rozpierałem jej nogi kolanem, nie rozumiejąc, że wcale się nie broni: patrzyła mi w oczy i już podnosiła nogę i zadzierała kieckę. Wszedłem i jebałem na stojąco, gwałtownie, radośnie, rozpaczliwie, a kiedy jęknęła, osunąłem się powoli i trzymając rękoma wielkie piersi, całowałem złotowłosą cipę tak głęboko, aż dziewczyna złapała mnie za czuprynę i poprosiła: „ruchaj, ruchaj!”. Znowu w nią wszedłem, myśląc: jak to dobrze, że nie zdążyli ci ogolić tej twojej pizdy; poczułem pulsujący gorąc, pobujałem i



popłynąłem. Zaśpiewała, odetchnęła i zrobiła się strasznie ciężka. Ucieszyłem się: jak ona śmiało bierze swoje! Potem prowadziłem jedną ręką, drugą trzymając między jej grubymi udami; myślałem, czy nie zjechać gdzieś na pobocze i nie spróbować raz jeszcze całowania pisi, ale ona już nie chciała, już się spieszyła.

\*

- Co tak późno? - zapytała Alina. Przyglądała mi się uważnie, w oczach i na czole chmura.

- Coś stukało w silniku, zostawiłem wóz w warsztacie, jechałem autobusem, potem szedłem pieszo - kłamałem swobodnie. Bo rzeczywiście wlokłem się spacerem aż od Łowickiej. Łgać należy blisko prawdy, wtedy trudno złapać na kłamstwie. Już i tak wzbudziłem ciekawość pani Miry, która z rozbawieniem oglądała moje pożegnanie z Paraską. Co mi tam, najwyżej powie mamusce albo ciotce Jance, wielkie mecyje. Dość spokojnie jadłem spóźniony obiad, chociaż po ziołowej herbatce pani Miry głód mi doskwierał. Chyba jednak nie było nic po mnie widać. Wypiłem pół butelki białego wina, wziąłem prysznic i poszedłem spać. Ciągle na kanapie.

Ocknąłem się na chwilę, kiedy zgasło światło. Matka dotknęła po ciemku mojego ramienia.

- Wiesz, nie podoba mi się ekonomia Jaszczuka i Gomułki. Słuchałam właśnie BBC i RWE. Myślę... muszę... chcę rzucić tę posadę - mówiła tonem dyrektora ekonomicznego jakiegoś wielkiego przedsiębiorstwa. - Jak tylko zaczniesz interes ze srebrem, zajmę się bursztynem i poprowadzę sprzedaż, dobrze?

- Uhm - odpowiedziałem, zasypiając - spokojny i, jak by powiedziała Paraska, „czegójs zadowolniony”. Paraska! O Boże, to był ostatni raz, świat się wali! Rozbudzony, roztrzęsiony, raptem wstałem i poszedłem do pustej kuchni.

Posiedziałem na stołku, opierając głowę o lodówkę, potem ubrałem się i wyszedłem. Łaziłem po ogródku i nową alejką między blokami. Długo leżałem na ławce i dygotałem z zimna. Jak to było? Rigor mortis.

Czwarta rano. Już widno. Ruszyłem w miasto, gdziekolwiek, do knajpy. Ludzie, wódka, muzyka. Kameralna, Kamieniołomy, Kongresowa. Zamknięte, za późno, już po rozchodniaczkę. Na Marszałkowskiej pusto i cicho. Ogród Saski. Nikogo i nic. Królewską pojechała dorożka. Kościół Wszystkich Świętych. Twarda, bruk. Tam dalej, pod dwudziestym czwartym, mieszkał Antek, kiedyś. Tutaj Bagno, Próżna. Wszystko się zapadło, ukryło. Zielna, pawilony, tam mają dobre buty. Ogród Saski. Tramwaj, zakręt tuż przy narożniku, tu można się zabić... Senatorska. Plac. Feluś, ten szlachcic i bolszewik, czekista. Dalej, gdzieś tu były Nalewki i brama. Ogród Krasińskich. Bonifraterska, ambasada chińska, tu chłopcy latali po czerwoną książeczkę. Co to było? Hunwejbini, tak. Ale mnie zniosło i kołuje! Stawki, gdzie Stawki? Nowotki, Franciszkańska... młode drzewa...

Zaraz szósta. Ruszyły tramwaje i polewaczki, otwierają się sklepy, ludzie pędzą do pracy. Gdzie trzeba i nie trzeba wykonano już wyroki śmierci. Co ja teraz zrobię? Bez niej? Och, zniknąć!

Wziąłem taksówkę i do domu. Kupiłem bułki, chleb, ser limburgski, ser biały, mleko, masło, a w warzywniaku śmietanę i rzodkiewki. Mieliśmy już własne, ale te były białe, lodowe sople. Na kolację zrobię bliny; Polna - tam mają mąkę gryczaną i kawior, a przy okazji kupię pularde na obiad. I smardze, już są. To dobre jedzenie, masło, śmietana, biały pieprz. „Nic tak nie ożywia, jak myśl o śmierci”.

\*

- To Żyd! - syknęła.
- Skąd wiesz? - zapytałem.

- Wiem, ja ich poznaję po uszach - szepnęła.  
- Jak? - chciałem wiedzieć.  
- Ciśś... potem ci powiem - zasyczała, podniosła rękę do ust, ziewnęła.

Wielkie nieba, powie mi, powie, jak się poznaje Żyda, jak oni to robią. Ciekawe, co z tymi uszami? - kotłowało mi się w głowie przez resztę zebrania. A ona podeszła i powiedziała:

- Chodźmy do Gongu - i uśmiechnęła się zachęcająco. Znała mnie trochę, przespaliśmy się kiedyś dla zabawy, czasami spotykaliśmy się u znajomych. Wiedziała, że lubię herbatę i że z Gongu mam najbliżej. Siedzieliśmy chwilę, ona telefonowała, umawiała się w sprawie perfum, a potem powiedziała, że za chwilę wróci, i wybiegła w Aleje.

O nie, czekać?... trzydzieści pięć lat szlifuję w głowie ten kamyk i to jest moja via naturalis. Czarniawa grudka w mózgu tkwi ciągle nienaruszona; obracana, obmacywana, pocierana, głaskana, rozbijana i łączona myślami wciąż nie daje błysku zrozumienia, twarde granat jest teraz jak kulka nawozu toczona przez połyskującego szafirowo żuka gnojaka, który popycha swój żyzny skarb tylnymi odnóżami do przodu, a samica nie dopuszcza do niego konkurentów; nie wiem, czy mają w tej kulce jaja, czy tylko pokarm dla potomstwa, smaczny gnój. Idą do swojego celu, troszczą się o byt następnego pokolenia, tak samo jak ja czuwam nad obecnością tamtej myśli w jaju mojej grudki, zeszlifowanej latami do miękkości.

Już usiadła, pachnąca wiatrem i Interditem, twarz inteligentna i czysta, oczy czyste, włosy rozsypane nad czołem. Lubię ją. Plan, plan, muszę mieć plan rozmowy, przecież ma mi powiedzieć.

- Więc jak to robisz? - zaczynam lekko, żeby się nie spłoszyła, nie cofnęła. Uśmiecha się, prosi o herbatę z cytryną i rumem i mówi od niechcienia:

- Bo oni... wiesz, to nic takiego, to jasne, że oni... - truje coś o mylącym wyglądzie, cechach rasy, o genach.

- Co, nie możesz wprost? Czekam od godziny, nie chce mi się myśleć, powiedz i już. To nietoperz, wampir, strzyga?

- Złóścisz się o byle co, niby co z tego, że nie wszyscy wiedzą? U nich to rodzinne, przez całe wieki...

A więc to tak! O mój Boże, a czego ja się spodziewałem? Przecież to wciąż to samo: „Pędzą myśli w zamierzchłe dzieje/ gdzie ślad porasta i trop czernieje/ w gąszczach przeszłości z uporem mrówki/ babki szukają, babki Żydówki”. Powiem jej o sobie, pomyślałem. Tylko co?

Już nie słuchałem, co dalej mówi, brzydę się jej szczerością, jej czystością i wiedzą o genach. Patrzę w czyste oczy i myślę, jaki też prawdziwy obraz prawdziwego Żyda nosi ta głowa i to sumienie, nakazujące przyjacielsko ostrzec mnie przed prelegentem. Byłem mały, kiedy zapytałem ojca, jak to jest być Żydem.

- Tak samo jak Polakiem, tylko że sporo ludzi nie może obejść się bez wroga, a dla niektórych Polaków wrogiem jest Żyd - odpowiedział. Chyba byłem zmartwiony, bo zaraz dodał:

- Nic się nie bój, koszerne jedzenie babci niczym nam nie grozi, to tylko zwyczaj, tak samo dobry jak każdy inny.

- Słuchaj, Jolu, ja... - zacząłem i nie skończyłem. Chciałem jej powiedzieć, że prelegent wcale nie jest Żydem, że to mój młodszy kolega z podwórka, syn dozorca naszego przedwojennego domu, a uszy ma takie, bo ojciec go za nie ciągał, wymierzając karę. Ale nic nie powiedziałem, nie było warto. Jestem sobą, i tyle. Jestem u siebie, bo tak się czuję. Nie wyprę się swojej matki, babki ani żadnej rzeczy, która moja jest. Ale: niech z bólu kiszki skręci wam!

\*

„...przecież ona ma dziesięć miesięcy!

Wiem - odparł Seymour. - Ale uszy  
toto ma. Słyszysz".

D. Salinger, Wyżej podnieście strop, cieśle...

Nie wiem, co moje panie powiedziały sobie wtedy w styczniu, już po wyjeździe Paraski do Karolina, ale obie zgodnie stanęły do rozgrywki. Obydwie miały równe szanse, chociaż moja żona znacznie wyprzedzała mamuszkę w porannych obrzędach. Za to nocami starsza pani Japalska była nie do przebicia: zawsze wstawiała pierwsza. Obie pały jednakową żądzą opiekuńczego macierzyństwa; zastanawiałem się, czy aby nie przybrało im mleko w piersiach, bo wyglądały, jakby gotowe były własnym cyckiem karmić trzytygodniowego wilkołaka. Zdawały się nieulekłe i niezmordowane w tych swoich zmaganiach, tyle że się nie kłóciły. Ale w domu nastał spokój dopiero wtedy, kiedy po paru miesiącach łóżeczko z dzieckiem wylądowało w pokoju bliźniaków. Marek i Mat nocami puszczały muzykę z płyt i kazali małej oglądać albumy wielkich mistrzów, co bardzo jej się spodobało: siedziała podparta poduszkami, patrzyła, przewracała paluszkami grube kartki i w połowie książki spokojnie zasypiała. Albumów mieliśmy sporo, na osobnej półce obok tych z malarstwem stały także te z fotografiami Alp i Tatr. Nie wiadomo kiedy dziecko nauczyło się rozpoznawać wszystkie, więc gdy zaczęło mówić, bez trudu wybierało te, które miało chęć obejrzeć. Nie wiadomo też, od kiedy Ewa umiała oprócz prostych słów „ten, ta, to, co, tak, nie” paplać krótkie „Manet”, „Miro”, „Degas”, których wyróżniała, a potem jeszcze kilka nazwisk, też dobrych. Siebie nazywała Iwi.

Teraz i w dzień, i w nocy zasypiała z ciężką książką na brzuszku i już inaczej nie chciała. Pierwszą noc swojego życia i cały wigilijny dzień przespała przy piersi rodzonej matki,

która wcale wygodnie ułożyła się na mojej kanapie. Ja spałem w łóżku Paraski, pod jej wspaniałą pierzyną. Było mi ciepło i szczęśliwie. Następne dwie noce były płaksliwe, więc po trzech dniach Paraska zawinęła szczyptę maku do płóciennej szmatki, potłukła mało wiele młotkiem, włożyła do gorącej wody z cukrem, pottrzymała chwilkę i odessawszy nadmiar soku, włożyła „siośkę” córce do buzi. Mała zacisnęła ząbki, przełknęła i uspokojona smacznym smoczkiem, przespała całą noc i nie grymasiła w dzień. Mamuśka przyglądała się, milczała i raz tylko westchnęła: "fleur du mal". Podczas karmienia Paraska sykała, ale podawała dziecku pierś i zrezygnowała dopiero na usilne prośby mamuśki, która odtąd miała decydować, co kto robi przy jej wnuczce. Tak jej się przynajmniej zdawało.

Kiedy Ewa się rodziła, byliśmy wszyscy w domu. Dochodziła północ, czytałem na kanapie, a tu Paraska przylatuje z krzykiem, ciągnąc za sobą strugę wód płodowych. Nie zdążyłem porządnie się ubrać, jej krzyk narastał, przybiegła matka, Alina i sąsiadka z góry, pani Wagner, położna. Moja matka rozsiadła się na krześle, wzięła rodzącą na kolana i głaskała po głowie, a pani Wagner badała dziewczynę. Trochę zgłupiałem, ale Alina poszła spokojnie po ręczniki. Paraska rodziła: bóle miała już od kilku godzin, teraz widać było czarną mokrą główkę; dziewczyna wparła się łokciami w brzuch mamuśki, a na dywan wysunęło się coś śliskiego: moje dziecko. Jego matka płakała cicho, kobiety się uwijały, wypędziły mnie i chłopców, więc siedziałem w pokoju bliźniaków, a gdy wróciłem do salonu, usłyszałem, co wiedziałem: córka, mam córkę. Pani Wagner, dumna ze swoich umiejętności, wetknęła mi w rękę owiniętą w coś niebieskiego istotę, która otworzyła oczy i spojrzała na mnie surowo. Pottrzymałem toto w pionie, niech patrzy. Wydało mi

się, że obejrzała nas wszystkich po kolei, chociaż wiedziałem, że noworodki nie mają prawa widzieć.

Uradziliśmy wspólnie, że mała będzie się nazywać Ewa, nie dbając o to, co ona sama ma do powiedzenia. Paraska wzdychała i zasypiała co chwilę, mamuśka zagarnęła dziecko w ramiona i z zadowoleniem usłyszała, jak mówię, że chcę, by dziewczynka miała na drugie imię Miriam, tak jak moja babka. Łapa śmiał się, cmokał do malutkiej i dziobiąc Paraskę wskazującym palcem, dopytywał:

- Jedno?

Niebawem cieszył się, że ma tylko jedną siostrę.

\*

Omne trinum perfectum.

Zaczęło się od znaleźziska, dokładnie od trzech, prawie jednocześnie. Dom znalazłem z ogłoszenia na słupie: „...zamienię na mieszkanie w Śródmieściu”. Obejrzałem i z miejsca miałem pomysł, nie całkiem mój - z książki, którą znalazłem na bazarze: „Skarbiec dla rodzin w mieście i na wsi”, Warszawa 1888, Wydawnictwo „Biesiady Literackiej”. Przeczytałem, co tam było o domach, ich budowie, urządzeniu i wyborze miejsca, a to miejsce z ogłoszenia okazało się bardzo podobne. Trochę na zbocz, akurat takim, żeby dom z jednej strony miał wysoką suterенę. Podobało mi się, więc po radzie z matką i Aliną oddaliśmy starszej pani małe mieszkanie na Hożej, co to miało być dla Japy, kiedy chciał się żenić z Anką.

To za ten dom z działką płaciłem parę lat haracz, bo starsza pani grunt wyceniła osobno i zgodziła się na raty. Jej dom nadawał się tylko do remontu, ale był z cegły, co też mi się podobało. Przy pomocy Anki i jej kolegów remont szybko przerodził się w budowę; zostawiłem wszystko w rękach kończących studia, niewyżytych architektów, prosząc tylko Andrzeja, żeby przy salonie zrobił mi alkowę, która by się

nadała na pracownię jubilerską. Ładnie to wykombinował i chociaż wydziwiał, że chcę mieć „ciemnicę”, okna zaprojektował tak, aby były wąskimi podłużnymi szparami na krótszej ścianie, tej od południa. Postanowiłem zasłonić je okiennicami, co wyglądało z zewnątrz trochę dziwnie, więc Anka wymyśliła okiennice podobne do innych okien. Asymetria, klinkier, łamany dach itepe.

Miałem jeszcze trzecie znalezisko, malutkie. Była to spora klamka mosiężna, stara, prosto zdobiona, z zamkiem i dwoma kluczami. To do tej klamki chłopcy musieli dopasować drzwi wejściowe, trochę ciężkie, ale i tak Kohinor potrafił na moje cudo skoczyć i drzwi otworzyć. Alina śmiała się, że do tej klamki dorobiłem cały dom.

Budowa jakoś skryła się pod remontem kapitalnym, chociaż dom dwukrotnie powiększyłem, dodałem półpiętro, a obok sutereny garaż. Sam nie brałem udziału w zdobywaniu materiałów i wykonawców, sprawy notarialne i pozwolenia załatwił mi syn dawnej właścicielki, prawnik. Niewiele to kosztowało i obyło się bez termedii. Prawdę mówiąc, wcale się budową domu nie przejmowałem, interesowałem się głównie ogrodem. Chciałem mieć wszystko od razu, a tu stare drzewa owocowe trzeba było usuwać. O mało się nie popłakałem nad wielką morelą, bo w jej miejscu kopano fundamenty, przerażała mnie też ilość wywróconej do góry nogami ziemi. Coś jednak ocalało, coś przenieśliśmy z naszego ogródka, sporo dokupiłem. Od Aliny wyblagałem złotokap i różowe klematisy, teksańskie, najładniejsze; nowe róże wybierałem sam, z książką w ręku. W dole po lasowanym wapnie postanowiłem zrobić sadzawkę. Potem, żeby wyrównać teren i jakoś użyźnić zniszczoną glebę, przewiozłem od nas pięć wywrotek ziemi i całe kompostowisko. Wszystkim wmawiałem, jak bardzo to jest potrzebne, a tak naprawdę miałem nadzieję, że jest to sposób



na przeprowadzkę choć kilku poczwarek jednego gatunku ómy, który polubiłem.

- Nie taki tam znowu ugór, ale zabieraj wszystko, może i duszę tego miejsca przewieziesz - szydziła Alina. No to przewiozłem i jukę.

Mogłem się nie wysilać, nikt nie zwracał uwagi na nowy ogród, każdy myślał o swoim pokoju. Bliźniacy wybierali się na architekturę i to dla nich chciałem w suterenie urządzić pracownię; Tobi marzył o poddaszu, Łapa postanowił zamieszkać w kuchni, za piecem. Nawet nieobecny Japa upomniął się:

- A zróbcie tam coś i dla mnie, chyba mi się należy.

Alina chciała mu wyliczyć, co od nas dostał, ale nie pozwoliłem. Całe szczęście nie powiedziałem jej, ani nawet matce, że Japa, jeszcze za pieniądze z Villona, poleciał do Nowego Jorku zobaczyć „Hair”. To by dopiero było! Mnie mógł powiedzieć, dobrze pamiętał, co sobie cenię. Kiedy z nim rozmawiałem przez telefon, śmiał się, szczęśliwy, że się nie gniewam i obiecuję trochę forsy.

- Wiesz, tato - mówił - każda rura po skróceniu i tak okaże się za krótka, więc się nie martwię, najwyżej potem trochę mocniej zacisnę pasa. Mam rację?

- Masz, masz - odpowiedziałem zwięźle. - Też bym tak zrobił... coś dla ciebie w nowym domu? Proszę bardzo, chcesz wnękę czy werandę?

Wśród tych przygotowań nikt nie zatroszczył się o koty, sam o mało co nie zapomniałem o Kohinorze, a gdy to sobie uprzytomniłem, zobaczyłem, że on już się szykuje do przeprowadzki: zamieszkał w popsutej walizce z wikliny, z którą Paraska zjechała do Warszawy. Podpatrywałem go i umyśliłem, że jak zniecka opuszcze wieko, to go zdołam capnąć i przewieźć autem. Kiedy to wreszcie zrobiłem, całą drogę musiałem przemawiać mu do rozumu, co pewnie

niewiele by pomogło, gdyby nie obecność na nowym miejscu półdzikiej kotki w rui i stosów tobołków i domowych gratów w garażu, między które dał nura. Szybko wychynał, ledwie zdążyłem zjeść obiad. No tak, ruja. A niech tam, możemy mieć dwa koty, pomyślałem nieopatrznie i już miałem imię: Penelopa. Ładnie. I kotka ładna, płowa, prawie ruda, dzika, nie chce podejść do miski pełnej żarcia. Zajęła strategiczną pozycję na pieńku i czeka. Nie wiem, co to ruja, jakie siły miotają zwierzęciem, u nas przecież nad wszystkim panuje rozum, a dla kotów istnienie to chyba coś tożsamego z pędem do przedłużenia gatunku. Hm. Teraz tarzali się po ziemi. Wcale nie cierpiałem z powodu rozdrapanych zagonków z tulipanami, przeleciało mi tylko przez głowę, co też powie Alina. Sadziliśmy cebulki w paździeniku, trochę byle jak, w pośpiechu. A oni kotłowali się tam teraz w miłosnych harcach; kocica długo wodziła Kohinora po grządkach, krzakach i rozrzuconych gratach. Dopadł ją na dachu garażu, potem na przewróconej ławce i wreszcie pod ogrodzeniem, przy którym posadziłem żywopłot. Patrzyłem na ich weselisko dosyć zaciekawiony, bo to była jednocześnie walka o terytorium, należące chyba do Penelopy. Jakoś się pogodzili, Kohinor zrobił swoje, nie zważając na niczyje prawa, czułem jednak, że się stąd wyniesie - trudno, zrobiłem, co mogłem, kotka też. Niech sobie idzie, myślałem, patrząc za odchodzącym kocurem. Silny, umie sobie radzić, z pewnością i tak płodził wszędzie po trochu, niczym Żyd wieczny tułacz.

Penelopa powiła zimą, wykarmiła, wyuczyła i zostawiła całą piątkę w garażu. Znikła, zostało tylko imię. A Kohinor szybko wrócił.

\*

...uciekać... uciekać... tylko gdzie... wody, kłody, łodzie, łąki, mosty. Byle stąd. Koń gniady, jabłkowity... Skoczę, nie skoczę? Woda w rzece rwie, grzbiet konia widać po boki,

płynie, więc skaczę i trafiam: ocalenie, „o radości, matko bogów”, między udami czuję szorstkie końskie ciepło, na łydkach gładki chłód wody. Jest drugi most, wiem, że niebezpiecznie niski, bo woda wysoka, wybieram cementowy filar, już podpływa, czepiam się i gramolę po śliskim lodowym słupie, pełznę i na czworakach wychodzę prosto w miasto. Nie znam tych ulic, domów i placów, nie wiem, gdzie to... Jeśli nie wiesz, dokąd idziesz, każda droga cię tam zaprowadzi”, mawiała babcia Miriam, Kotusia dla dziadka, Baba - Jaga dla mnie. Pytam matkę, co to za lekarstwo, a ona „nic się nie martw, moje dziecko, to trucizna, Baba - Jaga już śpi”. Co ona jej dała, przecież babcia byle czego by nie zjadła, przecież to było jabłko z miodem, więc koszerne. Biegnę, nogi słabe. Ile się trzeba nabiegać, żeby znaleźć się w tym samym miejscu - mówię i wiem, że mówię przez sen i że to z jakiejś książki. Baba - Jaga czyta, surowa i pobłażliwa, pozwalała mi moczyć suszone śliwki w likierze wiśniowym, biła po łapach za wsadzanie paluchów w śmietanę... robimy pulpety tak jak babcia, z surowego drobiowego tłuszczu z mąką, tartą bułką i zieloną pietruszką, małe kulki smaku. A tamten śpiewa: „Zapomnij o stosach, nie spalili ciebie...”. Zapachy i smaki łączą się i rozdzielają...

\*

- Skaranie boskie! - lamentowała i lekko trzepnęła małą po rączce.

- Udław się - odpowiedziało dziecko i w tej samej chwili pani Leokadia groźnie chrząknęła.

- Wcale się tego nie boję! - wrzasnęła Iwi i pociągnęła za obrus. Obie z matką rzuciły się na ratunek, bo mała potrafiła w ten sposób wypatroszyć całe śniadanie. Nigdy tak nie robiła, kiedy siedziała przy stole z jedną osobą, dwie jej wystarczały, by zacząć przedstawienie, a liczyć umiała od maleńkości. Kapałem dziecko tylko ja, nocnika - porcelanowego! -

pilnowała mamuśka, Alina opanowała sztukę karmienia łyżką, chłopcy - czytania na głos, pani Loda zarządzała ubieraniem i czystymi rączkami. Dziecko dysponowało sporym dworem i zwykle było dość grzeczne. Ale niech no tylko zasiadły z nią do stołu dwie osoby! Kiedy zaczęła mówić krótkimi zdaniami, prawie wszystkie były w trybie rozkazującym, nawet te zwrócone do samej siebie. Miała już prawie rok, chodziła na własnych nogach, a trochę wcześniej stawała przy stołku i tupiąc, mówiła „maś ić!” do jednej i drugiej nóżki. I szły! Potem z tego rozkazu zrobiła jedno słowo - „maszić!” - i używała go dla oznajmienia, że chce chodzić, że pójdzie, albo żeby kogoś przepędzić.

To moje dziecko chciało samo nazywać wszystko, co widziało, czego dotykało, co robiło i czuło. Najpierw ponazywało osoby - rodzoną matkę Iwi nazywała Papa, babcię Lili, panią Lodę - Nana. Tylko Alinę tytułowała z powagą: Mama. Zasada Iwi była prosta - skracała wszystko do jednej, najwyżej dwóch sylab: pielucha to „ucha”, motylek „lek”, okno „o”, „patyk „pat”, lalka „la”, spać „pać”. Wyjątki robiła rzadko. „Gówno” - powiedziała zachwycona tym, co popuściła do nocnika, i, równie zachwycona błyskawicą, krzyknęła: „Elektryka!”. Tylko koty miały szczęście, bo każdy nazywał się „kot” i to słowo się nie odmieniało. No i ja. Nazywała mnie „Dziut”, tak uśmiechnięta, że nawet kiedy mną pomiatała, byłem szczęśliwy.

Ale i trochę nieufny, bo gdy chłopcy czytali Ewie niektóre ze swoich książek, wybierała tylko urywki, a były to fragmenty cokolwiek podejrzane: z Kubusia Puchatka uwielbiała ponurego Kłapouchego, z Piotrusia Pana - jego złośliwości o matkach, a przy okrutnych wierszykach Jachowicza klaskała z radości. Geniusz czy monstrum? A może, jak u Szekspira: „My to w zuchwałym złodziejstwie natury, więcej bierzemy treści, ognia, siły”...?

Sam nie wiem, ale coś mi się zdaje, że teraz bardziej trzęsę się przed nią niż dawniej przed matką. Nad nią też, oczywiście.

\*

Ledwie zamieszkaliśmy w nowym domu, ja rozwijałem nowe interesy, matka wybrała się po bursztyn, a tu masz, raptem zrobiło się niebezpiecznie. Był grudzień 1970 roku, na święta miała przyjechać Paraska. Jednej nocy zupełnie nie mogłem zasnąć: mamuśka w Gdańsku, Alina w Holandii, ja sam z Ewą, chłopcami i z małą pomocą pani Lody. Matka wróciła rano i powiedziała:

- Mówiłam ci... - wyciągnęła „Głos Wybrzeża”. - Czytaj, napisali prawdę, ale najpierw nastaw wodę na herbatę, daj cytrynę i rum.

Zgłupiałem, nie wiedziałem, co robić, serio się przestraszyłem. Matka była bardzo blada, nieumalowana, rozczochrana. Czytałem pomiętą gazetę i coraz bardziej się bałem. Co mam jej powiedzieć? Ale to ona opanowała sytuację - wykąpana, w wygodnym fotelu, już po wyjściu chłopców.

- Mówiłam ci kiedyś... - powtórzyła. Opowiedziała, co się tam dzieje, a potem sucho:

- Bursztyn załatwiłam, Zosia i Zbyszek zdrowi. Może jak się coś wyjaśni, dostaniesz od nich paczkę pocztą dworcową, teraz to niemożliwe. Przyjechałam okazją, taksówką, nie mogłam do ciebie telefonować. Blokada. Przeczytałeś? No widzisz, przecież mówiłam. Co jest małej? Wychodzisz? Aha, przyjdzie pani Loda, bardzo dobrze. Prześpię się trochę, a wieczorem pójdę do Janki.

Uśmiechnęła się i dodała, przedrzeźniając Paraskę:

- Do tych pór niech wszyscy przeczytają tę gazetę. Dopilnuj chłopców, Łapa też już może, ty w jego wieku...

Chciałem jej powiedzieć: Mamo, trzeba coś zrobić, może powiedz Antoniemu, żeby... - ale zmilczałem i tylko pobiegłem na Śniadeckich do Zimanda. Obaj doszliśmy do tego samego wniosku: jak strzelają i wypuścili na ludzi wojsko, to nic po nas. Świat i tak się dowie, od nas niczego nie oczekuje, może tylko, żebyśmy siedzieli cicho. Jednak Romek zdenerwował się i zaczął szukać swojego sprężynowego noża. Przyglądałem się spokojnie - wiedziałem, że ma taki odruch; tak naprawdę nóż nie był mu do niczego potrzebny, ale Romek lubił go mieć i czasami nosić przy sobie. Nie sądziłem, że mógłby go użyć; podejrzewałem, że raczej by uciekał na tych swoich krótkich nóżkach.

A matka jak zawsze: dopiero późnym wieczorem pokazała mi kartkę, mówiąc:

- Zaraz znowu powiesz, że urządzam żydowski spisek, więc z góry uprzedzam, że to tylko do twojej wiadomości. Popatrz - i podała mi świstek papieru, dość luźno zapisany z jednej strony. Szybko przeczytałem; była to ulotka o potrzebie prawdy i poparcia żądań robotników i stoczniowców, podpisana „Komitet Robotniczy”, bez daty...

- Skąd to masz? - gorączkowałem się. Jednym uchem słuchałem jej opowieści o podróży nocą, o zabitych przez taksówkę dwóch zającach i o człowieku, który zaraz potem zatrzymał auto i poprosił o podwiezienie do Płocka, drugim łowiłem trzaski nastawionego na RWE radia. A ona:

- Rozmawiało się, jak to w czasie jazdy. Facet był rozgarnięty i dużo wiedział. Wysiadł przed miastem i żegnając się, wcisnął mi tę kartkę: „Pani coś z tym robi, pani inteligentna”. Wiesz, wtedy na wiosnę mówiłam ci...

Złapałem BBC World Service i wysłuchałem wiadomości. Wiedzieli mniej niż my.

- Daj tę ulotkę - zażądałem gwałtownie, bo postanowiłem natychmiast pójść do Zimanda i może do Mikołaja. Ale

mamuśka nie chciała dać kartki, zaparła się, daremnie szarpałem ją za ramię; była gotowa raczej zjeść przybrudzony papierek, niż pozwolić mi w cokolwiek „dać się wciągnąć”. Pudło. Co robić? Czekałem z nadzieją, że jakoś ją zmęczone. Znowu włączyła radio i szukała RWE na trzynastce i na średnich. Wszędzie brzęczyk. Znalazła jakąś stację francuską, trochę posłuchała i widząc moją nieustępliwość, stwierdziła:

- Owszem, jestem inteligentna - i przytknęła płomyk zapalniczki do ulotki. - Tutaj nie ma nic do zrobienia, słyszysz przecież, ile wojska ściągnęli na Wybrzeże. I ten, jak mu tam, już u nas siedzi, już rezyduje...

Eleven o'clock news. Reuter... Nic. Wyszedłem, złapałem Romka dopiero w Kameralnej i nic mu nie powiedziałem. Bez ulotki i tak by nie uwierzył, a mnie jakoś nie przyszło do głowy, że mógłbym napisać zapamiętane słowa, choćby na maszynie, przez kalkę, jakoś to ich wezwanie puścić w świat. Bęcwał. Maminsynek. Strachobździeł. Głupek.

Wracałem do domu piechotą przez puste, ciemne miasto. Duło mi w plecy mocnym wiatrem z północy, suszącym chodniki i jezdnie. Sadziłem wielkimi krokami; myślałem o zajęcach, które kicając w poprzek szosy, trafiają w ostre, długie światła samochodowych reflektorów. Ogłupiałe, niezdolne raptem do skoku, wpadają słupkiem w krótką pasztetową śmierć. Nazajutrz był mróz, trochę śniegu i słońce.

Tuż przed świętami wróciła Alina. Nareszcie. Wysłuchała naszych opowieści i tylko mruknęła: „Urało było tuto”. Roześmieliśmy się wszyscy, ale ona była poważna. Rzadko używała tego ojcowskiego powiedzonka; mój teść tak mawiał, nie pamiętam już, w jakich okolicznościach. Zapytany, o co chodzi, uśmiechnął się tylko z miną „wiem - nie powiem”. Alina upierała się, że tata mówił tak zawsze, gdy się coś ważnego stało.

- Chyba gdzieś to usłyszał, może przez radio, ale dawno, jeszcze jak miał takie kryształkowe, ze słuchawkami. Albo sam to wymyślił, taką swoją odzywkę.

Chłopcy zaraz rzucili się do encyklopedii, sprawdzać, co to takiego radio kryształkowe, ale się nie dowiedzieli.

- Dla mnie bomba - powiedział ni w pięć, ni w dziewięć Łapa, nastawił swój tranzystor na Luxemburg i spokojnie słuchał ukochanych Beatlesów.

\*

Święta. Spokój. Rodzina poszła do babci, mamuśka z wizytą, Paraska w Tykocinie. Kohinor przycupnął na stole i patrzy. Na brzeżku moja zapalniczka i papierosy. Kocur patrzy, czeka, wyciąga łapkę i lekko strąca papierosy. Czeka, czy na podłodze coś się poruszy. Nic. Teraz strąca zapalniczkę, patrzy, czeka. Nic. Żadnego ruchu na błyszczącej, wywoskowanej posadzce. Więc łapka lekko uniesiona, łeb wyciągnięty, oczy wpijają się w przedmioty, uszy płasko, wszystko czeka na ruch. Nic i nic. Skacze, trąca łapką, czeka, nic. Już przeciąga się do przodu i do tyłu i hyc - na moje kolana. Chwilę udeptuje sobie miejsce, kładzie się i powoli zwija w kłębek. Uszy sterczą, czubek ogona drga. Raptem lewa łapka zsuwa się, zwisa, szyja przylega ciężko do mojej nogi. Długo tak? Ależ nie, starczy osiem minut snu: zeskakuje, wspina się i opiera przednimi łapkami o brzeg kubelka z wodą. Odwraca głowę w moją stronę, patrzy z wyrzutem. Potem spokojnie chłepcze. I co dalej?

- Chodź, dostaniesz mięska, teraz drogie, ale nikt nie widzi. A pasztet będzie dopiero w sylwestra, dla ciebie też. Basior jesteś, wiesz? I nie musisz być rozsądny.

Co do mnie, uspokoilem się i uznałem, że wszystko będzie po staremu, dopiero kiedy w styczniu dostałem przesyłkę, sporą pakę bursztynu: całkiem ładne okazy surowego jantaru. Znow mogłem zabrać się do roboty.



\*

To podwórko, tu śmietnik, tam dwie ławki pod ścianą okien oficyny i kapliczka Bozi z lampką i kwiatkami, wszędzie pełno skrzynek, słucham, jak niesie się między ścianami sku... i ku, sku... i job sku... i tak ganiają się dookoła aż do zabicia, on nie żyje, ona pobita, wstała i do telefonu na posterunek, już idą strażacy w hełmach i z drabinami, dobra by to była rzecz zabić zabitego, lekarz obadał, mówi na cały głos, a w oknach głowy i popiersia - to z wylewu, albo zawał. Ja już krzyczę, co widziałem, nikt nie słucha, ale każą iść zeznać na dół, to piwnica, schodki, korytarze, kuchnia, mam pomagać. Nic nie mówię, już się boję, stoję w gumowcach na mokrej podłodze, brudno, idzie kocmołuch i mówi do mnie, żeby pokroić. Małe toto, umkliwe jak rybka, ale robak, w dodatku z chwytkami, jak co? Rusza się, rośnie, pełno tego, błyska się, to węgorz elektryczny, jadalny. Kroić wzdłuż, w paski, śliskie, wije się przy soleniu jak żywe. Już pełna miska, teraz smażyć, tłuszcz pieni się i pryska, patelnie wielkie, bo to stołówka, teraz naktadać na talerze i windą na stół... Nic nikomu nie powiem, idę sobie, nie chcę jeść... „Świat beze mnie się spełnia, wolny i nieczuły...”

.....strzeżone przez tych, co nie zaznają starości”.

(usłyszane w TV 30.05.2002 r.)

- Co się dzieje, czemu Łapa tak ciągle podpada? - pytam mamuszkę, bo to ona z Aliną kazały mi iść do szkoły na zebranie rodziców. - Co ten szalapat znowu...

- Sprawa jest polityczna - wykreśliła się Alina - i dlatego ty pójdziesz. Ja byłam w sprawie okularów i wiesz, jak się namęczyłam. A mama nie może, bo im podpadła, gdy w dzienniczku Łapy napisała, że on musi żuć gumę ze względu na wadliwy zgryz, więc teraz kolej na ciebie. Nic ci się nie stanie, nie bój się.

Zły, cholernie zły, schowałem wszystkie cukierki i czekoladki, więc Łapa jęczał i marudził, jak zwykle gdy mu brakowało rodzynek w czekoladzie.

- Czy jest w domu jakaś słodycz? Wszystkie schowki obszukałem, jeszcze rano były krówki w samowarze, a teraz nigdzie nic, tylko cukier w cukiernicy i kawałek starej chałwy w lodówce. Co to ma być, obóz jakiś czy co? Dajcie choć trochę rodzynek, bo jak nie, to wszystkich pozabijam i wtedy zobaczycie, że...

- Cicho bądź! - warknąłem. - Słodycze są w mojej skrzyni i ani mi się waż, wiesz przecież... Zobaczymy wieczorem.

Polityczna sprawa w klasie mojego syna wzięła się z piosenki. Chłopcy wyśpiewali jej tekst bez żenady: „Słowa jak sztuczny miód/ Erzac, cholera, nie życie/ Miał być raj, miał być cud/ I ćwiartka na popicie”, a dziewczynki z Danusią, tą „od okularów”, na czele zupełnie inaczej: „Słowa słodkie jak miód/ I słodkie jest nasze życie”, a dalej już tylko lalalalalala. Dzieci darły się wniebogłosy, aż się pobiły, chłopcom przewodził Tomek Ulot. „To dobre, spokojne dziecko - referowała pani wychowawczyni - razem z Łukaszkiem Japalskim, z tym że to Tomek, taki delikatny i chuchro, ma dobry mocny głos i piątkę ze śpiewu, więc najgłośniej, natomiast Łukasz szarpał dziewczynki, a on jest najlepszym uczniem w klasie, choć ma on także wybryki nieraz... i to Łukasz złamał palec dziewczynce, Irencie Kukuł, tak że, proszę państwa...”. Siedziałem z niewinną miną i przysłuchiwałem się. Zapanowała wrzawa, jak to w szkole. Coraz ktoś z rodziców zabierał głos i wywodził swoje racje i interpretacje lub zwyczajnie lżył autora tekstu. Znałem trochę Osiecką i wiedziałem, co napisała, i że tej piosenki zakazano w radiu, ale nie będę tutaj dawał „świadczenia prawdziwe”, chociaż, kto wie, może w szkole warto? Rodzice rozprawiali tylko o tym, jakie to okropne, ta ćwiartka na popicie, żądali

powołania komisji, chcieli ustalić, co ta komisja wraz z trójką klasową ma robić. Przeszła mi chęć do zabrania głosu, patrzyłem na nauczycielki, jak miotają się z rodzicami wokół tej ćwiartki, i pomyślałem, że chyba będą walczyć z alkoholizmem. Zaraz też przypomniałem sobie koniak oraz inne małmazje i ambrozje, które Alina nosiła wraz z naręczami kwiecica i przeprosinami za popchnięcie Danusi Rozbrat i rozdeptanie jej okularów, za które - od Robaka oczywiście - musiałem zapłacić ja, i to słono. Cóż, dzieci kosztują.

Bodaj was diabli wzięli, i to raz na zawsze! - przeklinałem w duchu, lecz szybko włączyłem się w chór protestów w sprawie tej cholernej ćwiartki: rzeczywiście, kto to słyszał, podsuwać niewinnym dzieciom wódkę...

Wróciłem do domu rozweselony i dałem Łapie pięć paczek rodzynek w czekoladzie, aż się mamuśka zdenerwowała:

- Co ty robisz, dziecko się rozchoruje, on i tak chyba ma cukrzycę...

Dziecko! Chłopak dość duży i rozumny, zresztą ma swoje zdanie.

- Mogą mi naskoczyć, to siódma klasa, a ja od pierwszej mam piątki od góry do dołu. Trójka ze sprawowania dla Tomka i dla mnie? Bardzo dobrze, farciarz jestem. A oni niech się huśtają...

Swoją drogą ciekawe, kto tym pizdeczkom podsunął słowa o tym słodkim życiu? Fellini?

\*

„To wszystko jest składanie, które się złożyć nie może”.

T. Różewicz, Poemat otwarty II

Miała trzy lata, gdy po raz pierwszy stanęła w jego obronie - i to było z miłości. Pogryzła bliźniaków, rzuciła się

na Tobiego, złapała go za nos, zakręciła i dopiero wtedy zaczęła krzyczeć. Łapa, jeszcze roztrzęsiony doznana od brata zniewagą, patrzył na siostrę z przerażeniem - chyba zląkł się, że i jemu dołoży. A ona uczepiła się jego szyi i całowała po mokrych policzkach. Nie wiedziałem, co robić, Ewa powinna być skarcona za atak wściekłości, ale nie wiedziałem, ani jak, ani co się właściwie stało. Przyleciała Alina i stanęła jak głupia, tylko mamuśka wiedziała, o co chodzi i co robić - wzięła małą na ręce, postawiła na stole i powiedziała poważnie:

- Masz rację.

- Przytul - rozkazała Ewka i zaniósł się płaczem.

Wszystko jasne, winien był Tobi.

- Te, Himmler, przynieś coca - colę - powiedział do Łapy, który spokojnie strugał mu szałwik. Łapa zerwał się i rzucił z nożem na brata, Marek złapał go za rękę i zaczęli się szamotać, a wtedy na Tobiego napadła Ewa.

Było o co. Mieliśmy nie mówić o szkolnej aferze Łapy, niechlubnej zabawie z kolegami. Ale Tobi znalazł pisemne zeznanie braciszka i w ten sposób dowiedział się więcej, niż mu powiedzieliśmy. Chłopcy zawsze trochę się znęcali nad najmłodszym, za nic mając jego upodobania muzyczne, zbieranie pocztówek, odsłuchiwanie słów piosenek z taśmy i inne zalety. Więc Tobi nie mógł się powstrzymać od kpin z tego, co Łapa uczciwie opisał tak: „Zacząło się od tego, że Gromadzkiego ktoś nazwał Hitlerem. Potem przybyły inne osobistości, tylko że nie po nazwiskach, ale w stopniach wojskowych, bo jeden chłopak, chyba Krupa, przyniósł do szkoły tabele ze stopniami niemieckimi. Był więc leutnant, oberleutnant, obersturmfuhrer, oberkommandierende i różne takie (piszę, jak się słyszy). I wszystko byłoby dobrze, gdyby nasz nowy „Hitler" (wcześniej był jeden, ale przeniósł się do innej szkoły) zniósł ze stoicyzmem swoje przezwisko. Jemu

się to jednak nie uśmiechało, jak tylko usłyszał Hitler, rzucał się na tego, kto to powiedział, i go łąił. Mnie się go żal zrobiło i zacząłem mu dzielnie pomagać bić i przez żarty honorować. Salutowałem 5 palcami, mówiłem Heil Hitler, Mein Fuhrer i zdawałem mu iście hitlerowskie sprawozdania i meldunki, jak na przykład: dwudziestu rozstrzelano, dziesięciu powieszono, czterech na torturach, wioska spalona i tak dalej. Na koniec nazwano mnie Himmlerem i od tego czasu klasa rozłamała się na dwa obozy. W naszym, hitlerowskim, było więcej chłopaków słabych, ale zwinnych i zręczniejszych do walki na przewracanki, a u tamtych się znalazło więcej silnych, ale głupich i niezręcznych. Nasz obóz liczył 10 (w tym Hitler, który już się przyzwyczył do swojego przydomka, no i ja), a potem było nas więcej, bo braliśmy górę. Mieliśmy nawet Globkego, ten to walił ręką jak kłonicą. Rasę nam sprawdził sam Fuhrer - na dużej przerwie zamknęliśmy się w łazience i wszyscy spuściliśmy spodnie, a Hitler salutował. Ten, co był Globkem, miał brata bliźniaka, który od samego początku poszedł do obozu polskiego, i oni dwaj bili się najwięcej. Z tego bicia i przewracanek byliśmy sławni i każdy się nas bał. Ale potem stało się nieszczęście, bo do klasy przyszedł druh i Hitler zapisał się do harcerstwa. Taki był koniec IV Rzeszy".

Pewnie to wszystko przeleciało mi przez głowę, gdy złapałem Tobiego oburącz za koszulę pod brodą, ściągnąłem mocno i pchając do góry, zadarłem mocno głowę. Już miałem go cisnąć na ścianę, kiedy gniew i nienawiść nagle znikły.

- Widzisz?! - wrzasnąłem tylko. - Widzisz, co zrobiłem? Ja bym cię... - nie skończyłem, bo Tobi roześmiał się całą gębą.

- Tata, coś ty! - i już obejmował mnie miękko. Był wyższy i cięższy, zupełnie o tym nie pomyślałem, a najgorsze, że naprawdę chciałem go zabić. Chłopak patrzył na mnie wyczekująco i błagalnie, więc też się roześmiałem, trochę

jakby łkając. Już dobrze, już Ewa nie płacze, wpatruje się ciekawie w nas wszystkich... Cicho, sza... Tylko Alina mruknęła z przekąsem:

- Wszystko przez tę „Stawkę większą niż życie”.

W szkole ciało pedagogiczne było w całości zainteresowane wyciszeniem sprawy „nielegalnej organizacji uczniów”. Łapa na pytanie dyrektorki:

- Co twój ojciec na to? - odpowiedział spokojnie:

- Nico - więc tylko westchnęła i kazała mu wyjść, dodając kąśliwie:

- Dobrze, żeś ostatni z Japalskich. A on grzecznie:

- Mam jeszcze siostrę - co było pogróżką i tylko on wiedział, jak straszną; przecież dziewczynki są takie słodkie.

\*

Kończyłem opowiadać sen o trzęsieniu śliwek z wysokich jabłoni, a ona jak zwykle wytrzeszczała w zdumieniu te swoje zielone oczy.

- Fruwałeś z drzewa na drzewo? - spytała, gdy wtem zadzwonił dzwonek. Już wiedziałem, matka też.

Pobiegłem otwierać drzwi Parasce, która odwiedzała nas, kiedy tylko mogła. Najczęściej były to krótkie wizyty z prezentami dla Ewy. Dziewczyna bez trudu przestrzegała umowy: matką jest Alina, dziecko ma swój dom tutaj. Bardzo zajęta w zespole, ciągle w podróży, zapewne mało kiedy myślała o córce, albo i wcale. Nie brakowało jej adoratorów, a i u nas w domu Mat i Marek, spoufaleńcy dawną zażyłością, zalecali się do niej zawzięcie.

- Zarazy na was nie ma! - urągała Paraska, opędzając się przed bliźniakami, którzy sprytnie ustawiali ją sobie do szkicowania. Widziałem, jak się dąsa, zachwycona; rozumiałem, że chłopcy wolą rysować dziewczynę niż konary uschłego drzewa. Trochę się tarmosili, oni sięgali do jej piersi, ona ich mocno kuksała. Wcale mi nie było do śmiechu;

czułem się wyłączone z tych młodzieńczych zabaw. Także mamuśka krzywiła się na „lekcje rysunku” - nie wychodziła z salonu, przytrzymywała Ewę przy sobie i co i raz żądała czegoś od Paraski. Dziewczyna kręciła się po domu, pokazywała, jak umie tańczyć i śpiewać, czasami obcałowywała małą i szybko kończyła to swoje „matkowanie” wtykaniem lalek Barbie, których Ewka nie cierpiała. Jej rodzicielka przywiozła prezent i nam: duży kolorowy telewizor, który od razu się zepsuł, bo był zrobiony do zasilania prądem o niższym napięciu. Długo szukałem majstra, a on sposobu na amerykańską technikę. Ale Ewa wołała czarno - białe obrazki. Lubiła kino i dość wcześnie zaczęła tam chodzić samodzielnie. Wybierała filmy dla dorosłych i nie chciała powiedzieć dlaczego.

- Ot, tak sobie - wykręcała się babce, kiedy ta dopytywała, jak się dostaje do sali kinowej. Dużo później dowiedziałem się, że dawała spore łapówki, a jeszcze później powiedziała:

- Wolałam tamte, bo dla dzieci za bardzo się starają i wcale im nie wychodzi, a dla dorosłych jakoś to idzie. Łapówki dawałam, tak; nie było lepszego sposobu, a zresztą nauczyłam się od was. Może nie?

\*

Udało mi się wreszcie wrócić na swoje miejsce. To znaczy do łóżka Aliny. Że też wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby się rozchorować! A tu proszę, zaraz mnie zapakowała w pościel i wezwała lekarza. Nic mi nie było, miałem stłuczkę, poszedł tylko prawy błotnik, ale trochę mną trzepnęło, stąd wysoka gorączka i bezwład nóg.

- Szok powypadkowy - powiedział lekarz. - Niech ktoś przy chorym pobędzie, dostał zastrzyk. Nie, wcale do szpitala nie trzeba, niech się tylko nie rusza. Przyjdę jutro rano, wtedy zobaczymy, co dalej, może zaczniemy chodzić.

Nie wiem, jak to się stało, ja nie wyprzedzałem, to akurat pamiętam dość dobrze, chyba ten facet z poloneza chciał zmienić pas i przyspieszył, na jezdni było luźno i sucho; wymieniliśmy z gościem wizytówki, no i więcej nie pamiętam. Podobno podjechałem pod dom i nie wychodziłem z auta. Alina z bliźniakami jakoś mnie wyciągnęli i zataszczyli do kuchni, gdzie spadłem z krzesła. Ocknąłem się na dywanie w sypialni i znowu straciłem przytomność. Dopiero łóżko, lekarz i płacząca mamuśka całkiem mnie rozbudzili. Dobra jest, później pomyślę, kiedy mam się ruszyć z satynowej pościeli mojej żony. Wcale nie czułem się źle, chociaż jeść nie mogłem, tylko piłem i sikałem. Nie cierpię coca - coli, wolę zwykłą wodę sodową z winem, ale lekarz wina zabronił, a matka stała na straży. W ogóle się rozpanoszyła, opanowała cały dom i stanęła nade mną z talerzem.

- Jedz, to krupniczek, przecierany, nie będzie ci kasza w zęby wlażyła. No już, jeszcze jedną łyżkę. Od razu się lepiej poczujesz, przecież nie jadłeś obiadu. Jutro zrobię zupę grzybową z groszkiem ptysiowym, czystą, tak jak lubisz, i pulpety z cielęciny. No jedz, musisz się wzmocnić, bo jeszcze nie wiadomo...

Daruj, Wszechmocny Boże, daruj, że tak jej nienawidzę. I że się nie bronię, czy to ze słabości, czy z głupiej próżności. Ona mnie kocha, a ja jej dokuczam:

- Przynieś mi książkę w zielonej okładce, chcę doczytać rozdział o psychologii stanów terminalnych, i zabierz ten oleander daleko, na taras. Coś te kwiaty śmierdzą, nie czujesz?

Książkę niosła ze zgrozą w oczach, jak słoik z cyjankiem potasu, oleander za zgodą Aliny - jej duma! - wyjechał z sypialni, za to chłopcy przytaskali telewizor, a mamuśka rozpyliła w pokoju swoją bardzo drogą lawendę i na wszelki wypadek ugotowała rosół z kury (żydowski sposób na wszystko!) i kazała mi popijać na przemian z sokiem



pomarańczowym, który kupiła w Peweksie. Następnego dnia nogi miałem jeszcze drętwę, a już nocą przytuliłem się do Aliny. Całkiem dobra ta moja żona. Postanowiłem kupić jej tę nową kanapę, co się nazywa Togo i kosztuje majątek. A niech tam, jak przeprosiny, to z klasą.

Leżałem jeszcze kilka dni, trochę oglądałem telewizję - w kolorze! - chociaż nie bardzo było co, i słuchałem, jak Marek z Matem w salonie śpiewają: „W telewizji czterej znawcy od nawozów i od świata/ orzekają, co się zdarzy w Gwatemali za trzy lata/ Masy pracujące tracą, gdy realna płaca spadnie/ Gwatemala nie dostrzega, że elita władzy kradnie/ Stał się leje, moc truchleje, na kombajnie chłop się szkoli/ Na dodatek wygrać może końcówkę od banderoli/ Usia siusia peerliada...” i coś tam było dalej śmiesznego, bo chłopcy co chwila zarykiwali się z radości. Podobało mi się, chętnie bym się dowiedział, co to jest, ale nie chciało mi się pytać, wołałem oglądać zachodnie magazyny i komiksy Schultza, które polecał Antoni, a przyniosła ciotka Janka. (Przez całą wizytę mówiła o swoich i jego chorobach, tak że zapomniałem, kto właściwie jest chory). Czytałem w „Marie Claire” przepisy kulinarne, co trochę zaostrzało apetyt na mamuśkowe rosółki. Bawiłem się wymyślaniem nowych sposobów przyrządzania różnych potraw i zażądałem sosu szpinakowego do lasagne. Dostałem, a jakże, mamuśka była szczęśliwa, że czegoś od niej chcę. Wykoncypowałem przepis na gulasz, dużo myślałem o Parasce, jak wesoło mi się z nią gotowało i jak smacznie! Moja dziewczyna.

Już chodziłem po domu, ale jeszcze miałem zawroty głowy. Lekarz powiedział, że to nic, bo nie mam mdłości i nie wymiotuję, więc to z pewnością nie jest wstrząs mózgu, ale matka z Aliną uparły się, żeby zrobić EEG. Załatwiły, zawiozły, wszystko w porządku, ale już mogłem zostać w łóżku Aliny, o kanapie nie było mowy. Przyzwyczajony

sypiać na kocu i pod kocem, wierciłem się przed zaśnięciem w atłasowej gładkości żoninej pościeli. Ściągałem piżamę i nagi zasypiałem, wyobrażając sobie, że jestem pod lekuchną pierzynką Paraski. Za dnia rzadko o niej myślałem, uciekałem przed okiem mamuśki, która słusznie mi nie dowierzała. Cichcem robiłem dla Paraski skromny pierścionek: malutki brylancik w białym złocie dam jej, kiedy przyjedzie.

Było już dość ciepło, więc zabrałem się do urządzania sadzawki w ogrodzie. Nie była to duża robota, bo mnóstwo rzeczy zrobiłem z bliźniakami jesienią. Czarna bazaltowa kostka odkupiona od stróża na niedalekiej ulicy, remontowanej nie wiadomo po co, to było siedemnaście wspaniałych kamieni. Więcej nie dało się ukraść, chyba za mało dałem w łapę; ułożone blisko małej fontanny wyglądały doskonale. Swoją drogą ciekawe, kto zgarnął te przyzmy bazaltu, znikły raz dwa, a to musiał być duży transport. Chyba do jakiejś rezydencji.

\*

- „Głupstwo, za trzysta lat przejdzie!” - wrzasnęli chórem bliźniacy. Matka przyjrzała im się uważnie.

- Znowu grzebiecie w moich papierach - zaczęła groźnie, a oni:

- Coś ty, my tylko trochę, tylko to, co było wykreślone. - I już Marek obcałowywał ręce babki.

- Dasz poczytać?

- Nie dam, już dawno mogliście, przecież przywiozłam z Paryża pierwsze wydanie... - a oni swoje:

- Coś ty, babcia, kto by czytał po rosyjsku? Nam się należy po polsku, normalnie! Po cholere ta cenzura, dla paru zabawnych scen? - śmieli się radośnie. Mamuśka, wcale nieprzekonana, pozbierała kartki maszynopisu i ruszyła do swojego pokoju. Zanim zamknęła drzwi, powiedziała poważnie:

- Ja teraz tylko sprawdzam tłumaczenie. Wcale nie chodzi o dowcipy. Niech student śledzi, jak mu język bredzi.

Roześmieli się, rozgrzeszeni. Lubili przekomarzać się z babką, lubili, kiedy wypominała im studencki status i podziwiała ich rysunki. Obaj byli na architekturze, obaj myśleli o konserwacji zabytków, świetnie rysowali, kochali rocka, zapijali się coca - colą z winiakiem i obaj - jak na komendę - twierdzili, że czeka nas „pierdolona przyszłość”, chyba że... Ale że co - nie wiedzieli.

Za poległych w grudniu dostaliśmy coca - colę i kapitana Czechowicza. Aha, jeszcze kurczaki, których Gomułka nie cierpiał, bo latały samolotami, a Gierek uznał, że to mięso, i tyle. Tanio im wyszło. No, jeszcze małe otwarcie na Zachód, paszporty i 150 dolarów na twarz za śmiesznie niską cenę. Anka pojechała spotkać się z Japą, pani Loda z córką ruszyły do Szwecji na zarobek, Mat i Marek wybrali się do Włoch autostopem; trochę luzu i ludzie jakby poweseleli.

Mamuśka zaraz na początku przyniosła z bardzo dobrego źródła wiadomość, że partia nie dopuści do żadnych rozliczeń za marzec '68, co było zresztą do przewidzenia. Od pani Lusi dowiedziałem się, że władze dają zielone światło dla rzemiosła. Wszystko się sprawdzało, więc Alina kupiła kawałek ziemi i zaczęła uprawę ziół na własną rękę. Miała plany - namawiała Łapę na biologię, obrzydzała mu matematykę i fizykę. Byłbym wolał, żeby tego nie robiła, ale mnie nie słuchała.

- Zioła są lepsze, zobaczysz - dowodziła po swojemu, uparcie. - Łukasz pójdzie na SGGW, astronomia nic mu nie da.

\*

Już uśmieśliśmy się przy wierszykach, już było „płacze Julek, żal niebodze, a paluszki na podłodze”, kiedy zażądała:

- A teraz Fizia! - więc czytałem. Byłem pewien, że jest zasłuchana w opowieść o słynnej ucieczce przed opieką dorosłych i jak Fizia wystrzeliła w stronę „tego czegoś”, gdy wtem Ewa zapytała:

- I dmuchnęła?

- Co dmuchnęła? - zdziwiłem się.

- No w lufę, jak Behemot, nie pamiętasz? - odpowiedziała poważnie. Zacukałem się i aż podskoczyłem.

Matko Boska, ma zaledwie sześć lat, lubi słuchać bajeczek czytanych przez tatę, a sama czyta Bułhakowa... niech mnie dunder świśnie! Wiedziałem, że od dawna umie czytać, ale nie zwracałem na to uwagi; w naszej rodzinie to nic dziwnego, wszyscy chłopcy nauczyli się nie wiadomo kiedy, więc i ona musiała. Ale teraz czegoś nie zauważyłem, coś zlekceważyłem - to przekręcanie słów Kłapouchego, mieszanie przygód Piotrusia Pana i Kubusia Puchatka z losami Piętaszka, Fizi, Hioba, ekipy Wolanda i Lassie? To nie jest zabawne, kiedy mała dziewczynka mówi, że „warto walczyć o wolność”, lub broni tępionego w ogrodzie „ślimactwa”. Nasi chłopcy też miewali odzywki w rodzaju „na razie kasza”, „marność nad marnościami” i „uśmiech kota”, ale wtedy jakoś nie budziło to mojego niepokoju. Teraz moje rodzicielskie doświadczenie wydało mi się przymałe. „Mistrz i Małgorzata”? - w porządku; a co, jeżeli czyta „Paragraf 22”? Niemożliwe, uspokajałem się, Tobi nie wypuszcza tej książki z ręki...

Późnym wieczorem porozmawiałem jednak z mamusią. Alina milczała. Nie zgadzała się na wyjazd małej z babcią do cioci Feli, miała nam za złe żarciki, że Ewka od dawna powinna była chodzić do chederowej szkółki. Powiedziała swoje i widać było, że najbardziej jej zależy na tym, by dziecko należało do niej. Rzeczywiście, trochę sobie z mamusią Ewą wyrywały. Nie chciałem kłótni z Aliną, więc się nie upierałem, sprzeciwiłem się jednak posłaniu córki do

szkoły już teraz. To zaś oznaczało zgodę na projekt mamuśki: pojedą do Paryża, po powrocie Ewa pójdzie normalnie do szkoły, najwyżej przeskoczy później jedną klasę. Alina zgodziła się, bo jeśli zdecydujemy, że szkoła natychmiast, to nie obejdzie się bez badań psychologicznych, testów, egzaminów - to nie dla nas. Kiedyś odmówiliśmy profesor Spionek zbadania leworęczności Japy, a potem nie zgodziliśmy się na udział bliźniaków w jakimś programie badawczym. Co tam nauka, dla nas ważne było, żeby Japa się nie jękał, więc przenieśliśmy go do innej szkoły, a identyczność Marka i Mateusza uznaliśmy za coś całkiem zwyczajnego, dla nas różnili się wystarczająco. Oni sami śmieli się:

- Ale zrosłakami nie jesteśmy!

\*

Nie cierpię kredytów. Pożyczka u rodziny czy przyjaciela, bezprocentowo, na krótko, tak, ale kredyt - za Chiny!, jak mówi Tobi. To Alina ciągle coś kupuje na kredyt ORS, bierze pożyczki w kasie związkowej, pożyczka walutę u pana Aleksandra P. (ja u niego kupuję tylko złoto, drogo liczy, pewnie odbija sobie na mojej żonie) i jeszcze mówi, że to się opłaca, bo ma diety i jak wyjeżdża, to coś tam zahandluje na boku. I kutwi pieniądze w banku francuskim, chyba przy pomocy Feli i mamuśki, tyle że się do tego nie przyznają.

Chyba jednak dopożyczę teraz trochę dolarów, bo sofę Togo firmy Ligne Roset okrutnie drogie, a moja żona - odzyskana! - chce mieć dwie. Olaboga! - ale niech ma, warta jest tego. Mam nadzieję, że pan Aleksander weźmie zwykłe pięć procent od tysiąca i jakoś dam radę. Zadzwonię do niego wieczorem i się umówię.

\*

- Alka prim proszę... i proszki od bólu głowy, z krzyżykiem - usłyszałem schrypnięty głos. Olga! Na pewno

ona, zaraz usiądzie przy stoliku z karafką i łyknie tabletkę, poczeka chwilę, zdążyć kupić sectral dla matki.

Siedziała, nerwowo przeglądając gazetę.

- Hej - powiedziałem cicho. - Jak się masz, głowa? No to po co czytasz? - zapytałem, widząc, jak ręką przyciska powieki. Z cichym jękiem odpowiedziała:

- Cześć. Mam się, jak widzisz. Usiądź. Przysiadłem obok i zamilkłem. Ludzie z kolejki patrzyli na nas, obojętnie zdziwieni. Zezłościłem się; niby po co ustawiają w aptekach krzeselka, ławeczki i stoliki z karafką wody i szklankami? Przecież nikt tu nie wpada z krzykiem - „pomocy!” - nikt nie osuwa się na ławkę, nikt też nie zażywa leku na miejscu, zaraz po kupieniu. Ta woda musi być zatechła, zawsze tak stoi i czeka na niepotrzebującego.

- Jak ci? - spytałem, ona skinęła głową, a ja głośno:

- Zdrowi ludzie przychodzą po lekarstwa, prawda?

Próbowała się uśmiechnąć, przyglądałem jej się uważnie; ona jedna używała apteki w taki zadziwiający sposób, jako apteki właśnie. Poczekałem jeszcze trochę, znów zachwycony jej pięknymi popielatymi włosami, jak zawsze związanymi w koński ogon, rozsypujący się na jednym ramieniu. Wiedziałem, jak pachną.

- Już dobrze, chodźmy - powiedziała czystym głosem. - Chyba się nie spieszysz?

Zabrałem ją do knajpy na obiad. Jadła niechętnie, opowiadała powściągliwie. Ciągle taka sama, tyle że mniej radosna. Nie zmyślała już historyjek o ptaszkach rozmawiających z roślinkami, przejmowała się codziennością, przenikliwie i niebanalnie. Wiedziałem, że bardzo dużo pracuje, bo Edek, nasz kolega, za którego wyszła, ma na utrzymaniu matkę i ojca, inwalidów z Powstania, płaci też alimenty na syna z pierwszego małżeństwa. Sami bezdziećni, dawaliby sobie radę, gdyby nie jej nadwrażliwość, tłumiona

alkoholem. Lubiłem oboje, Olgę zwłaszcza, bo ciągle wydawała mi się niezwykła. Zazdrościłem jej niezależności myślenia, gotowości wzgardzenia rzeczami, za którymi uganiał się prawie wszyscy. Teraz dowodziła, że wkrótce wszystko się zawali, więc nie warto nic robić. Ale nie zgorszyła się moim nowym samochodem, nie miała za złe, że zbudowałem dom, nie wyśmiewała mojej pasji sadzenia drzew. Była tak samo mądrze rozumiejąca jak wtedy, gdy ją zostawiłem dla Aliny, a ona spokojnie skończyła studia i poszła do pracy. Zawsze gotowa podsunąć mi ramię, kiedy przychodziłem wypłakać złość na matkę.

- Ty to masz dobrze - mawiała zwykle. - Popatrz, nie musisz pędzić do pracy na godzinę, tłumaczyć spóźnień, chorób, kaców, urlopów, zaległości, wykonywania planów. Nie masz na głowie związków zawodowych i podstawowej organizacji partyjnej, no nie? Ja to co innego, jestem niewolnikiem systemu, nie, nie niewolnicą, właśnie niewolnikiem, dlatego się buntuję. A ty co? Dobrze ci idzie, wciąż masz tyle pomysłów i frajdę z pracy. Sam wiesz, że twoja matka jest mimo wszystko bardzo interesującą kobietą. A że dała mi teraz do czytania Jerofiejewa, no cóż...

Dużo wcześniej moi synowie chodzili do Olgi na lekcje angielskiego, wszyscy po kolei. Mamuśka nie przepadała za nią, ale ceniła jako nauczycielkę.

- Marnuje się tutaj - zrzędziła. - Lepiej wyjechałaby gdzieś, gdzie angielski jest bardziej ceniony, choćby do Związku. Ale ona woli siedzieć na posadzie i mieć wszystko wszystkim za złe.

Jedliśmy pieczoną kaczkę, całkiem dobrą jak na Szanghaj. Dużo gadałem, opowiedziałem jej, co się dało: o moich dzieciach, że Anka, jak pojechała do Japy, to wróciła w ciąży i zaraz pojechała znowu, bo mieli się żenić; że Alina wzięła się

za produkcję ziół i pewnie przestanie pracować na państwowym. Olga uśmiechnęła się do mnie po dawnemu.

- To ty już jesteś dziadkiem, tak?

- No, niby tak - mruknąłem z niechęcią, ale ten jej uśmiech był taki śliczny, że zapragnąłem coś dla niej zrobić. Muszę ją trochę rozruszać, postanowiłem.

- Pisziesz... coś? - zapytała znienacka.

- Nie, wcale - wyparłem się bez wahania.

\*

World must go on.

F. Mercury

Przypomniałem sobie list Paraski, ciągle na bakier z ortografią: „a ftedy ja by przyjechała i fcale nie chcem nocować, bo pójdziem do hotelu...”, donosiła, podając datę - sierpień 1975 - żeby jej ten hotel zarezerwować. Ucieszyłem się „ftedy”, że przyjeżdża, pośmieliśmy się trochę z tego jej pisania, ale wiadomość o narzeczonym polonusie przyjęliśmy poważnie. Alina, bardzo zadowolona z planów Paraski, powiedziała:

- Dobrze, że idzie za męża, dość się natańczyła, naśpiewała, nazarabiała, rodzinie pomogła. I dobrze, że będzie daleko. Chodzi mi o Ewę - dodała. Też byłem zadowolony, ale jakoś żałośnie. Paraska w końcu przyjechała sama i tylko trochę była zdziwiona nieobecnością Ewy. Zajęta szykowaniem się do ślubu miała mało czasu. Opowiadała o narzeczonym, o jego matce i babce, które się uparły na żonę z Polski dla jedynaka. Jeden jedyny raz wspomniała, żeby może Ewunię - „bo śliczna” - posłać do szkoły baletowej. Alina tylko się uśmiechnęła; pobięgały po sklepach, zajęte kupowaniem prezentów dla rodziny narzeczonego, Paraska pojechała do Tykocina po metrykę, pobięgała na spotkanie z koleżankami z Mazowsza, więc nie było czasu na poważne



rozmowy. Ostatnią noc przed wyjazdem dziewczyna znowu spała u nas, na kanapie w salonie. Już nie śpiewała, obiecywała, że przyśle zaproszenie do Stanów dla Tobiego i bliźniaków. Odwiozłem ją na lotnisko i przy pożegnaniu dałem pierścionek, który dla niej zrobiłem. Zaczerwieniła się i powiedziała, że to będzie jej obrączka. To było rok temu, mamuśka z Ewą wybierały się do Feli, bliźniacy szykowali się do pracy dyplomowej, Tobi ruszył autostopem w świat, Łapa pod namiot nad morze. - ...tylko żebyś nie myślał, że mi nie zależy - usłyszałem głos Tobiego, który mówił do Łapy:

- Dam ci moją studencką legitymację, ale jej nie wyciągaj, chyba że w ostateczności, rozumiesz? Chodzi o to, żeby tam wszedł małolat, no wiesz, uczeń, ja i Tomek jesteśmy za starzy. Wejdiesz zwyczajnie, Borsuk tam będzie, machnij do niego. Z drugiej strony wejdzie dziewczyna, też z liceum. A ty po prostu położysz tam tego śmierdziucha i w nogi, ale nie biegiem, zwyczajnie. Jakbyś wychodził z boiska, po meczu..., no, chyba rozumiesz...

Wieczorem Łapa wyciągnął mnie do ogrodu i powiedział, czego chciał od niego Tobi. Łatwo wybiłem mu to z głowy - chodzić na partyjny wiec „przeciwko warchołom” i rozrzucić jakieś chemikalia? Nie, to zupełnie bez sensu. Zakląłem się Łapie na wszystkie świętości, że ten wiec jest wyłącznie za zaproszeniami, nie ma co liczyć na bałagan, obstawa milicji i безпеki będzie bardzo mocna, żadnych szans na zasmrodzenie tego Parteitagu nie ma. Przyrzekłem mu, że o pomysły Tobiego nie powiem nic nikomu. Potem zbudziłem Tobiego i do świtu wyjaśniałem jełopowi, o co chodzi. Nie wściekałem się, rozumiałem jego porywy, o mało się nie popłakałem, kiedy powiedział: „To trzeba liczyć tylko na sąd ostateczny?” - ale byłem twardy.

- Masz dobre studia - tłumaczyłem. - Urządzę cię, z tej ludzkiej próchnicy w zębach wygrzebiesz niezłą forszę. Teraz

w obronie strajkujących nikt palcem nie ruszy, to pewne. Ludzie wolą stać w kolejkach, byle tylko było mięso...

Czułem do siebie obrzydzenie. Napilem się koniaku, serce załomotało i zaraz się uspokoiło. Ale syf. Poszedłem do ogrodu i przy wschodzącym słońcu podlałem rośliny. Sto konewek wody, pół godziny lania szlauchem. Myślałem o tym, że w powieści to bym wsiadł do samochodu i gnał pustą szosą przed siebie. Do dupy z tą literaturą, jak by powiedziała Astrid Lindgren.

\*

„Przypadek synów ludzkich i przypadek bydła jest przypadek jednaki”.

Eklezjastes, III, 19

Nagle Łapa spytał:

- Po co jest człowiek? - siedział przy stole, czekał na śniadanie, głowę oparł na obu dłoniach, ręce podkreślały szczupłość twarzy, oczy wlepione w okno, puste, odbijające pomniejszone szybki. Zląkłem się. Gotowałem lane kluski na mleku, on ruszył się i stanął obok kuchenki; lubił patrzeć, jak płyn sunie do góry białą pianą, która zapada się pod ciężarem gęstego żółtego ciasta. Już śmiał się wesoło, już zapomniał o swoim pytaniu. Odetchnąłem z ulgą nad niebieską miseczką mlecznej zupy. On się nie spieszył, trochę siorbał - mówił, że tak mu lepiej smakuje. Cieszyłem się, że nie muszę odpowiadać na jego pytanie, przynajmniej nie teraz, nie tego ranka po bezsennej nocy. On jednak czekał i choć wiedziałem, że nie będzie nalegał, było mi głupio; przecierałem oczy, tarłem dwudniowy zarost, chrząkałem, nawet wysiakałem nos, choć nie było z czego. Muszę pomyśleć, przespać się z tym, postanowiłem i - zanim wziąłem się do mycia garnków - ziewnąłem dość szeroko. Mój najmłodszy wiercił dziurę w cukierniczce; wiedział, że tego nie lubię, więc w ten sposób

mnie przynaglał. Nie zwróciłem mu uwagi, bo zwykle się naśmiewał: „Co, sreberko się ściera, cukier na kartki, co?”. - Musisz poczekać, synku, zdecydowałem, zbiorę trochę sił, to ci powiem, powiem to samo, co Japie, bliźniakom i Tobiemu, a co wiem od starego antwerpskiego szlifierza diamentów i umysłów: Człowiek jest po to, żeby cieszyć się, że myśli, czuje, mówi, śpiewa, tańczy, pracuje, że widzi świat i ludzi, kocha, lubi, nienawidzi, szuka, poznaje siebie i Boga, no i po to, żeby umrzeć. Twoim braciom wystarczyła taka odpowiedź, musi i tobie. Chcesz sięgać gwiazd - pomogę, bo to się może udać, i będziesz miał swoją życiową frajdę, najwłaśniejszą, rozumiesz? Nie jesteśmy nieśmiertelni, tracimy życie na byle co, musisz nauczyć się szanować siebie i życie. Koniec kazania na dole, to „na górze” znasz.

Teraz jest teraz; Łapa wyszedł do ogrodu i rozpiął hamak, ja za nim z leżakiem i jaśkiem.

- Spróbuję pospać - oznajmiłem sucho. - Potem porozmawiamy, dobrze?

Nie jest źle, myślałem, jeszcze nie jest źle. Kiedyś może coś łupnie naprawdę i wszystko się zawali. Łapa prowadził na ten temat listowne dyskusje z Japą i próbował coś wymyślić, żeby oswoić świat - tak to nazywał. Ledwie siedemnastoletni chciał dorównać starszemu bratu. Zdobył skądś „Szok przyszłości” Tofflera, naczytał się rozpraw popularnonaukowych i rozważał konieczność zmian, w których chciał uczestniczyć. Trochę mędrkował, ale Japa całkiem poważnie odpowiadał na jego pytania i podsuwał problemy. Był już po studiach i stypendium Fulbrighta, pracował w informatyce i uważał, że wszystko zależy od rozwoju komputeryzacji. Do mnie napisał, żebym postarał się wysłać Łapę na naukę za granicę w ramach United World Colleges, i podał namiary potrzebne do uzyskania stypendium. Nawet zacząłem coś załatwiać, spotkałem się z profesorem

Czartoryskim, gdy Alina zaprotestowała. Nie chciała puścić Łapy od siebie.

- Może potem, może na studia, teraz nie. Wystarczy, że Ewę babcia ciągle zabiera do Francji. Chcę mieć rodzinę tutaj, a nie po całym świecie, przecież Japa... rozumiesz?

Rozumiałem. Łapa ma być badylarzem.

\*

Nie rozglądałem się za kobietami, ale panią Lusię jednak zauważyłem. Właśnie owdowiała i zaczęła bardziej dbać o siebie. Nosiła się na czarno, co ją odmładzało. Kiedyś zastanawiałem się, kogo mi przypomina, teraz już wiedziałem: w ciemnym stroju podobna była do Titi. Niewysoka, pięknie zbudowana, małe zwinne dłonie, małe stopy z nieskazitelnie uformowanymi nogami. Księgowa, chociaż skończyła romanistykę, a mąż, sporo od niej starszy, był przedwojennym oficerem, ojciec zginął w Katyniu. Dobrze rozumiałem jej sytuację - taka posada jak u mnie i druga podobna dawały poczucie bezpieczeństwa i niezły zarobek. Podobała się mężczyznom bardzo; kiedy czasami pomagała przy sprzedaży i ładnie prezentowała obrączki i pierścionki na gładkich palcach, panowie chętniej płacili. Miała duże niebieskofiołkowe oczy i o ich kolorze powiedziała raz do mnie: „pervenche - po polsku barwinek, prawda?”. Był w tym cień zalotności, ale żadnego krygowania, zupełnie jak Titi. W pracy rzeczowa i niezwykle biegła w tych strasznych tajemnicach podwójnej księgowości i drobnych szachrajstwach. Dzięki niej unikałem różnych pułapek, w jakie popadał każdy prowadzący „usługi dla ludności”. Często, może zbyt często zostawiałem na jej głowie rozliczenia opłat i podatków, a ona zdawała się nie zauważać nadmiaru pracy. Cóż, mogłem dobrze zapłacić.

Jakoś dowiedziałem się, że nie ma zamiaru wychodzić za mąż, i od razu namówiłem, żeby pracowała tylko dla mnie.

Zgodziła się bez namysłu, zaprosiła do siebie. Była dość wygłodniała, troszeczkę przejrzała i bardzo, bardzo dobra. Używała Chanel 5. Postanowiłem podwoić jej pensję, naprawdę była tego warta.

Ledwie wybraliśmy się do kina, natknąłem się na mamuszkę. Była z panem C.; popatrzyła na mnie ze zgrozą i już wiedziałem, że będzie się znowu czepiać, założy pętlę na szyję i nic nie powie Alinie.

- Gratuluję, chłopcze, gratuluję - zagulgotał flegmiście pan C. i już całował rączki pani Lusi.

- Świetny film - odpowiedziałem uprzejmie.

\*

„...gdzie ziemia korzonki  
osobliwie wydaje na leki  
i trutki...”

„...jakby z przyjaciółmi  
obeszli się z naszymi,  
częstują ich ziółmi...”

Homer, Odyseja, księgi IV i IX

- Że co?! - ryknąłem.

- Nic takiego, Maćka przyłapali, jak odkręcał blaszki od samochodów, Łapę zatrzymali, bo miał trawę w kieszeniach - odpowiedziała spokojnie. - Zaraz tam lecę, Idalka już poszła, tylko się nie martw, nic się nie stało, ja zaraz...

- Siadaj! - warknąłem, aż Alinie podskoczył termos w rękę. - I mów, gdzie, kiedy, co, kto, jak, rozumiesz? I nie kręć, i tak się dowiem, lepiej od razu mów prawdę!

- No wiesz, tak dokładnie to ja nie wiem, bo mnie w domu nie było - wykręcała się, ale przysiadła na taborecie. - Może najpierw pojedę na...

- Gdzie?! - przerwałem ze złością. - Mów, i to szybko. Nigdzie nie pojedziesz! - zagroziłem, zabierając kluczyki od

samochoodu. - I nie kłam, dobrze? Gdzie są chłopcy, no już, gadaj!

- Na Wiśniowej, w izbie zatrzymań dziecka, tam ich milicja odstawiła. Słuchaj, muszę się spieszyć, Idalka czeka, mamy we dwie...

- Siedź! Nigdzie nie pojedziesz. Co to za blaszki ten głupol odkręcał?

- Takie tam, markowe, nie znam się, Idalka mówiła...

- A po co Łapa nosił w kieszeniach trawę?

- Nno wiesz, trawa jak trawa, chcieli spróbować, wszystko ci powiem, jak wrócę. Moja wina, zgodziłam się, a ty nic nie masz do moich zielarskich upraw - spróbowała przejść do ataku.

- Trawa? Chcesz powiedzieć, że marihuana, tak?

- Uhm. Tylko się nie złość i nic nikomu nie mów, ja to sama załatwię, dobrze? Wszystko wezmę na siebie, rozumiesz?

- Ach tak. To dlatego Łapa jeździł na działkę, tak? Uprawa! Ziola?! No proszę...

- Uhm. Zgodziłam się, wiedziałam, biorę to na siebie, ale teraz muszę lecieć. Idalka od razu poszła do Maćka, przecież ja też jestem matką, dawaj kluczyki...

- Nie ruszaj się, nigdzie nie pójdziesz, jasne? Dawaj ten termos, no już!

Napiłem się bardzo słodkiej herbaty z cytryną, Łapa taką lubił, zjadłem przygotowane dla niego ciasto, też przesłodzone. Alina patrzyła na mnie z nienawiścią i zgrozą. Nic sobie z tego nie robiłem, myślałem - co za durna baba ta moja żona, pewnie liczy, że milicjanci nie znają się na zielsku, ona przecież uprawia ziola! Ma papiery! Chyba sprawię jej łomot.

- Skąd Łapa w izbie dziecka, przecież ma osiemnaście lat? - sam byłem zadowolony.

- Skłamał, że ma szesnaście, chciał być z Maćkiem i wtedy go zrewidowali, i znaleźli trawę, ale ta trawa była świeża, tylko trochę suchej...

- Marihuana - poprawiłem, nie zważając na płaczliwe tony w głosie Aliny. - Mów prawdę i nie kręć, bardzo proszę, bo oberwiesz po dupie. Skąd nasiona?

- Ja przywiozłam. Łapa poprosił, więc pomyślałam... ale niewiele, tylko trochę. Książkę też, leży u niego na półce, weź i poczytaj sobie, a ja jednak tam pójde, bo Idalka będzie się denerwować i...

- Jednak nie pójdziesz. Nasz syn jest pełnoletni, wbij to sobie do głowy. Maciek to co innego, ma czternaście lat i swoje hobby...

Nie słuchała. Chwyciła żakiet, byłem szybszy, zagroziłem sobą drzwi, szarpnęła mnie mocno parę razy, podciąłem nogi, upadła.

- Siepaaacz! - zawyła. - O Boże, Boże, ty draniu...

- Matka Polka, durna matka Polka! - nie hamowałem wściekłości i nie pomogłem jej wstać z podłogi. Już widziałem, co by było, gdybym popuścił - szukanie znajomości, bojowe narady z Idalią, rozpoznawanie układów, szykowanie łapówek. O nie, moja pani, tym razem nie dam zgody, sam się za to wezmę! Łapa musi zaufać mnie.

Spałem na kanapie. Wrzesień, po sierpniowych upałach zrobiło się zimno, zmarzłem, ale drzwi do sypialni były zamknięte na klucz.

\*

„Gdyby nie śmierć, to nigdy w życiu Nie wiedziałbym, że jestem żywy”.

O. Mandelsztam, Tutaj ropuchy obrzydliwe

...i odczep się... - powiedziałem głośno, budząc się nagle z wirówką w głowie; to wszystko mi się śni, z całą pewnością to

sen, pomyślałem z ulgą, poleżałem chwilę i zaraz przewróciłem się na lewy bok, wbiłem czoło w mały twarde jasiek na oparciu kanapy i lekko stękając... - co ja z tobą mam, natychmiast idź do... - krzyczała słuchawka złym głosem Włodka... idę, niech będzie, co chce, pójdę wprost korytarzem, dojdę do białego płotu, wejdę, człapiąc i klaskając papuciami, w których mokro, to mój własny pot, który spłynął po moim szkielecie, który trzyma mnie w pionie, i który ma... wejdę za chwilę, odpocznę trochę, serce w gardle, w uszach szumi kosmos, opieram się o sztachety, za którymi drzwi, naciskam po kolei guziki tablicy, znam kod na pamięć, myślę się, boję się, ooooch, wreszcie zadziałało, coś terkocze, jeszcze postoję, biało tu i ciemno, to nie ściana, to kolumny styropianu, a za nimi... z wysiłkiem wpieram ręce w porowaty kloc, nogi nie mogą ruszyć, dyszę i słyszę... ten fukający głos: - „wyłączaj go, nie dawaj nic do roboty, żadnych zadań, cofnij. .. Co mówisz? - Nie, nie ma co czekać, słyszysz? Jak? Niech siedzi bez zleceń i... mam cię uczyć?... bububu... Niech cię cholera, po co ja cię trzymam... buu... ubuuu... buuu buuu - przestań mi tu buczeć, pilnuj się i tyle: wyłączaj go, bo sama wylecisz, nie widzisz, co się dzieje, przecież lada chwila... " ooooooch... chyłkiem, na czworakach - skurcz łydek, serca, przepony... skradam się do swojego biurka, pogania mnie buczenie Julki, w głowie wyje: „wyłączą jak wtyczkę z kontaktu"... wyleją, wyleją, wspinam się na krzesło, włączam komputer, w płucach chlupot, w nosie smarki, w uszach warkot, oooooch... odetchnąć... powietrza... już, już... żadnego samooszukiwania... ściskam dłonie zsuniętymi kolanami i postanawiam: nie dam się, nie będę skomleć, czekać, zabiegać, nie wbiję bezładnie pazurów w klawiaturę, nie skasuję moich programów, niech mają. Co tak ciemno, ekran łyśka kusząco ostroniebieski i raptem od drzwi lunęło żółtym światłem, to ta hiena Tećka, co wszystko wie pierwsza... już



zwęszyła padlinę, moje bezrobocie, a niech się pożywi, tyle już razy jej pomogłem, teraz... Tacia mówi wesoło: - „hi, wiesz co? Przyjechał ten gość od De Beers i chce rozmawiać tylko z tobą, i się spieszy, i już lecimy do... wiesz gdzie, zbieraj się, swoją drogą dobrze czasem być Żydem, a skąd ty niby znasz flamandzki, też bym chciała, Włodek wściekły, szefowa dawno wyszła, a to dopiero... ”; mówię jej, że ważniejszy od flamandzkiego jest francuski, bo literatura to Victoire, co tam diamenty, i że jeśli chodzi o mnie, to jestem pour toujours Juif, i że ten cały De Beers musi i tak liczyć się z GIA, to jest dopiero coś, ten Amerykański Instytut Gemmologii... Teresa kiwa głową i mówi: - Julka już wie i nie buczy, et pour moi pourboire avec cadeau - un petit brillant - brylancik... cik... cik... cyk... cyk... to budzik wstrząsa mną, leżącym na podłodze, sinym z zimna, z tomem Montaigne'a pod głową. „Dobre nie musi następować po złem; może nastąpić większe zło ”. Tak mi sucho w ustach...

Ubierałem się i porządkowałem książki przerażony swoim snem - nie - snem; po jaką cholere czytam wciąż Montaigne'a? Że ciekawy? Miał matkę Żydówkę, jak ja, ale jego „co ja naprawdę wiem?” bodło mnie od dawna, boleśnie dopadało w okresach pogodzenia się z sobą i życiem. Mój antwerpski mistrz mawiał: „kropla żydowskiej krwi to jest coś, co stawia nas ponad przeciętność”, ale na mnie to się nie sprawdzało. Może na moich dzieciach?

Dlaczego w nocy przeniosłem się na kanapę? Aha, wstawałem sprawdzić Millera, jest: „Wykrycie brakującego przecinka wymaga większej koncentracji niż streszczenie filozofii Nitzscheho”. Hm. Może i tak. Tant pis.

\*

„Ala ma kota. To kot Ali”.

M. Falski, Elementarz (1957 r.)

- Ty dupku żołądny! Mamusia ci kazała, tak? I synuś był znów grzeczny, cały czas! - Ewa krzyczała ze złością, nie zważała, że w ogrodzie wszyscy wszystko usłyszą. Zrywaliśmy truskawki, Ewka zjadała co drugą, ja sumiennie wkładałem wszystkie do kobiałek, ona wybierała z buzi szypułki i rzucała je w bruzdy, sok spływał jej po brodzie, moczył palce i truskawki. Złościło mnie to i już miałem jej coś powiedzieć, gdy wyskoczyła ze swoją prośbą i teraz krzyczała na mnie, na swojego ojca; czułem, jak zwijam się w sobie i szukam skorupy ślimaka, dużego ślimakusa. Tak, to moja córka wymyśliła strasznego ślimakusa jako obelgę, według niej najgorszą dla takiego ojca jak ja. Raz tylko usłyszałem od niej jeszcze gorsze wyzwisko „ślimakutas”, lecz udałem, że nie zauważyłem. Teraz jej żądania były tak dziwaczne i zawstydzające, że nie mogłem udawać, przypierała mnie mocno, więc próbowałem się wyłgać:

- Zlituj się, dziewczyno, od tego włosy wyłażą z głowy - zaskomlałem z uśmiechem. Wiedziałem, że jeśli powiem coś zabawnego, to mam szansę przeboksowania jej śmiechem, co rozbroi złość, nienawiść i różne brzydkie uczucia, które mącą rozsądek tej bardzo przecież rozsądnej osoby.

- Wypchaj się! - wrzasnęła. - Niech diabli wezmą twoje kudły, chcę cię zobaczyć łysego... i czy ty jesteś moim ojcem, czy... czy... - aż się zachłysnęła słowem, które chciała wyrzeszczyć i sama się powstrzymała. Pobiegnęła do hamaka i leżąc na brzuchu, milczała chwilę, by za moment odwrócić się i, z buzią zarumienioną i ustami obrzmiałymi chęcią śmiechu, rzucić się na mnie z pięściami. Byłem przygotowany, błyskawicznie zgięty w pół i z nosem między kolanami wystękałem:

- Bij, bij mocno - ale ona nie dała się zwieść i z resztką złości szarpnęła mnie za ramię.

- Nie wygłupiaj się, tak łatwo nie ustąpię, no, Dziut, bądź poważny, przysięgnij, że mi to załatwisz medycznie, znasz chyba jakiegoś lekarza ...

- To ty bądź poważna! - odciąłem się zapalczywie. - Masz tylko jedenaście lat, nie chcę słyszeć od ciebie takich rzeczy. W twoim wieku nie pora myśleć o czymś takim, przecież masz dopiero jedenaście lat i nie rozumiesz jeszcze...

- Dwanaście, prawie dwanaście, a ty wiesz dobrze, co się zrobiło z moimi piersiami. Rosną, przecież wiesz - znowu mnie przyparła do ściany. - I co tobie do tego, ile mam lat? Jak coś mogę zrozumieć, to przecież wszystko jedno, ile mam lat, nie mów mi, proszę, że to są jakieś dziecinne fanaberie i ja muszę... Tym razem ja jej przerwałem: - A co to jest dupek żołądny, no co? Tarzaliśmy się ze śmiechu, a potem zadzwoniłem do pana Kopalińskiego. Obiecał, że przyjdzie do nas na obiad, bo to poważna sprawa, on się zastanowi i przy obiadku...

Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina, to ja dałem Ewie „Szklany klosz” do przeczytania - wbrew zakazom Aliny i mamuśki, które uważały, że mała jest zbyt podniecona opowiadaniem Sylwii Plath wydrukowanym niedawno w „Przekroju”. I chociaż w naszym domu obowiązywała zasada, skądś przywleczona, „zabrania się zabraniać”, czasami na coś komuś nie pozwalano. Najgorzej było z podsłuchiwaniami, niby nie było wolno, ale wszyscy podsłuchiwali, tyle że przestrzegaliśmy zakazu wykorzystywania przeciw komuś tego, czego się w ten sposób dowiedziało. Ewa podsłuchiwała rozmowę Aliny z babką i chyłkiem, chyłkiem wycygała książkę ode mnie. Wcale nie zrobiłem tego bezmyślnie lub na przekór moim paniom, tyle że uważałem czytanie Sylwii Plath za rzecz zupełnie dla odczytanej w Biblii dziewczynki dopuszczalną. No i oberwałem - mała bez żadnego przestrochu przyjęła

samobójcze próby bohaterki, za to opis rozprawiczenia tak ją przeraził, że zażądała ode mnie operacji chirurgicznej jej „osobistego” - tak to nazwała - hymenu. I z tego się zrobiła awantura w ogrodzie, w biały dzień, w piekącym majowym słońcu.

\*

„...istnieje wiele sposobów nierozumienia...”

H. Miller, Zwotnik Koziorożca

„Nieprzespanej nocy znoonej jeszcze mam na ustach ślad...” Zamiast iść dalej, zatrzymałem się i słuchałem schrypniętego głosu, który magnetycznie ciągnął słowa przedwojennej piosenki. Słodko brzdąkała mandolina. Chciałem odejść, ale nie mogłem - znowu dopadła mnie myśl, co też było tu przed wojną, w tym miejscu, gdzie teraz szeroko rozciągała się dziura pod rondem na skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Jerozolimskimi. Dziura w głowie też - malutka, a jednak. Tylko pamięć dotyku ciepłej ręki ojca i że idziemy na Królewską.

Wyciągnąłem banknot i położyłem na podsuniełym tamburynie. Mogłem postać jeszcze trochę i przy kolejnej piosence znowu coś dać; takich jak ja było niewielu, ale jednak się trafiali. Akordeonista patrzył na mnie tępo. Poczulem lekki dotyk na tylnej kieszeni dżinsów: ktoś niechcący potrącił złodzieja, a jemu ręka się omsknęła i dała mi znać. Nie obejrzałem się, udawałem zasłuchanego w melodię najnowszego knajackiego przeboju: „Czemuś mnie okłamała, głupią komedię grała, czemuś miłością mą wzgardziła...”.

Ruszyłem wokół trzonu tej dziury w ziemi, zastanawiając się, jak zwykle, co też tam może być w środku. Oblepiony kramikami wielki walec musiał coś ukrywać. Karuzelę ze stanowiskami najwyższymi i wysokimi? - sadzają pretendenta

na stołku i - chlap! - maszyna wyrzuca zmiędlonego faceta na stołek ministra, dyrektora, sekretarza. Trudno posądzać karuzelę o zdolności poznawcze czy jakiś komputerowy program, więc działa ciągle tak samo. A może jednak jest tam jakiś bramkarz - brakarz, który selekcjonuje chętnych na karuzelowe siodełko; pewnie jakiś prosty mechanizm napędza cały ten system. Możliwe też, że wcale nie ma tam karuzeli, tylko wejścia do korytarza prowadzącego podziemnym tunelem w stronę Pałacu i Nowego Świata. Tak, to możliwe, wieści o tajemnych przejściach i schronach pojawiały się uporczywie, od kiedy zaniechano budowy metra w powojennej Warszawie. Wielki wybuch w Rotundzie był dobrą okazją do wznowienia domysłów; szeptało półgłębko, że ktoś chciał wywalić w powietrze gmach KC, ale się nie udało. Szybko przeskoczyłem śmierdzące szambo przed rozwartym wejściem do klozetów i ruszyłem dalej.

„Niepotrzebna już mi twoja miłość i ty...” Przy tej piosence ludek warszawski wzrusza się i chętniej sypie groszem. Okrążyłem raz jeszcze kramy, znalazłem dziuplę, w której dorabiano klucze, i znowu podszedłem do orkiestry. Akurat mieli przerwę, podreptałem na przystanek tramwajowy i spojrzałem wzdłuż Marszałkowskiej. Od północy ściana Ogrodu Saskiego, od południa - czubki wież kościoła Zbawiciela. Prostobieżna ulica, jak napisał profesor Herbst, i, jak powiedział bezimienny powstaniec - „szybkostrzelna”. Westchnąłem; było jeszcze widno, wróciłem na dół. Teraz śpiewał ten drugi, powoli zdzierając z dobrego głosu resztkę aksamitu: „Malllowana lallo, bez serca i bez duszy...”. Miałem w domu płytę z nagraniami Grzesiuła, może jest i ta piosenka, przedwojenna, muszę sobie przypomnieć, kiedy ją pierwszy raz słyszałem, przecież powinienem pamiętać, matka wtedy tak się śmiała...

Ale ja przecież nie po to się tu zatrzymałem, muszę sobie przypomnieć, jak tu było przed wojną, jakieś kamienice, hotel czy co, ludzie, mieszkania, sklepy, kina, knajpy, kawiarnie. Na rogu był dom z wielką reklamą piwa „Żywiec”, to pamiętam, ale na którym rogu, nie wiem. Domy i drzewa, chodnik, dużo ludzi, panie i panowie w kapeluszach, futrzanych kołnierzach, z laskami i bez, idą wszyscy weseli i spokojni, ja z ojcem też, trzymam go za rękę, specjalnie zdjął rękawiczkę, coś do mnie mówi, zadzieram głowę i nie mogę go zobaczyć ani usłyszeć. Tylko tyle. Nie, jeszcze coś, jechaliśmy potem dorożką, ojciec przytulił mnie lekko i mówił, że niedługo... Nie zapamiętałem czegoś bardzo ważnego, telepię się teraz pod ziemią, nade mną nie ma skrzyżowania ulic, jest betonowa plaża, która nie pozwala zahaczyć myśli o coś, co powiedziano do mnie, małego.

Chyba zrezygnuję. Nie udało mi się przypomnieć przez ponad trzydzieści lat, nie uda się nigdy. Dziura w głowie jest zupełnie jak zapadlisko gwiazdnej materii w galaktyce: nie ma i jest. Gdyby nie to, byłbym może innym człowiekiem, a tak, cóż - podlizywałem się życiu do utraty śliny, do mdłości i szumu w uszach. Żebym pamiętał, co duży mężczyzna powiedział małemu, to... no naprawdę nie wiem co.

\*

Tamten wiersz, co go nie chcieli parę lat temu w „Twórczości”, posłałem do paryskiej „Kultury”.

Wydrukowali fragment: „Kochać nie chcę/ myśl zdławię  
gdy słowem do ciebie wybiega/ uszy twą miłość słyszące  
ołowiem zaleję/ opuszczę głowę sto razy/ i beton czołem  
rozgrzeję/ wreszcie stojąc nad sobą/ zapłaczę/ Bóg zapłać”.

Głupio mi było trochę, bo może to i „babskie” wierszowanie, licho wie, może tamci z „Twórczości” mieli rację. Ale się tym drukiem ucieszyłem: wybrali dobry fragment, też bym tak zrobił.

\*

„Moc swoją wzięłam w ręce  
i przeciw światu ruszyłam.  
Dawid niż ja miał jej więcej  
Lecz ja dwakroć śmielsza byłam”.

E. Dickinson, 700 wierszy

- Zgłupiałaś chyba! - zachnęła się Nina, kiedy wysapawszy swoją porcję wiadomości, nie usłyszała odpowiedzi. - Mówię do ciebie, nie słyszysz, nic cię nie interesuje? No tak, to wszystko przez ten cholerny dywan. Ale się urządziłaś! Czego się śmiejesz?

Wcale się nie śmiała. Trochę przytłoczona impetem przyjaciółki, uśmiechała się lekko. Chwała rzeczom nieużytecznym, chciała powiedzieć, ale tylko przypomniła:

- Jedz lody, rozpuszczą się.

Ninka grzebała łyżeczką w papierowym kubku, nabierała zieloną masę i powoli wsuwała do ust.

- Dobre lody robi ten Włoch, tyle już lat. Zjem wszystko, jak ty nie chcesz - powiedziała.

- Dobrze, zjedz ze smakiem - zgodziła się w nadziei, że już nie będzie mowy o dywanie. Ale Nina nie puściła:

- Więc mówisz, że to ręczna robota, jedwab, i wcale nie chiński, tylko irański. I co z tego? Rzeczywiście, nie wygląda na używany, a ten motyw ptasi... Jednak to szaleństwo wydać wszystkie pieniądze na coś takiego.

Westchnęła. Przedwczoraj tak samo było z matką.

- Tyle pieniędzy! - jęczała. - A potrzebujecie najprostszych rzeczy. - I zaczęła wyliczać: pralka, lodówka, telewizor, sprzęt grający dla Edka, futro dla ciebie, kafelki do łazienki, najlepiej z Peweksu; oczywiście po wszystko trzeba postać, albo upolować, jak choćby modne teraz regały, no i fotele. - Tak, przecież wy potrzebujecie nowych foteli, na tych już nie można siedzieć - labidziła, jakby chodziło o lekarstwo

na śmiertelną chorobę. - Te małe berzerki są bardzo zniszczone, ale to antyki. Oddasz je Helence, ona ma stolik i konsolkę w tym stylu, więc będzie miała komplet. Ten twój dywan to właściwie nie nadaje się na podłogę, trzeba dać go na ścianę. Stare kilimy po ojcu wyrzucić do sypialni, a w ich miejsce dywan... Słuchaj, nie przyszedłam do ciebie, żeby załatwić foteliki dla Helenki, tak tylko mówię, bo może będziesz robiła remont...

Tyle mamy rad dla innych, pomyślała. Tylko nas dopuścić, zaraz urządzilibyśmy im życie, że ha! Już dawno przestała słuchać zrównoważonego głosu matki. Dwa razy mruknęła „masz rację”, raz dość dobitnie powiedziała „daj mi spokój”. Pomyślała: Zaraz zaczniesz o kuchence i odkurzaczu - i rzeczywiście, matka wypomniała i jedno, i drugie:

- Całe lata gotowania na dwóch palnikach, dobrze pamiętam, no ale wtedy piłaś, wybaczyć ci wypominam, sama wiesz, jak było z odkurzaczem, Hela ci dała, a ty sprzedawałaś, wszyscy...

- Nic straconego - mówiła Nina, nie zauważywszy jej zamyślenia. - Dalej pracujesz, no i udało ci się z tym radcostwem. Na pewno załapiesz znowu jakąś większą sumę i kupisz wreszcie kolorowy telewizor. Pewex ma teraz wszystkie dobre marki, o bony i dolary łatwo.

Znowu przestała słuchać; przyglądała się przyjaciółce: Nina ruszyła jednym ramieniem, potem drugim, wyprostowała się i powtórzyła te same ruchy, a potem jeszcze raz. Jakby ćwiczyła coś zalecanego na poprawienie linii karku i podbródka. Przyglądała się temu ze skupieniem i nie przerywała wywodów Niny, jak to teraz jest lepiej, ludzie mają pieniądze i tyle luksusowych towarów na rynku. I się dorabiają: samochodów, daczki, nawet domy i wille stawiają, wcale się nie boją załatwiać na lewo i kraść też nie. No i młodzież autostopem po świecie jeździ, a kto tylko może, to



do Bułgarii, Jugosławii, nad Balaton, do Grecji, Hiszpanii, Włoch, NRD - Nina aż zasapała się z zachwytu, bo przy tym i zahandlować można!

- A jaka to wygoda mieć samochód, i te przedpłaty wprowadzili, powinnaś kupić sobie talon, to jest do załatwienia...

- Chwała rzeczom nieużytecznym - powiedziała głośno i Nina aż podskoczyła.

- No wiesz! Nic nie mówisz i raptem coś takiego! - wykrzyknęła oburzona. - Uważasz, że jestem przyziemna, tak? Zawsze się wywyższasz, taka jesteś lepsza, tak? Te twoje dwa fakultety! I po co? Żeby chlać prostą wodę, żeby zapijać porażki, którym sama jesteś winna, ot co! Ale ty się nigdy do niczego nie przyznasz, nie chcesz wiedzieć, że to z pychy! A teraz jeszcze ta prowokacja z perskim dywanem. Wielkie rzeczy, perski dywan! Ty się nigdy nie zmienisz, ta twoja pycha jest...

Nina prawie krzyczała, tak głęboko dotknęły ją słowa przyjaciółki. Wolałabym usłyszeć kilka job... niż tę jej zapiekłą złość, pomyślała i już miała się odezwać, kiedy zadzwonił telefon. Przeprosiła, odebrała, słuchała chwilę, próbując się skupić.

- Dobrze, Tomku, cześć, cześć. Powtórz, proszę, powoli. Aha, już wiem, tylko czy dobrze odsłuchałeś, to piosenka, tak? Słuchaj - to będzie jakoś tak: „zdaje się, że szykują dla mnie krzyż”. Lennon? Nie, nie znam, nie słyszałam. Aha, radio Luxemburg, rozumiem. Jeszcze coś? Stand by me, woman - no wiesz, to powinieneś sam wiedzieć, nie męcz mnie. Tak, jeżeli ci to pasuje, to może być tak, jak mówisz - „myślę, że zaraz mnie ukrzyżują”. To syn Edka - powiedziała do Niny przepraszająco.

Nina paliła papierosa, stojąc, gotowa do wyjścia, nastroszona. Zagroziła jej drogę.

- Nie idź - poprosiła. - Posiedź ze mną jeszcze trochę, chciałam ci powiedzieć...

Nina zacisnęła usta i zgasiła papierosa. Usiadła, ale nie chciała słuchać.

- Wiesz co, Olga? Tyle razy prosiłam cię, żebyś pomogła Patrycji w angielskim, a ty nigdy nie miałaś czasu. Przecież wiesz, jaka ona jest nieśmiała, bez pomocy kogoś bliskiego nigdy nie zacznie mówić, a na konwersacje u metodystów mnie nie stać.

- Dobrze, Ninuś - zgodziła się bez wahania. - Tylko konwersacje, ty dopilnujesz, żeby uczyła się słówek, sama. Widzisz...

- Zaraz powiesz, że jest leniwa - przerwała jej Nina, poprawiła okulary i zaczęła: - Pojęcia nie masz, jakie ona ma zahamowania, jaka jest wrażliwa, bo przecież...

Wysłuchiwała raz jeszcze opowieści o stosunku Patrycji do matki, o jej niechęci do zajęć domowych i zdolnościach rysunkowych. Miała przed oczyma ukochaną córeczkę: gruba bałdowata dziewczynka w kokonie kaprysów i bezwładu; ciekawe, co też za motyl wyfrunie kiedyś z tej poczwarki, teraz interesujący wydawał się tylko kształt twarzy o rysunku pięknego serca.

Uściskały się, jak gdyby nigdy nic, i dopiero w drzwiach Nina, jej najlepsza przyjaciółka, powiedziała, że zostali zaproszeni na urodziny Józka, który kupił sobie w prezencie wideo.

- Będą wszyscy, a ja nie mam się w co ubrać, pożycz mi ten swój kaszmirowy szal, dobrze? A wy co, jesteście zaproszeni?

Nie byli. Józek wiedział, co stało się w jej małżeństwie, i spokojnie powiedział: nie przychodź. Przyjęła to bez żalu; znali się od czasów studenckich. Trochę ze sobą chodzili, pojawiła się Alina, została przyjaźń. Znieśli od siebie sporo

dobrego i złego, Józek musiał przeboleć jej surowe oskarżenia o konformizm, ona jego pomoc w walce z alkoholem. On śmiał się, twierdząc, że „kto schodzi pod powierzchnię, czyni to na własną odpowiedzialność”, i że nie lubi „głębi”. Ona częściej pożyczała od niego pieniądze, niż oddawała, on podsunął jej pomysł wykorzystania informacji o cenach srebra: „Spróbuj coś drapnąć, dziewczyno, byle szybko”.

Przyjęcie urodzinowe mimo nieobecności Józkowej żony odbyło się całkiem udanie. Ogród w czerwcowej pełni, piękny dom. Józek świetnie gotował, jego matka umiała przyjmować gości, pani Loda trochę usługiwała, trochę siedziała przy stole. Syci jadła, napitków i obgadywania nieobecnych, goście popijali kawę i koniak. Czekali na inaugurację wideo.

- Cały czas chciałam wam powiedzieć - zaczęła Jadwiga, poprawiając w fotelu ciężki odwłok - że jej musi coś być. Wicie, ten jej brat to miał takie... bzzz... - Uniosła do czoła wskazujący palec, zakręciła ni to kóleczo, ni to haczyk i mocnym gestem wyrzuciła dłoń do góry. Wszyscy się roześmieli, Jaga wyglądała komicznie, ale zaperzyła się:

- To rodzinne.

- No wiesz - skrzywił się Sławek. - Coś zmyślasz. Ten brat to przecież cioteczny. Zresztą, znam faceta. Rzeczywiście, miał kiedyś nerwicę reaktywną, dawno temu. Zrobił dyplom, podobno jest dobrym architektem, coś słyszałem, że wziął jakiś konkurs. Tyle że się nie ożenił.

- Mówisz jako lekarz? - szydziła Jadwiga. - Czy może jako przyjaciel Olgi? I czy uważasz za normalne, że ktoś ni z tego, ni z owego ładuje kupę forsy w jakąś kolorową szmatę? „Zielononiebieski z pawim poblaskiem dywan” - przedrzeźniała Ninę.

- Dzieło sztuki, moja droga, dzieło sztuki. Olga się zna i ma bardzo dobry gust. Ale przyznaję, coś w tym jest, rzeczywiście. Co innego, jak filatelista za bajońską sumę

kupuje jakiś głupi dla kogoś znaczek; tu uzasadnieniem jest pasja, namiętność, uczucie nikomu nieuwłaczające, niczego nienegujące, prawda? Tymczasem, choć nie chciałbym o tym mówić, dla Olgi ten zakup był chyba czymś w rodzaju odwetu albo... ucieczki. Może się mylę; wiecie, jak ją lubię, więc... dajmy temu spokój.

- Ale z ciebie psycholog, co tu rozważać, powinna kupić mercedesa, i tyle - zatrajkotała Tosia. - Chociaż, jeżeli to rzeczywiście dzieło sztuki, to i dobra lokata pieniędzy. Olga nie jest głupia, ja ją podziwiam. Dość się natyrała na posadzie przez tyle lat, a tu proszę! Taka forsa! I to za nic, jakaś mała porada prawna dla firmy polonijnej, Roman mówi, że to fuks. A z forszą miała prawo zrobić, co jej się podobało. Sama też bym chciała choć trochę poszaleć, już mnie nudzą te nasze wyścigi po luksusy. I co tu niby można osiągnąć, prawdę mówiąc, to nasze dorabianie się jest biedniutkie, tak naprawdę to tylko wy macie sofy Togo, tak się nazywają, prawda? Czytałam o tym projektancie, co je wymyślił. Ależ on ma pomysły, ten cały Ducaroy, trafił w dziesiątkę. Po ile one były? Pięć tysięcy dolarów, nno, nno. Patrz, Jadwiniu - parsknęła śmiechem - to wcale nie kanapa, to peugeot. Ja siedzę na samochodzie, ty na drugim, widzisz?

- Widzę, no i co? - Jadwiga śmiesznie zakręciła zadem i wzruszyła ramionami. Zaśmiała się sztucznie i odwracając się w stronę Józkowej matki, sapnęła: - Bardzo ładne i dobrze, że dwie takie same, można je różnie ustawiać, a to praktyczne. Francuzi, wiadomo, polot i wygoda. Komfort. A kto wybrał kolor? Dobry materiał i świetnie pasują do niego twoje poduszki.

Wyraźnie ignorowała Tosię, która spokojnie wypijała kolejny kieliszek nalewki i widać było, że nie da się pociągnąć za język. Jednak westchnęła i przerywając zachwyty nad obsypaną owocami wielką czereśnią, powiedziała:

- Cholera, przecież taki jedwabny dywan to jest naprawdę coś. Naprawdę... Tyle że Edek ją zostawił i - ojej, ale się wygadałam, miałam nikomu nie mówić, bo Roman...

- Lepiej przestań - powiedział Józek, patrząc na wybałuszone oczy Jagi. - Lepiej zostaw ten kieliszek, Tosiaczku, dobrze?

- No wiesz! - syknęła Jadwiga. - Zamykać komuś usta! Nie słuchaj go, Tośka. Powiedz, jak to było - dopytywała, żadna świeżej krwi.

- Kiedy ja nic więcej nie wiem - wyjąkała Tosia i spojrzała na Józkową matkę, szukając u niej pomocy. - Zresztą Olga jest przyjaciółką Romana, a on wyjechał i nie mogę go spytać - plątała się.

Nina zaczęła się zęgnąć, nie chciała zostać na filmie. - Ja to już widziałam w kinie, pamiętasz, Tosiu? Byliśmy wtedy z Romanem, w jego imieniny, dwudziestego dziewiątego lutego, w niedzielę.

- Tak, tak - podchwyciła Tosia. - „Dyskretny urok burżuazji” czy jakoś tak. I zrobiła się z tego afera, bo gości przyjmowaliśmy w sobotę, ale w niedzielę przyszli też, bo to przestępny rok, a my w kinie. I mieliśmy tylko czystą wódkę i kruche ciastka. Wszyscy się szybko upili - chichotała, podniecona wspomnieniem. - To już cztery lata, nic z tego filmu nie zrozumiałam, więc zostanę. Nie zabiorę ci Zygmunta, nie bój się.

Głupia idiotka, myślała Nina, która spokojnie szła do Olgi. Że też ja nic nie zauważyłam, zastanawiała się. Ale suka, nic mi nie powiedziała. Jak tak można, nie rozumiem.

\*

Only diamonds are forever.

Umarła. Całkiem niepotrzebnie i zupełnie nie w porę. Ale któż umiera potrzebnie i we właściwym czasie? Taki luksus i

porządek, jeszcze czego. To prawda, czasami jej śmiertelnie nienawidziłem, a teraz byłem tylko smutny i zły. Oczywiście, miałem jej jeszcze coś powiedzieć, chociaż nie pamiętałem co. Wyciągnąłem chowane na czarną godzinę dolary i kupiłem bilety na samolot do Paryża. Ciocia Fela powiedziała, że matka umarła bezboleśnie.

Pojechaliśmy wszyscy, nawet Marek z ręką w gipsie. Z Londynu przylecieli Japa z Anką, małego Kacperka zostawili z wujkiem Antonim. Od Japy dowiedzieliśmy się, że Tobiego nie będzie; wybrał się z kolegami na ryby w New River w Zachodniej Wirginii, nie wiedzieliśmy, jak ściągnąć go z tej rzeki, podobno niebezpiecznej, na sygnał radiowy nie było odpowiedzi. Ze Stanów przyleciała Paraska, sama, bez męża i dzieci. Ona jedna płakała. Ceremonia była krótka.

Nie miałem dużo do załatwiania, ciocia Fela z Dominiką wcześniej zdecydowały o kremacji, podobno zgodnie z wolą mamuśki i poparciem Ewy. Chodziłem ulicami niewielkiego wycinka Paryża od naszego hoteliku Parisienne na rue Tournefort 24 do domu na bulwarze Saint Germain piechotą, rzadko brałem taksówkę. Załatwiałem zaświadczenia, zamianę biletów lotniczych na kolejowe. Nie cierpiałem, przynajmniej tak mi się wydawało, do momentu, w którym poczułem, że mam mocno zaciśnięte szczęki. Coś tam chrupnęło, pomacałem językiem i po chwili wyplułem okruch zęba z odrobiną krwi. Zacząłem zastanawiać się, co robić.

- Cholera, skaleczyłem się - wymamrotałem i zaraz poczułem ostry ból. Każde słowo spływało słodką krwią z poranionego języka. I od razu zezłościłem się na Tobiego: oczywiście, jak potrzeba dentysty, to go właśnie nie ma. Po kiego diabła pozwoliłem mu ćwiczyć na moich zębach? Tylko co skończył studia, małe doświadczenie, marne narzędzia i dużo zapachu. No i tak.

Z Tobim właściwie nie mieliśmy kłopotu; gdy nie dostał się na medycynę, wszystko przemyślał nad wędką, wymyślił:

- Wiem! Stomatologia! Bardzo dobrze, wojsko mnie ominie, no i ludzie mają tyle zębów: mleczne, stałe, ortodontyczne, mądrości - te są najciekawsze, czytałem, że czasami rosną w poprzek, to ci dopiero robota. Fajnie, no nie? A potem ludzie potrzebują tych zębów jeszcze więcej, muszą mieć koronki, mostki, protezy, implanty. No i będę miał więcej czasu na ryby, więcej forsy i luzu, hej!

Nieglupio jak na człowieka, który sens życia znajdował w wędkarstwie. Akurat Alinie obrodziły rumianek i melisa, granice były prawie otwarte, więc dała Tobiemu forszę na wyjazd, na łowienie łososi w oceanie i przelecenie się po Stanach, żeby zobaczyć, jakie tkwią możliwości w stomatologii. Wiedziałem, co Tobie myśli, chociaż mówił tylko o tym, jak mu już zbrzydło łowienie w polskich rzekach i jeziorach.

Boli. Francuska dentiste w klinice Open All Hours obejrzała prawą dolną siódmkę, krzyknęła na widok języka i powiedziała, że na poczekaniu to może mi najwyżej wygładzić miejsca po odłupanej ćwiartce zęba, żebym się nie kaleczył, i zaraz zrobiła, co trzeba. Spróbowałem mówić, jakoś szło, wypytałem uprzejmie o sprzęt, jakim gabinet dysponuje, popodziwiałem urządzenia jak jakiś Zulus i pomyślałem, że Tobie też tak mógłby się urządzać. Język bolał.

A Tobie zjawił się w ostatniej chwili, prosto z oceanu: wielki, ogorzały, szare matczyne oczy, trochę zarośnięty, z długimi ciemnymi włosami, na łbie głupi kapelutek ozdobiony żółtą sztuczną muchą, w rybackiej kamizelce z tysiącem kieszeni, a najgorsze, że miał na sobie czarną koszulkę z czerwonym napisem EAT THE OLD.

- Ja ci dam, ja ci pokażę, tylko wrócisz do domu, będziesz jadł gutaperkę.

Ale on nie miał zamiaru wracać: przyleciał, bo babcia umarła, bo rodzina się zjechała, bo Japa alarmował; był w Stanach dla wielkich ryb, dla jakiejś Jane, dla kliniki w Charleston, w której się zaczął na praktykę.

Alina, powściągliwie zachwycona synem, nie zwracała uwagi na koszulkę. Akceptowała pomysły ulubieńca (dobra, dobra, myślałem mściwie) bez zastrzeżeń, cierpliwie słuchała o łowieniu łososi na śledzie i o tej Jane, kazała dziękować Parasce za zaproszenie, odwiozła oboje na lotnisko, wtykała pieniądze. W ogóle radość. Potem, jak gdyby nigdy nic, zajęła się zakupami i pakowaniem. Niedużo tego było. Urnę z prochami włożyła w blaszane pomarańczowe pudło z napisem Gaytime Assortment. Sweet Biscuits and Cookies. Rozejrzała się, pokręciła po ciocinym mieszkaniu, ucałowała Japę, Ankę i pobiegła z dziećmi na zakupy. No tak, święta blisko.

Zostaliśmy sami, poczłapałem za ciotką do kuchni i sepleniąc ze strachu o język, powiedziałem jej, że moja żona jest teraz bogata i że to z ziółek.

- Co ty mówisz, zioła? - przestraszyła się. - Chcesz powiedzieć: haszysz?

A ja, też przestraszony, że źle mówię po francusku, złapałem się za policzek i jęknąłem: - Ząb!

- Boli cię - zrozumiała i już po polsku zapytała:

- Chcesz aspirynę?

Zajęczałem mocniej, dostałem opium i poczułem się w obowiązku wytłumaczyć cioci Feli wielki popyt ludzkości na polski piołun, melisę, rumianek itepe. Jakoś pojęła i z uśmiechem przytaknęła:

- Bogata, jak Fauchon?

- Tak - przyznałem dla świętego spokoju, opium już działało, roześmiałem się, bo Fela z podziwu gwizdnęła



łobuzersko. Rozbawiony, bezbolesnym już językiem wypaplałem, ile Alina zarabia i że trzyma pieniądze w tutejszym banku. Ciotka uznała, że to bardzo mądrze, przeliczyła wszystko na stare franki, wyszła z tego niebotyczna suma, więc sapnęła i zaraz zapytała:

- A ty?

Kiedy się dowiedziała, jak stoją moje interesy, dodała ze smutkiem:

- Biedna Lili, ciągle się o ciebie martwiła. No nie, nie chorowała ze zmartwienia, w ogóle nie chorowała, tylko tak się czuła, że z ciała wypadła... - I zaraz zapytała:

- Chcesz jeść?

Zjedliśmy bardzo dobrą solę aux petits legumes z sosem, napiliśmy się białego wina, język nie bolał, jeszcze melon z koniakiem i sery; ległem na otomanie i zdrzemnąłem się.

Kiedy moi wrócili, spiesznie pozbierałem walizki matki i pakunki Aliny, szybko zajechaliśmy po klamoty do Parisienne i na dworzec. Pudło z urną Alina obwiązała zieloną świąteczną wstążką i kazała mi trzymać na kolanach. Oszołomiony opium i rzeczowością żony zupełnie zapomniałem o matczynym skarbie, jej różańcu.

W pociągu siedziałem i myślałem, prawie nie odzywając się przez całą drogę. Miałem męt w głowie, język bolał. Dlaczego zgodziłem się na ten wyjazd matki? Wiedziałem przecież, co się dzieje, jak matka denerwuje się, kiedy czyta „Małą apokalipsę” Konwickiego i jakieś „Biuletyny” i jak lata po znajomych i do przyjaciół po tę „literaturę” od niedawna wówczas drukowaną, na marnym papierze. Wcale nie zważała na swoje serce ani na wiek. Dopiero teraz po raz pierwszy zastanowiłem się, ile też ona miała lat, bo przecież jej papiery były sfalszowane, i to parokrotnie. Chwileczkę, jak się urodziłem, miała dwadzieścia, więc pędząc mnie do ożenku, nie była jeszcze stara, trzydzieści osiem, mogła sama rodzić!

A ona chciała wnuków! To przez to nasze żydostwo; gdyby nie ono, pewnie wyszłaby za pana Ludwika i jemu urodziła dzieci, mnie zostawiając w spokoju. W takim razie ja też mógłbym urządzić się w Antwerpii lub Amsterdamie. Wtedy było mi wszystko jedno, wcale nie byłem patriotą, wiedziałem, że przede wszystkim jestem człowiekiem, tego nauczył mnie ojciec, a potem mój antwerpski mistrz, spec od wielkiej humanistyki i przeszlifowywania diamentów. Od niego miałem mój dobry fach i na pewno mógłbym liczyć na pomoc, gdybym został w Antwerpii. Wydawał mi się wtedy takim mądrym staruchem, a przecież nie miał więcej niż pięćdziesiąt parę lat, tak samo jak pan Ludwik, z którym znali się ze studiów i wspólnych podróży.

A pan Ludwik? Pan Ludwik kochał się w mojej matce, adorował ją jeszcze przed wojną, kiedy rezydował w Polsce jako przedstawiciel Philipsa, znali się z moim ojcem, obaj inżynierowie, podobnie jak pan Bronisław C, drugi wielbiciel mamuśki. Ależ ona miała powodzenie! O tak, pan Bronisław to był wielbiciel doskonały, platoniczny, majątny i bardzo hojny, zawsze z bukietem róż; całował kobiece rączki tak jakoś smakowicie, że ja, smarkacz, byłem o mamę zazdrosny. Prowadzili piękne rozmowy i tylko wobec mamuśki pan C. nie był ani trochę protekcyjny. Lubiłem go; znawca sztuki, kolekcjoner obrazów i rysunków, żył wygodnie z dyskretnego handlu sztuką, sprzedawał ze swoich zbiorów głównie szkice, co lepsze dzieła starał się zaszanować jako przedmiot podziwu i zazdrości innych oraz dobrą lokatę na przyszłość. Jeszcze po wojnie urządzał małe wytworne przyjęcia dla wybranego towarzystwa, najpierw z własnym lokajem, potem już tylko z wynajętym kelnerem, bo lękał się posądzeń o burżujstwo. Ale potrafił zaraz po odbudowie Bristolu wydać kolację na dwanaście osób, z kawiozem, sarniną, francuskimi winami i szampanem. Zapraszał do pałacu w Jabłonie, sam bywał w

ambasadach, bawił towarzystwo wyśmienicie. Mamuśka ciut wyśmiewała jego staroświecką galanterię, ale hołdy przyjmowała dość chętnie.

- To takie miłe - tłumaczyła się.

Pan Ludwik był poważniejszym kandydatem do ręki mojej matki. Zaraz po wojnie oddał nam swoją garsonierę i pożyczył pieniądze. Zanim zlikwidowano Philipsa w Polsce, bywał u nas dość często, zatrzymywał się w Polonii i przez krótki czas miał nadzieję. On też był bogaty, ale nie rozrzutny, rzadko sprawiał prezenty. On nie kontentował się tylko miłością platoniczną. Nie wiem, jak to było, ale domyślałem się, że matka nie bez powodu wraca od Feli z Paryża przez Amsterdam. Pewnie miała trochę seksu w tamtych latach, ale i tak liczyła się dla niej przede wszystkim rodzina. Moja, oczywiście.

Zimno, coraz zimniej, nie grzeją w tym pociągu, czy co? Poszedłem do wagonu restauracyjnego, siedzieli tam Mateusz i Marek, pili piwo i obgadywali jakiś projekt francuskiego architekta - tacy młodzi i bezczelni. Nie zwracali na mnie uwagi, wypłem kawę i wróciłem na swoje miejsce, zabierając dla Łapy numer „The Rolling Stone”.

Dojechaliśmy spokojnie w sobotę, dwunastego grudnia, w Warszawie mróz, śnieg, zawieja.

W domu czuwała pani Leokadia z psem Bąblem. Ubrana w coś ciemnego, poważna, otworzyła przede mną drzwi do pokoju matki. Postawiłem pudło z urną na pianinie, wkopałem bagaże przez próg, aż rozleciały się jej kapelusze, sypiąc piórkami i woalkami, zamknąłem drzwi na klucz i odpowiedziałem na pytanie pani Lody:

- Zostawiliśmy Ewę w szkole, ma się tam uczyć do końca roku. Co proszę? Ach tak, trzeba to będzie wytrzymać.

- Ja wiem. - I już chlipała. Wypiliśmy gorącą herbatę z rumem, obiecała, że przyjdzie w poniedziałek i przyniesie

cielęcinę. Wyprowadziłem samochód, w którym spał Kohinor, i odwiozłem ją do domu. Bąbel śmierdział i poszczekiwał, a ja czułem nieobecność mojego „ja”. Kiedy wracałem na resztkach benzyny, było już ciemno.

A w domu zamieszanie. Dopiero teraz zobaczyłem, ile rzeczy nakupowała Alina. Ależ wydała forsy! Łapa już podłączył nowy magnetofon, oczywiście Panasonic stereo, układał płyty i zabrał się do wypróbowywania kamery. Mat i Marek zaciągnęli do siebie pakę kalki i przyborów rysunkowych, Alina upychała do komody prezenty dla sióstr, pani Lody i jej dzieci, przebierała w kaszmirowych sweterkach i mówiła, że wysłała ekspresową pocztą lotniczą dwie paczki z jedzeniem, bo u nas... Nie powiem, pamiętała o mnie, dostałem buty i radio, też Panasonic, zgrabne i pewnie drogie, ale w ogóle nie mówiła o pieniądzach. Milczałem, udawałem, że mnie boli.

- Biedny jesteś z tym zębem - westchnęła czule, a ja skorzystałem z okazji i bezgłośnie mruczając, zjadłem ostrożnie kolację. Przymierzyłem buty, wytworne mokasyny na grubej, miękkiej podeszwie, całe z grubej, mięciutkiej, łosiowej skóry; pasowały jak ulał. Gdzie ona je znalazła i tak utrafiła. Wypróbowałem radio, ułożyłem się w butach na kanapie, na chwilę tylko. Alina siadła obok; dumna z siebie i zadowolona opowiedziała mi, jak Ewa wybierała futerko w Galerie Lafayette, że wzięła akurat to, które i jej, Alinie, się podobało. Nie zauważyłem, w co Ewa była ubrana, pomyślałem, że jutro do niej zadzwonię i zapytam, że muszę też szybko złapać jakiegoś dentystę. Póki co ułożyłem się jeszcze wygodniej, radio na oparciu kanapy, leciała jakaś muzyka, było mi całkiem dobrze. Zbudziłem się po ciemku, ktoś przemawiał, nic nie rozumiałem, chciałem spać dalej, znowu ponura muzyka, coś było nie tak, zapaliłem światło, znowu ten głos,

zacząłem słuchać. Cholera! Rzuciłem się do telefonu, nie było sygnału. Ewa, co z Ewą, jak ja się dowiem o jej futerku?

\*

- Bardzo dobre śniadanie - powiedział Łapa, chrupiąc grzanki i chwytając zębami cieniutkie płatki szynki parmeńskiej. - Nie martwcie się, pójdę zaraz do Borsuka, on wszystko będzie wiedział, ma kumpli w wojsku i milicji. I już nie słuchajcie tej gadki, zgłupieć można - uspokajał nas. Alina nie chciała puścić bliźniaków na miasto, bo ulicą jechały czołgi i transportery, ja wyprawilem się do sąsiadów; powiedzieli, że wszystkie telefony wyłączone, są aresztowania i wywózki, wszystko obsadzone wojskiem. A niech tam, muszę na pocztę główną, przecież niemożliwe, żeby nic nie działało, przecież mleko pod drzwi przynieśli, pieniędzy chyba nie unieważnią, jakaś komunikacja musi działać. Co by to był za wstyd przed światem, taka dziura... nie, to niemożliwe.

A jeśli możliwe? Co też się ze mną dzieje... muszę się pozbierać. Pójdę na skrzyżowanie przy Odyńca, tam jest postój taksówek. Nic. Mróz, śnieg i to słońce. Drałowałem na Śniadeckich prawie pół godziny; świetne są te buty, dobrze mi się szło. Romka nie ma, sąsiadka uchyliła drzwi, rozejrzała się i dramatycznie szepnęła:

- Zabrali go, nie ma, aresztowali, wywieźli... No tak, to nie mam co chodzić do Mikołaja.

Na Świętokrzyską miałem niedaleko, spotkałem Tomka Ulota, zapytał mnie o Tobiego, a ja, czy mi zrobi koronkę na ząb. Popatrzył mi w usta i mówi, że się boi, chodzi od rana po znajomych i co tam ząb, ja mu na to, że to mój ząb i że boli, a on panikuje:

- Wszyscy aresztowani!

Zmilczałem, bo co mu miałem powiedzieć, że przecież my nie? Że tyle ludzi idzie do kościoła? Jakoś go uspokoiłem -

Ruscy nie wejdą, już nie mają po co, cała operacja zaraz się skończy, najwyżej dwa tygodnie. Nie chciał wierzyć, ale umówił się na wizytę.

Dotarłem na pocztę główną. Żadnych połączeń, nawet telegramu nie mogłem nadać. Pokręciłem się trochę po ulicach, popodziwiałem odgarnianie śniegu, wypłem wino w „Niespodziance”, złapałem taksówkę i zanim dojechałem do domu, dowiedziałem się o strajkach, mobilizacji, Syberii i że to potrwa co najmniej rok, a pomocy znikąd.

Zostawiłem Alinę z jej siostrami i zamknąłem się w pokoju matki. Przez godzinę łapałem, jak w grudniu 1970, zagraniczne stacje; niezbyt się nami przejmowali, chyba zadowoleni, że obyło się bez interwencji ZSRR. Wymyśliłem, że trzeba skądś zdobyć nadajnik, i zacząłem namawiać Łapę, żeby poszedł do kolegów, może znajdą kogoś z Politechniki, może jest tam jakiś krótkofalowiec. Nie wiem, po co był mi ten nadajnik, ale Łapa miał swoje zdanie - był już u Borsuka, zaniósł mu paczkę od Tobiego, jakieś twistery i coś tam do wędkowania pod lodem, no i się dowiedział: blokada zupełna, wszystko rozwiązane, nieczynne, zakazane, granice otoczone, sądy doraźne, jutro opublikują dekret Rady Państwa, rządzi wojsko. Borsuk jest ubekiem, radzi siedzieć cicho, ale obiecał, że w razie czego pomoże... ale w razie czego? Co mi po nim, ja chcę porozmawiać z Ewą, a tego on mi nie załatwi, nawet nie wie, kiedy włączą telefony.

Siedziałem przy biurku matki i pisałem kartki z życzeniami świątecznymi. Do wieczoru miałem ich ze trzydzieści. Musiałem też zawiadomić o śmierci mamuski jej przyjaciół, więc napisałem kilka krótkich listów. Otworzyłem szufladę biurka, wyjąłem teczkę z napisem „W razie czego...”, znalazłem papier z poświadczeniem wykupu miejsca na cmentarzu w Pyrach, list do mnie, jakieś kwity, akt własności dwóch działek na Mokotowie, wypis z księgi wieczystej domu

moich dziadków na Królewskiej, podpisane czeki bankowe i zalakowaną kopertę. Zamknąłem to wszystko z powrotem, nie chciałem teraz o niczym myśleć. Przypomniałem sobie, że mam w garażu dwa kanistry benzyny w zapasie, pozbierałem się jakoś i pojechałem znowu na pocztę. Późno, pusto, ledwie zdążyłem przed godziną milicyjną.

\*

Kociusku - napisałem do Ewy, która nie lubiła tego określenia, ale dobrze wiedziała, kiedy tak do niej mówię - nie będziesz miała teraz ze mnie wielkiej pociechy, nie możemy porozmawiać, jednak książki i nuty wyślę. A ty zaraz zrób sobie kilka zdjęć, dwa mają być w twoim nowym futerku, bo go nie zauważyłem i czuję się przez to podle. Kolor twoich włosów pamiętam, ale oczu, policzków i ust nie bardzo. Szybko zrób fotografie, teraz jest jeszcze mróz i czubek twojego nosa będzie czerwony. Chcę to widzieć chociaż na obrazku! Odezwę się niedługo, a ty. zaraz do mnie napisz. Przyjadę do ciebie, jak tylko będzie można stąd się ruszyć, i zabiorę cię do domu, czekaj na mnie. Kocham.

\*

Tamtego dnia, wieczorem, przyszedł do nas Borsuk. Było dosyć późno, przestraszyłem się, bo Mat i Marek gdzieś poleżli. Ale on przyniósł nam sandacze i opowiadał o swoim łowieniu, jak gdyby nigdy nic, nawet się zasiedziało do powrotu bliźniaków. Kiedy wychodził, zatrzymał się na moment w drzwiach i opowiedział o strzelaniu na Śląsku; drżała mu broda. Łapa, cały wieczór uważny i wesoły, odezwał się grobowym głosem:

- Ładną modę zaprowadzili, zabijać żywych ludzi.

Wiedziałem, co by w takiej chwili powiedział Tobie: „Mózg razem z włosami staje dęba” - ale zmilczałem, bliźniaki też. Borsuk nawet się nie uśmiechnął; nie czytał Babla i nie bardzo rozeznawał się w sposobach

porozumiewania się moich synów. Bał się, patrzył na nas ponuro i powiedział:

- Ja robię w przestępczości gospodarczej, ale teraz i nas tam wysyłają, chyba... musi być bardzo źle.

No proszę, on już ma specjalizację, i to przydatną dla mamusi, pomyślałem nieźycźliwie, ale zaraz uścisnąłem mu rękę i pożegnałem serdecznie. W końcu to przyjaciel Tobiego, starszy tylko o trzy lata i w pasji wędkarskiej bardzo do niego podobny. I może się przydać - kalkulowałem rzeczowo.

\*

Jeszcze przed świętami Tomek zrobił mi koronkę na tę nieszczęsną siódemkę. Miał malutki gabinet w mieszkaniu siostry (bardzo ładna ta Kajka Ulotówna, nie pamiętałem, jak jej było po mężu), pracował na uczelni, teraz nieczynnej. Siedziałem z rozdziawioną gębą na przedpotopowym fotelu, a on opiłowywał mój ząb na żywca i opowiadał o swoich starych: zabrali się do organizowania ruchu oporu przeciwko stanowi wojennemu. Wciągnęli w to nawet dziadków, którzy pamiętali POW i byli kombatantami Powstania Warszawskiego. Kpił dosyć wyraźnie i dawał do zrozumienia, że on sam robi coś poważnego. Nie dopytywałem; moim zębem zajął się bardzo dobrze, dużo nie zapłaciłem, bo złoto miałem własne. Skończył, obiecałem dać mu adres Tobiego, przestałem stękać i wszystkim ulżyło.

Obijaliśmy się po domu beczynnie, tylko Alina normalnie pracowała. Chłopcy ciągle gdzieś przepadali, Łapa kręcił się wokół Borsuka i na coś go namawiał. Nie zauważyłem, kiedy w domu zna -



laź się powielacz, a zaraz potem drugi, co natychmiast wypatrzyła Alina i zrobiła straszną awanturę. Zażądała, żebym zrobił „z tym” porządek, więc oddałem chłopcom stary lokal na Pradze i porozmawiałem z Borsukiem: ma ochraniać, osłaniać, ostrzegać. Kazał przycupnąć, dość ruchów jak na początek, tak mi powiedział, gdy przyniósł nam na święta dwa duże pstrągi i trzy karpie od matki z Polnej, nawet tanio.

- A tęczaki sam złowiłem - pochwalił się.

\*

Poczta na Towarowej. Kolejka posepnych i podekscytowanych ludzi, odbieram wysłane przez Alinę paczki żywnościowe. Poczta na Świętokrzyskiej, wysyłam list do Ewy, ekspresem lotniczym. Podobno na Ratuszowej jest czynny automat telefoniczny, który łączy z całym światem. Wymieniam w kiosku sto złotych na drobne, jadę. Pusto, bardzo dobrze, aparat rzeczywiście czynny, wybieram numer, słyszę głos ciotki, krzyczę, żeby dała Ewę, czekam. Mała odzywa się po francusku, słyszy mnie, drze się z radości, a ja widzę, że jakiś typ z całkiem bliska robi mi zdjęcie. Co mi tam, może nawet film kręcić, wrzucam monety zgrabiałymi palcami, słucham głosu Ewy. Mówi, jak tęskni, jak kocha, że chce do mnie, że ciocia Dominika niedobra. Dokuczam jej trochę, chcę, żeby się roześmiała, ona to lubi, już się śmieje i wrzeszczy:

- Dziut, chcę do ciebie! Ja mówię:

- Wszystko będzie jak należy, Małgorzato.

Ona śmieje się jeszcze głośniej i woła:

- Mistrzu! Na tym trzyma się świat.

Jesteśmy razem jak parę lat temu, gdy po kryjomu czytała Bułhakowa, a ja udawałem, że nic nie widzę; mała kłóciła się z braćmi, przerzucającymi się różnymi powiedzonkami z książki, w które ona włączała zdanka wymyślone przez siebie lub wzięte skądinąd...

Znowu zdjęcie. Trzepnąłem się w głowę tak, że czapka spadła mi na oczy. Zobaczyłem jednak idącą w moją stronę kobietę, która przystanęła i patrzyła błagalnie na telefon. Wiedziała, była już pewna, że czynny, trochę tupąła na mrozie, trochę chyba na mnie. Szybko umówiłem się na jutro i, gestem zapraszając kobietę, żeby skorzystała, pobiegłem do samochodu. I wtedy mnie wylegitymowali. No tak, pewnie to pułapka na szpiegów! A niech sobie będzie, co mi tam. Cieszyłem się jak głupi. Ewa już wysłała zdjęcia, powiedziała, że są całkiem dobre i że klisze też wyśle, tylko potem, razem z paczką od cioci dla nas. Och, jak dobrze, zrobię duże odbitki.

Nie ma co się łudzić, w życiu czort karty rozdaje. Nazajutrz automat nie miał słuchawki, kabel wypruli albo wycięli. Markotny wróciłem do domu. „Niech ktoś wam tego mordy skuje”. Spoglądałem z nienawiścią na Borsuka, który znowu przyszedł z rybami. I z kolegą. A niech to diabli, myślałem, witając się, nieszczercze uradowany.

- Franek jestem, jeździliśmy z Tobim nad Wdzydze. Co u niego? - nawijał gładko i wyciągał do mnie wielką grabę. Aha, to ten, co mieszkał z Borsukiem przez ścianę i miał samochód. Więc też przyjaciel Tobiego - kotłowało mi się w głowie.

Ciekawe, czego będzie chciał, cholera nadała takich przyjaciół, metę sobie znaleźli! Ciekawe, skąd mają tyle czasu na wędkowanie.

Poprosiłem wszystkich do kuchni i zerknąłem znacząco na Łapę. Przywitał się niechętnie i słuchał wypytywań Franka o Tobiego: gdzie teraz jest? Co robi? Jak mu leci i czyby nie przysłał chociaż trochę woblerów? Zabrałem się z Borsukiem do sprawiania ryb, a Franek dalej obrabiał Łapę.

- Co robisz? - chciał wiedzieć.

- Teraz nic, teraz wy robicie, ja czekam - wykręcał się Łapa.

- Tak, a na co? - nalegał tamten i wreszcie mój syn, trochę zbrzydzonego dociekliwością ubeka, zagrał swój numer, jak to rzucił studia na SGGW i wylądował na astronomii. Zdziałało.

- Coś ty, będziesz latał w kosmos? - poderwało tamtego.

- Gdzie tam, będę liczył mruganie gwiazd - kpił Łapa, zadowolony, że mu się udało.

- I z tego można wyżyć? - nie ustępował Franek.

- Jeszcze jak - dowodził przyszły astronom. - Trzeba tylko mieć dzianych rodziców i wcelować w Nobla. A poważnie, to ja się na kosmonautę nie nadaję, fizycznie zdechłak jestem na taką robotę. Gwiezdne wojny też mnie nie ruszają, na razie myślę, że chyba astrofizyka obserwacyjna będzie...

Ale Franek nie chciał wiedzieć, co myśli student; już podziwiał nasz piec kuchenny.

- U nas na Poznańskiej też była taka angielfka z duchówką. I takie same kafle. - A potem rozgadał się o lądowaniu Amerykanów na księżycu, że miał wtedy osiemnaście lat, kończył technikum elektroniczne, interesował się akustyką i myślał o szumach w kosmosie... - ale poszedłem do wojska na ochotnika i od razu do pracy w firmie. A ty masz podobno stare płyty Pink Floydów, u nich jest taki fajny kosmiczny szum, dałbyś nagrać - poprosił Łapę. - Mam dobry kasetowiec, Borsuk też. A chcesz płytę Kryzysów?

Trochę za późno wyjąłem koperek z zamrażarki, ale i tak ryba w sosie mojego pomysłu była bardzo dobra. Borsuk i Franek tylko na siebie popatrzyli i zaraz Franek pobiegł do samochodu i przyniósł dwie butelki białego wina. Rozsiedli się, rozejrzeli; Łapa już sięgał po korkociąg, potem postął chwilę na jednej nodze, jak zwykle gdy musiał podjąć decyzję, podskoczył do kredensu i wyjął szklanki do piwa. Ciekawe, co on wymyślił, zastanawiałem się, patrząc, jak hojnie nalewa wino, prawie do pełna. Trudno, niech mu będzie. Ja piłem po

swojemu, a Łapa wyjął z lodówki butelkę wódki i śmiejąc się z gadki Borsuka o dziewczynach pod koszarami, chlusnął chłopakom do szklanek po dobrej setce. Nawet na mnie nie spojrzał, ja na niego też nie, ale pomyślałem z dumą: ma miarę, weźmie ich.

- Dobra jest - powiedział do Borsuka - to gdzie to było? Rozgadali się na wesoło o wojsku, Franek przedrzeźniał swojego pułkownika z Rembertowa, który się jąkał i rozkazy musiał czytać z kartki. Borsukowi udało się opowiadanko o służbie łącznościowej w bazie paliwa w jakiejś jednostce w Gardei. Łapa sprzedał jak swoje przygody Japy ze Studium Wojskowego na Uniwersytecie - nawet strzyżenie do zera odegrał, czochrając się po pełnej ciemnych loków głowie - aż się Borsuk ze śmiechu popłakał i poprosił:

- Polej jeszcze, nie żałuj, wszyscy mieli tak samo. U nas, gdy któryś dojechał w gardejskie lasy i zobaczył, czego tam nie ma, a co jest, no to normalnie się...

- Nie gamzaj! - przerwał mu ostro Franek.

- Przecież to tajna jednostka, przysięgałeś, trzymaj gębę na kłódkę, bo jak...

Już się chciałem wtrącić, ale Borsuka tak rozwścieczyło pouczenie kolegi, że ryknął, rąbnął pięścią w stół, złapał butelkę z sosem „Kabul” i wywijając nią nad głową Franka, krzyczał:

- He, he, he, jaka ona tajna! Wszyscy wiedzieli, tylko Ruskie nie, ty durny tajniaku! Co to, nie znałeś niby mojego numeru, a dzwoniłeś aż do mnie, żebym ci wytłumaczył - odbiło mu się potężnie, myślałem, że rzygnie - boś, ćwoku jeden, nie rozumiał, co Papież mówi o Powstaniu Warszawskim. Nie było tak, nie? Matki i ojca nie miałeś, żeby ci prawdę powiedzieli, babcia twoja wiedziała, a moja nie żyje... - zaczął beczeć i Franek też się rozplakał, smarki im z nosów leciały, twarze czerwone...

Łapa mruknął do mnie:

- Nie biją się, zaraz im przejdzie, zobaczysz... - gdy raptem Franek wstał, oparł ręce o stół i trochę tylko się chwiejąc, zaczął ponuro i poważnie:

- Jedno tylko wiem, prawda, że wtedy, w siedemdziesiątym dziewiątym, wszystkie centrale wojskowe się pozatykały od tych naszych telefonów. I to jeszcze prawda, że mój ojciec kazał mi siedzieć cicho. Ale nie siedziałem, Andrzej, nie siedziałem!

Już nie płakał, ulżyło mu, Łapa mógł, wzdychając ciężko, wrócić cło tematu:

- A ja furt nie wiem gdzie, kto, kiedy był. Ludzie się za dużo ruszają, na niebie jest większy spokój, prawie jak w lesie. Andrzej, przestań chlipać, na miłość boską, przestań. Czy ty nie umiesz wytłumaczyć, gdzie jest ta Gardeja? Mnie wojsko czeka, ja bym wolał w lesie, a nie w Komorowie, rozumiesz? Przecież na monterce się znam...

- E tam, twoje wojsko... wezmą cię do oficerskiej - wtrącił się Franek. - Na rok, co to jest, żadna służba...

- Łyku, łyku i po krzyku - ocknął się Borsuk. - Szkoda, że nie ma piwa. Na wiosnę, jak już będzie spokój, pojedziemy we trzech do tej Gardei, sam zobaczysz. Jezu, jakie tam lasy, a jagody, poziomki, borówki, łochynie - pijanice, nigdzie takich nie ma, bo wstęp do lasu... Cicho bądź! - zgromił Franka - wiem, co mówię. Ja to załatwię, mam swoje chody, dwa lata tam siedziałem, wiem, co robię. Zawsze - wycelował palec w nos kolegi - więc mi tu, Franuś, nie podskakuj, lepiej coś fajnego zaśpiewajmy, no już: „Na rogu Ludnej i Czerniakowskiej straszna tragedia się stała, syn rąbnął ojca siekierą w mózdzek i wtedy krew się polała. Brata powiesił jak ten kapelusz, matkę udusił rękami...” - sumiennie i z uczuciem odśpiewał całą więzienną balladę o strasznym,

beziemiennym mordercy; nie fałszował, wiedziałem, że jego stryjek był organistą, a Borsuk u niego kalikował.

Wcale się nie nudziłem. Coś słyszałem o składach paliwa dla wojsk radzieckich, które grzały silniki w NRD dwadzieścia cztery godziny na dobę, mówiło się o planach na wypadek wojny, nawet dowcipkowano, co cywil ma zrobić, gdy buchnie atomówka. Jakoś mnie to nie dręczyło, miałem w sobie silną barierę immunologiczną; tak samo nie dotyczył mnie problem pisania wierszy po Zagładzie, przeżyłem, piszę, inni też, choćby taki Celan, Słonimski, Różewicz... tyle że mnie nie drukują, pewnie marny jestem albo...

O! Chłopcy zgodnie i czysto odśpiewali „Panią Wiśniewską” i „Bał na Gnojnej”, dopiero „Czarna Mańka” urwała im się na słowach: „...i pokochała dzika go dziewczyna...”. Trochę ochrypli popijali domowej roboty kwas chlebowy, Franek nucił „nie masz cwaniaka nad warszawiaka, nie bądź za cwany, w unrę odziany...”. Nie pamiętał słów, Borsuk mu przerywał i wygrażał pięścią, tamten rwał się do solowej pieśni, ale jak Łapa podał herbatę, do której dołał resztki leczniczego rumu Aliny, ucichli i spokojnie popijali gorący napój.

- Zrób mi kawę, z marago - poprosiłem syna i siorbiąc gorące paskudztwo, myślałem, patrząc na „naszych” ubeków bez odrazy - to zwykli chłopcy, takich jak oni mamy setki tysięcy. Idzie toto do wojska, ćwiczą go, karmią, indoktrynują; tak, strzelali, strzegli, znowu strzelali, według rozkazu, takie jest wojsko, matki ich krzyżem błogosławiły, jechały na przysięgę, wozily wałówki, oni potem ze śpiewem, pijani, w kolorowych chustach wychodzili „z woja”, zapominali o łatwych dziewczynach spod koszar, żenili się, szli do pracy, płodzili dzieci - kolejne pokolenia chłopców strzegących składów paliwa do radzieckich samolotów i czołgów. Chyba

w ogóle nie myśleli, bali się i może woleli powiedzieć sobie - tak samo jak ja - „to już na zawsze”.

Łapa zaczął barytonem, tamci dołączyli i pięknie odśpiewali piosenkę o Staszku, który był apaszem, i jego miłości do Hanki, zdradliwej bogdanki, więc trzeba ją było zabić. Rozjuszyło to Franka i solo zaczął dziarską balladę sprzed chyba stu lat: „Felek Zdankiewicz był chłopak morowy/ Przyjechał na urlop sześciotygodniowy, um - tarrara/ Skończył się urlop, czas do woja wrócić/ Ale Felusiowi żal koleżków rzucić, um - tarara/ Nie tak koleżków jak swojej kochanki/ U której przebywał wieczory i ranki, um - tarara/ Wreszcie go schwytali grudnia trzynastego/ I go zawieźli do biura śledczego um... tr... hm... brr...”.

Nie udało się Frankowi rozweselić nikogo, pękł i zaczął wyzywać po cichu WRON, Jaruzelskiego, Urbana i swojego pułkownika - jakaś, a potem samego siebie. Miałem chętkę podzyrować jego kwiecistą jeremiadę, ale było w niej za dużo żalości, takiego Jeremiasza nie lubiłem, tego choć trochę buntowniczego poparłbym, owszem, i nawet ufetowałem koniakiem z mamuśkowej serwantki.

Zbierali się z ociąganiem, pogadując, umawiając się na coś tam; Franek na boku zapytał mnie, kto to była ta „Unra”, wstydził się. Wcale niezdziwiony opowiedziałem mu krótko o powojennej pomocy USA dla zniszczonej Europy, dla Polski też. I o dramacie z planem Marshalla, jak to było naprawdę. Fukał jak wściekły lis, ale zapytał:

- To nie byli Żydzi, prawda? Roześmiałem się.

- Byli i nie byli, a ten Marshall to z pewnością nie. Generał był z niego świetny, dostał pokojową Nagrodę Nobla. Dziwne, nie?

- Fajnie było, tato, prawda? I dobrze się spisałeś - szepnął do mnie Łapa. - Zaraz wracam, tylko zamknę za nimi bramę.

Niezbyt chętnie dałem Borsukowi adres i telefon Tobiego. Wkrótce okazało się, że nie doceniłem tego, jak skuteczna może być wędkarska międzynarodówka. A przecież żaden z naszych gości nie zapytał o bliźniaków, którzy już siedzieli w Białolece, złapani na instalowaniu Xeroxów w mojej pracowni na Pradze. Alina szalała, ale na tryb doraźny nie było sposobu. Tylko że te aparaty okazały się zatarte - Borsuk załatwił, wczesną wiosną Mat i Marek wrócili do domu.

\*

Alina miała rację, zioła to potęga. Już wczesną wiosną moja żona mogła - i musiała - pojechać za granicę. Paszport służbowy. Rynków zbytu nie można zaniedbać, rząd musi się wyżywić. Oczywiście wpadła do Paryża i razem z ciotką Felą i Dominiką ustaliły, że najlepiej będzie, jak Ewa zostanie u nich na dłużej. Coś wymyśliły w sprawie pieniędzy i tak po powrocie usłyszałem, że „dobrze by było, żeby Ewa zrobiła tam maturę, stać mnie na to...”.

Zaraz, zaraz, myślałem, dlaczego ja milczę, dlaczego milczę? Skrzywiłem się ostrożnie.

- Chcesz powiedzieć „nas”, prawda? Alina zacisnęła usta i namyślała się chwilę.

- Dobrze, niech będzie, że nas - odparła niechętnie.

Oho!, zastanawiałem się. Chce rządzić wszystkim, bo ma pieniądze, albo chce mi zabrać Ewę. A może jedno i drugie? Dość dobrze pamiętałem, jak to było z wyjazdem Ewy i mamuśki latem 1981. Alina sprzeciwiała się uporczywie, matka nie ustępowała, mówiła, że chce odpocząć od wszystkiego tutaj choć miesiąc, może dwa; wmawiała Alinie, że nic nie szkodzi, jak mała opuści parę tygodni szkoły, bo łatwo potem nadrobi zaległości. Moja żona wyprawiała Tobiego. do Stanów, Łapa jej się zbuntował i rzucił ogrodnictwo, Marek i Mateusz już nie dawali sobą rządzić, ja coraz częściej uciekałem w moje srebro. Upierała się mocno



pod dość marnym pretekstem, że nie mamy pieniędzy. W końcu zgodziła się, bo powiedziałem, że zapłacę. Pamiętam, jechałem na lotnisko dosyć niezadowolony z moich kobiet. Ewa bardzo rozsądnie zarządziła:

- Wy wracajcie do domu, Łapa jest nieszczęśliwy, ktoś musi się nim zająć.

Posłuchałem i po drodze Alina próbowała dowiedzieć się, ile pieniędzy dałem matce. Skłamałem, sam wiedziałem, że za dużo, że ona, jak zwykle, uzna to za zgodę na wszystko. I przedłużyła pobyt raz i drugi. To wtedy ostatni raz widziałem ją żywą; zajęty zmaganiem z nią i z Aliną nie zwróciłem uwagi na bagaże mamuśki, dopiero później przypomniałem sobie, że zabrała także pudło z zimowymi kapeluszami, a przecież był sierpień. Coś knuła przeciwko mnie, chociaż wiedziała, jak bardzo tęsknię za córką.

Łapa był rzeczywiście nieszczęśliwy, i to od roku, gdy rozwścieczył Alinę - rzucił ogrodnictwo, zdał na astronomię, musiał ukrywać swą radość przed matką, która cofnęła kieszonkowe, a koszty studenckiego życia przerzuciła na mnie. A teraz i ja go zawiodłem, nie chciałem iść na blokadę ronda, zaciągnięty na wiec studencki na UW podobno nagadałem głupstw. Sam pamiętałem tylko tyle, że oni nie chcieli słuchać zgreda, a po słowach, które cytowałem za Ossowskim o tym, że naszym „obowiązkiem jest baczenie na skutki społeczne nawyków myślowych pozostawionych przez przeszłość”, zaczęli buczeć; ja gwizdnałem przez palce, zrobiło się na moment cicho, zapytałem, czy uważają się za inteligencję, i nie czekając na dalszy ciąg, pojechałem do domu.

Nikogo. Mat i Marek na budowie (oni wszystko tak nazywali, wiece, propagandę na rzecz „Solidarności” i robotę w pracowni kreślarskiej), Alina zostawiła kartkę, że jest u siostry. Byłem głodny, w lodówce pusto, chleb suchy. Smażąc

czerstwe, zmoczone wodą kromki na oleju, myślałem, że też moja żona tak zamartwia się swoją nastoletnią siostrzenicą; Oleńka nie wracała na noc do domu, wpadła w złe towarzystwo, przed karami uciekała i nocowała u koleżanek. Alina czasem pomagała Asi odszukać córkę, zwykle bez skutku. Niby nic takiego, wybryki i bunty młodości, a po latach wydało się, że obsługiwała kilka akademików - za byle piwo, wińsko, skręta, paczkę papierosów, i tak grzała ładnych parę lat, aż wpadła; teraz, ledwie dwa dziesiątki lat później, młodzież na takie zabawy mówi: „dawać w palnik”.

Co za świat, a ty, Boże, wciąż nam rozlewasz „tęczę blasków promienistą”, choć nie ma już „miłości sprzedanej”, tylko zwykłe bzykanie.

\*

Zobaczyłem Ewę dopiero po dwóch latach, w jej czternaste urodziny. Była bardzo ładną dziewczyną, a ja potulnym tatą. Ciągłe nazywała mnie jak dawniej Dziut, obłapiała za szyję, całowała w usta. Nie malowała się, nie farbowała tych swoich brunatnych włosów. Wyrosła wysoko, miała długie nogi, małe dłonie i stopy. Trochę się garbiła, ukrywając piersi. Była bardzo podobna do mojej matki, choć może nie tak piękna. Dławiło mnie w gardle, kiedy na nią patrzyłem. Moja córka, myślałem, czując lekki wzwód na jej widok. Co robić, co mam robić?

Ewa decydowała sama i szybko:

- Mamy dziesięć dni dla siebie, pojedziemy do Marsylii. Dawno chciałam zobaczyć, jak tam jest. Już kupiłam przewodnik. Czytałeś Cendrarsa?

- Nie, nie czytałem - zaprzeczyłem fałszywie. Co mnie teraz obchodzi ten łazik, łgarz, poeta, dziwkarz i przyjaciel huncwotów.

- No widzisz - powiedziała tonem, jakim zwykła mówić jej babka, gdy czuła, że ma przewagę. - Zobaczymy morze i portowe miasto. I będzie ciepło. No, ciesz się!

Próbowałem się bronić, a jakże. Fela wyjeżdżała na święta do syna do Awinionu, Dominika na narty, dzieci też dokądś, lepiej byłoby mi w Paryżu. Chciałem pobyc z Ewą w mieście, choć trochę poznać jej życie tutaj, porozmawiać, poznać, jaka jest, jak czuje i myśli, dlaczego chodzi do synagogi, może namówić, żeby wróciła do Warszawy, oswoić się z jej kobiecością, obłaskawić urodę, opowiedzieć o sobie. Nie chciała słuchać, nic tylko do Marsylii. Użebrałem dwa dni pod pozorem zakupów i pojechaliśmy. Po pierwszej nocy w hotelu postanowiłem wracać. Nie mogłem znieść jej zapachu, byłem niespokojny i podniecony. Wcale nie chciałem poznawać miasta i jego cudów, nie nęcił mnie widok powrotu rybaków z porannych połowów, z miejsca znienawidziłem targ rybny i owoce morza, które ona zjadała z barbarzyńskim smakiem, całą roześmianą buzią. Nie mogłem jeść, spać, pocitem się i ciemniało mi w oczach ze strachu, że Ewa, moja córka, zorientuje się...

Wieczorem wyszedłem sam, powiedziałem, że wrócę późno i żeby poszła spać. Co za obłuda: zrobiłem minę, jakbym wybierał się na dziwki. Co robić? Łaziłem ulicami i uliczkami starego miasta, błądziłem wokół jakiegoś ogrodu, prawie na czczo wypilem w knajpie butelkę ciężkiego wina. Nie mogłem przetykać, od południa nic nie jadłem. Co robić, co mam jej powiedzieć? Przecież jej nie zawiodę, myślałem, tak się cieszy, że jest tu ze mną, niech ma tę swoją Marsylię, niech się raduje morzem, słońcem, kolorami i muszlami, które zbiera. A ja? Obłok w spodniach, tak? Z obolałymi jajami, tak? Ojciec, tata, tatko, tatulek. Dziut.

Miała zwyczaj kołysać lekko rozstawionymi nogami; siedziała na samym brzeżku ławki, lewa noga w lewo, prawa

w prawo i do siebie. I znowu, i znowu. Jakby chciała coś złapać udami i kolanami. Bardzo prosty, niewinny ruch wyrosniętej dziewczynki, dziecinny i kobiecy, nieświadomy jeszcze niczego, trochę chłopięcy, bo nosiła spodnie. Kupię jej jutro spódnicę, sukienkę, niech pokołysze nogami nieubranymi w dżinsy. Chcę to zobaczyć, ciekawy i spragniony zapachu jej ud. Świństwo jak na ojca, ale muszę, muszę.

W sklepie traktowano ją jak księżniczkę. Kaprysiła. Przebierała paluszkami w szmatkach, znalazła hippisowską spódnicę, wygrzebała minispódniczkę, bez żenady przymierzała bikini. Kazała sobie dać podkolanówki i wielką kolorową chustę z jedwabiu.

- Podoba ci się ta czy ta? - spytała, wychylając się z przymierzalni. Zejdź mi z oczu, pomyślałem, zły na siebie, i wesoło pomachałem jej ręką. Wolałem kolor zielony, ale ona wzięła szary ciężki jedwab i miała rację. Przy jej włosach i zielonych oczach tak było lepiej. W hotelu owinęła się tą chustą, oglądała w lustrze.

- Można by tak chodzić po mieście, no nie? - roześmiała się do mnie.

Co by jej obiecać, żeby zechciała wrócić? Łomotało mi w głowie, łupało w sercu, dusiłem się, dławiłem, pociłem. Czwartego dnia zadzwoniłem do Japy, żeby przyjechał jak najszybciej. Och, oprzeć się na kimś, uciec w cudzą obecność, niech mi zwiąże ręce, zatka nos, sypnie wapnem w oczy, napcha gliny w usta. Pomocy!

Nie wiem, co sobie pomyślał, natychmiast zabrał mnie do lekarza.

- Tak, to serce, siostrzyczko, musimy odwieźć ojca do Paryża, niech odpocznie ze dwa dni i wraca do domu. - Śmieli się z Ewą z mojego stanu.

- Nic takiego, skok ciśnienia - mówili. - Taki klimat, tato, wiesz chyba.

Zachwycony urodą siostry Japa obejmował ją swobodnie, przytulał, całował i ze śmiechem wyznał:

- O jakże piękna jesteś, przyjaciółko moja!

Zdrętwiałem, a on pochwycił dziewczynę w talii, uniósł do góry i zakręcił dookoła siebie, jakby była dzieckiem spragnionym karuzeli. O! Ledwie oddychałem z przerażenia zwyczajnością tego, co widziałem. Nie mogłem pozwolić...

Cieszyli się sobą; Japa rozradowany i dumny z piękności siostry zupełnie zapomniał o mnie, Ewa tak samo; troszkę kokietowała brata, zarzuciła mu ręce na szyję i, choć wysoka, komicznie zadzierała głowę i wołała:

- Ależ ty jesteś wielki! Znowu urosłeś!

- Gruby, maleńka, gruby! To jedyna wada Anki, ona świetnie gotuje, ja świetnie jem, no i widzisz - zamachał wokół siebie rękoma.

Świergotali jak jakieś ptaszki, a ja, psiakrew...

A w Paryżu mnie zmoгло. Chciałem porozmawiać z Felą o torebce matki i zapomniałem, o co mi chodzi, zakręciło mi się raz i drugi w głowie, aż się potknąłem o własne nogi, z kina wyszedłem w połowie filmu, w nocy upadłem, idąc do łazienki, i narobiłem kłopotów. Mdliło mnie nawet po wodzie mineralnej Vichy, piłem kranówkę, znów upadłem, męczyłem się w nocy z pęcherzem, wstając rano przewróciłem się na lewy bok i zrobiła mi się w głowie jakaś wirówka, wreszcie utkwilem w fotelu. Niedobrze.

- Jak ty siedzisz? Wyprostuj się choć trochę, nie garb się, patrzeć na to nie mogę, no już, dawaj ten pled. Co go tak ściskasz? - Ewa aż piała ze złości na mnie, rozwalonego w fotelu cioci - babci. Złorzeczyła mi dobre dziesięć minut, a to, że wiszę na poręczu, a to, że powłóczę nogami, że się zataczam i, co najgorsze, że rzygam jak baba w ciąży. Uf.

Gdakała jak kiedyś mamuśka i tak samo jak ona wszystko musiała zauważyć. Na myśl o matce zrobiło mi się trochę lepiej i nawet byłem zadowolony, nareszcie nie muszę nic więcej, tylko siedzieć prosto.

Ale już po chwili i to było niemożliwe, tak samo jak niezataczanie się. Już nie udawałem, że nic mi nie jest, coś mi naprawdę było. I już Ewa, dowodząc małym oddziałem ratowniczym - Fela, Japa, Dominika z córką Patrycją - rzucała krótkie polecenia; sprowadziła trzech lekarzy, karetkę i chyba straż pożarną. W klinice ciągali mnie na wózkach, łózkach i noszach i badali przez pięć dni. I cały czas kroplówka z czymś tam. Dobrze, że znałem język i mogłem pyskować do woli, inaczej by mi nie dali ani chwili spokoju. Obolały i rozwścieczony własną niemocą albo wrzeszczałem na sanitariuszy: Hue! Hue!, albo głośno stękałem, albo do każdej dziewczyny z personelu krzyczałem: Fait attention, cow/Huzia! Putain! Huzia! Laisse - moi tranquille, con! Hue! Ewa. początkowo wybaczała mi wszystko, ale gdy do młodziutkiej ślicznej Sophie wrzasnąłem: Va - t'en! Con! - nie bacząc na nic, uszczypnęła mnie boleśnie i potem jak tylko chciałem coś powiedzieć, robiła mi szczyp; wiedziała, że wiem, że to znaczy: zabiję! - poddałem się i tylko skomlałem cichutko, niech wie, że cierpię, że szczypów z zakrętasem nie wytrzymuję i że się zemszczę. Potem, jak mnie wypisywali ze szpitala i ubierałem się w swoje łachy, lekarka nadzieić się nie mogła, skąd mam tyle siniaków. Ewa milczała, a Patrycja, która była lekarką od czegoś tam, powiedziała z mądrą miną, że to uczulenie na valium daje czasami takie objawy jak te „sinoczerwone podbiegnięcia”.

- Ale uczona - uśmiechnęła się do mnie czule moja najdroższa córunia i dodała: - Daddy it's okay.

Wcale nie byłem dobry ani w porządku. Okazało się, że zawroty głowy, wymioty i tak dalej to skutek czegoś, co

nazywa się „wypadnięcie czynności przedsionka ucha prawego”. Początkowo myślałem, ach, co tam, wypadło, upadło, spadło, no to się podniesie, postawi na miejsce i już. Ale Patrycja patrzyła na mnie srogo, stuknęła jakimś białym patyczkiem w swoje olśniewająco białe, trochę za duże zęby i do Ewki suszała coś nerwowo; moja córka słuchała, uśmiechała się cały czas i zaraz, bez żadnych ceregieli, z czarującym okrucieństwem dziecka przetłumaczyła.

- Błądnik ci wysiadł, Dziut, nie masz jednego resoru, martwić się nie musisz, został ci ten drugi. On się zajmie twoim zmysłem równowagi i pomogą mu inne struktury mózgowe, tylko się, tatkuś, postaraj trochę i ty, dobrze? Zawsze byłeś taki zrównoważony, no to będziesz miał odmianę. Po angielsku to zdaje się dizzy albo giddy, Olga ci wytłumaczy. A teraz masz od jutra chodzić, rehabilitacja, sam rozumiesz. Jasne?! Poleżysz tutaj jeszcze parę dni, a potem się pomyśli. Ty, co ty?!

Zemdlałem, a po wybudzeniu kazałem Patrycji powiedzieć, co to są te „inne struktury mózgu”, dziewczyna jąkała się, Ewka naszeptywała do mojego ucha:

- Odczep się od niej; ona się na tym nie zna, ona jest od onkologii. Słyszysz?

Słyszałem, widziałem, czułem zapachy i smaki. W porządku. Wyciągnąłem ręce przed siebie, zatarłem dłonie, w porządku, więc spróbowałem wsadzić łapę pod białą spódniczkę Sophie. Nie udało mi się, we łbie zawrót, oczy płasają jak motylki. No to trudno, zrezygnowany zasnąłem, obudziłem się i tak przez kilka dni; była przy mnie to Ewa, to Sophie. Czułem się coraz to lepiej, ale udawałem, że ciągle kręci mi się w głowie. Kręciło się, nie na tyle jednak, by zniechęcić do zagładania w dekolt pielęgniarki - Sophie miała tam dwie piękne owalne perły. Nie chciałem być niegrzeczny, ale korciło strasznie, zmyliłem ją snem i kwileniem,

podsyphiałem, spoglądałem, znów kwiliłem i chlipałem, zasypiałem i w tym śnie - nie - śnie powiedziałem:

- J'ai faim... allaite - moi... - i już wsunąłem rękę pod fartuszek - i już miałem w sobie jej odurzająco - gładko kulistą prężność... miękkość i... trochę ciasną bliskość drugiej perły prawie... prawie... okrągłej... chcę... ssać... - j'ai faim... allaite - moi... i chwyciłem pierś wargami.

„...i to było dobre”.

Nakryła mnie Ewka, spałem słodko z kciukiem lewej ręki w ustach, Sophie trzymała dłoń na moim czole, moja prawa ręka na podołku dziewczyny. Ewa patrzyła surowo, usiadła na miejscu pielęgniarki i zaczęła:

- Dziut, tak nie można, ludzi trzeba szanować, tyle razy mówiłeś, miałeś pamiętać, i co? Jesteś okropny zbereźnik, okropny! O mało żeś się nie przekręcił i proszę, co wyrabiasz! Bożeż ty mój (użyła języka Paraski!), co ja się z tobą... Dziut, dlaczego płaczesz, daj spokój!

- Bo co? - zajęczałem i zasłoniłem głowę rękoma. Niby co jej mogło przeszkadzać moje ssanie palca, przecież o tym wiedziała, wszyscy wiedzieli. Siokałem kciuk do szesnastego roku życia, Titi i dziewczynkom to nie przeszkadzało, tylko mamuśka była przeciw. Olgi się wcale nie wstydziłem, Olga śmiała się i mówiła Sins of the Mother, a tak całkiem to mi przeszło dopiero przy Alinie.

- Już nic, tylko się nie martw, nie jestem na ciebie zła. No spójrz na mnie, kocham cię przecież, ty cudaku. No już, niech będzie po twojemu, za dwa dni zabieram cię do domu i pamiętaj, ani mru - mru, kumasz?

Nie wiedziałem, co to za słowo, ale kumałem i z radości krzyknąłem: - Hue! Wio!

Zanim co, musiałem powalczyć z lekarzami, a że Patrycja dotrzymała obietnicy i przyniosła mi podręcznik laryngologii, i to po angielsku, byłem mądry. Na obchodzie zażądałem



informacji o stanie mego zdrowia i co mnie czeka. Profesor nie był ani chętny, ani zadowolony; otoczony asystentami i pielęgniarkami coś mendził pocieszającego. Miałem to w nosie i kategorycznie zażądałem informacji. Ach, ta francuska medycyna, cała terminologia w ich języku, toż to czysta bezczelność narodu Kartezjusza! Ja o endolimfie, mikrokrążeniu, woreczku błoniastym i łagiewce, a profesorunio do mnie, czy może „leczę się psychiatrycznie, jakaś obsesja”? A co to, czy ja jestem jakiś Woody Allen, żebym codziennie potrzebował psychoanalityka? Jednak wydusiłem z niego zdanko, że najpewniej „ulało się panu troszkę, to nic groźnego, takie przypadki zwykle się kompensują po paru miesiącach leczenia i...”

- Co? Parę miesięcy? - nie uzyskałem jednak ani słowa więcej, wszyscy wyszli, a ja życzyłem głośno i bardzo źle prostacie pana profesora i jego podwładnym: (wszyscy zdrowi!) A żeby was chociaż wzdęło! Nienawidzę zdrowych lekarzy! Boże, daruj, ale przecież ustawiczna wirówka we łbie to coś straszego.

Straszne miało dopiero się stać, Ewa dowiedziała się o wszystkim od profesora, bo rozeźlony moimi pouczeniami wezwał ją do swego gabinetu i radził zabrać mnie do sanatorium. I ona to zrobiła, i na dokładkę zbeształa okrutecznie, jak mówi Paraska. Po dwóch tygodniach wróciłem do domu, do Warszawy.

\*

„Evviva Parte! Człowiek zginąć musi”.

K. Przerwa - Tetmajer, "Evviva l'arte!".

Nie zginałem. I to dzięki sztuce, medycznej oczywiście. Siedzę na tarasie i czuję się jak na ganku naszego starego domu; kwitną czerwone pelargonie, jest późne lato, kobeja obsypała się zielono - fioletowymi kielichami. Przed swoim

wyjazdem do sanatorium Alina ściągnęła Paraskę, ktoś musi zajmować się rekonwalescentem - mam jeść siedem razy dziennie, bo schudłem coś za bardzo. Więc Paraska gotuje; Alina nauczyła ją mojej diety, to był chyba poważny kurs, bo rozmawiały całą noc. Dostaję małe porcje, jem i ciągle jestem głodny. Nie utylłem, więc Paraska od razu zrobiła raban, że „...pewnikiem to rak”, ale dała się uspokoić. Teraz ciągle przybiega z talerzem, rondelkiem, miseczką pełnymi pyszności, żebym tylko zjadał, a ona mogła się wygadać.

- Już nie wytrzymię, muszę powiedzieć, jak to było z ichnimi amburgerami. Sama nie jadłam, dzieckom nie dałam, nauczyły się wraz, co to nasze. Jedzo pierogi, kulebiaki, a ze zup to ciągle żur i kwaśnica, no bo mojego rodzina je goralska, więc my się ugodzili pół na pół, raz tak jak one, raz tak jak po mojemu. Mowę też mają taką, a ten czwarty, to mu Józus, jak panu, a moja córeczka je Halinka, una wyśpiewuje syćko lepiej niż ja, kiedy panną byłam. Już niesę maliny. Pan zjedzo same czy ze śmietaną? Co tera z moim ślubnym? A nic, tylko na początku się stawiał, jakżeby nie, próbował, ale z kawalerskiego życia wyjść musiał. Najbardziej to się do lodówki pchał, choć już był napity. Dobra, myślę, raz i drugi odpuściłam, teściowa tylko na mnie mrugała. Mówię - dosyć tego - on odpysknał grubo, to ja go z tej szafki za kołnierz i jak nie prasnę o ścianę, jak łokciem nie poprawię, to i zara grzeczniejszy się zrobił i od ta pora po piwsku raz dwa spać się kłado, chudzina moja.

Ładna ta moja Paraska, tak bardzo się nie zmieniła, śpiewa przy byle robocie, a gdy podlewa ogródek i się pochyła, z przyjemnością patrzę na jej wielkie dupsko, pięć ciąż to nie byle co dla dziewczyny. Swoją drogą ten jej mąż musi być niezły jebaka, chociaż taki niepozorny i niby nieśmiały; powiodło mu się, babka cały majątek zapisała na niego.

Sporządziłem testament. Nie, żeby się przestraszył, że umrę, bo wciąż nieśmiertelność wydawała mi się możliwa, przynajmniej moja. Ale raz pomyślało mi się, a gdybym umarł? I zaraz, natychmiast - Boże, co ja bym robił bez Ewy! Chytrze wykombinowałem, że gdy uporządkuję sprawy ziemskie, to i te inne jakoś mi się uładzą.

Krótko o testamencie - wszystko zrobiłem według przepisów. Na pierwszym miejscu Paraska, dla niej przeznaczyłem dwie działki na Mokotowie; marzyła o zamieszkaniu w Warszawie, ale tak jak my, w domu z ogrodem, i wiedziałem, że zbiera na to pieniądze. Więc niech ma trochę pomocy ode mnie. To ona dała mi Ewę i nie pchała się do matkowania; wiedziałem, co to znaczy oddać dziecko, znałem dobrze zachłanność macierzyństwa. Całą resztę schedy pozostawiałem Ewie, wraz z moim skarbem - skrzynią przywleczoną z Antwerpii, którą tak naprawdę to ukradłem; dawno to sobie wybaczyłem jako jedyną słabostkę. Ewa będzie wiedziała, co ma zrobić z rodzinnym majątkiem, tym bardziej że Alina dorobiła się swojego.

Moje truchło poleciłem skremować; to mi się należy tak samo, jak każdemu Żydowi z mego pokolenia; trochę też na przekór Idalii, starszej siostrze Aliny, która niedawno pochowała męża, zmarłego po ciężkim wylewie. Ciągle o tym mówiła, co było normalne, żałoba, ból i tak dalej. Złościło mnie, że nie spełniła jego ostatniej woli co do spopielenia, że teraz obnosiła się ze statusem biednej wdowy, że nie chciała przyjąć żadnej pomocy. Pamiętałem, jak opiekując się chorym, uparła się, by wiedział, że to ona, prawowita żona, karmi go i przewija, co uparcie negował - on jest w obozie, umiera na pryczy, widzi, że obok zdycha jego przyjaciel, i że przychodzą Cyganki w kolorowych spódnicach, to one dają im jedzenie i picie. Zbita z tropu gonitwą myśli męża, zmęczona, domagała się jednak, żeby on - w chwilach przytomności -

uznał, że to ona nim się opiekuje, i napadła na biedaka: - Niby co ja tu robię, czyją jestem żoną, no powiedz! - a on na to bardzo grzecznie, z należną atencją: - Piłsudskiego, Aluś, Piłsudskiego, czołem, rączki całuję...

A do tego te robaki, co to wszyscy cieszą się, że ich zjedzą... Przypomniałem sobie stołówkę uniwersytecką, gdzie chodziłem, żeby zobaczyć się z Olgą, która tam jadła ze swym ówczesnym adoratorem, studentem ostatniego roku wydziału lekarskiego UW. Facet był bardzo, ale to bardzo przystojny i nie miałbym przy nim szans, gdyby nie to, że cierpiał na wilczy apetyt i żeby się najeść za frajer, opowiadał różne kawałki z Zakładu Medycyny Sądowej; ludzie, słysząc o larwach muchy plujki żerujących na zwłokach, rzucali jedzenie i uciekali od stołów, a on wtedy opychał spore resztki z talerzy. Nie brzydził się i trudno mu się dziwić, jak na co dzień miał do czynienia z tyloma robalami, że je zgarniano ze zwłok szufelką i że niektóre potrafiły skakać, a mucha trupia to dopiero...

Olgę bawiły takie opowiadki, mówiła, że są zmyślane, że Jurek należy do tego typu ludzi, co to wyrwą roślinkę, żeby zobaczyć, czy ma dobre korzenie, ale nie oprą się pokusie zmyślania. Ja się tych gadek nie bałem, śmierdziało mi tylko stołówkowe jedzenie, więc chowałem nos we włosy Olgi, co chłopaka dość złościło, ale i tak odpadliśmy obaj, Olga wyjechała do Londynu na pogrzeb matki, Angielki zresztą. Teraz, pisząc testament, surowo nakazałem kremację, żadnych robaków.

\*

„Bawiąc się balonami i małą dziecinną trąbką Pracuję nad Końcem Świata”.

B. Cendrars, W sercu świata

Taka smarkata, a jak się z nią w szpitalu liczyli. Nic dziwnego, ona z wyglądu jest zupełnie dorosła, z postępowania też tak można wnosić, no i przecież to moja córka. Pewnie że Patrycja dużo pomogła, jako lekarz doradzała Ewie, jak i co robić w szpitalu, a do tego całkiem dobrze udawała, że nie widzi moich wybryków. Fajnie wyszło z tym wysyłaniem mnie do sanatorium, ja coś bredziłem i opierałem się, Ewa wzięła papierki i prospekty, lekko kopnęła mnie w kostkę, żebym był cicho, ja nie chciałem czegoś podpisać, wrzasnąłem, że nie, na co ona syknęła z uśmiechem:

- Siedź cicho, złamasie - dostałem mocniejszego kopa w to samo miejsce i już podpisywałem, i już wylądowaliśmy u Feli, która zaczęła labidzić, że gdyby Charles żył, to wszystko można byłoby zrobić dużo lepiej. Chciałem powiedzieć, że wcale nie wybieram się do sanatorium, ale Ewa znowu mnie kopnęła w kostkę, już chyba spuchniętą, więc skwapliwie przyznałem ciotce rację, a niech jej będzie, moja córka...

Babrałem się w rozpamiętywaniu mojej doli i niedoli, doprawiałem wspomnienia obrazkami Ewy, dziecinnej i cholernie dojrzalej, rozczulałem się myślą o perłowych piersiach Sophie i prawie beczałem z żalu, że ich nigdy nie ucałuję, kombinowałem, o co by tu jeszcze zapytać Paraskę, zbierającą się już do wyjazdu i kupującą w Cepelii koniakowskie serwetki na prezenty, próbowałem dokuczyć jakoś pani Lodzie i Alinie... ach, co ja wyprawiałem, byle tylko wyłgać się, jakoś wymigać z tego, co powinienem zrobić...

Miałem władne ręce, sprawny umysł i dość sił; Fela oddała mi torebkę matki, były w niej jakieś drobiazgi i staroświecka kosmetyczka z zawiniętym w batystową chusteczkę różańcem. Nic takiego - nieduża garstka koralików pachnących drewnem sandałowym.

Zabrałem się do roboty z postanowieniem, że szybko ją skończę. Kilkadziesiąt paciorków, większość to zwykłe kulki z dość starego drewna, kilka matowych szmaragdów, kilkanaście bezbarwnych hiacyntów, lekko tylko pobłyskujących zielonością, i osiem brunatnych pestek rozdzielających zdrowaśki. Te pestki były najciekawsze, nie chciałem ich uszkodzić, otworzyłem je bez trudu: pięć było pustych, trzy miały w środku małe brylanty. Najciekawszy był koral przy spojeniu - krył malutką szparkę, ciasną i pachnącą jeszcze gorzkimi migdałami.

Co moja matka wiedziała o różańcu? Chyba tylko to, co zechciał powiedzieć jej szwagier - różaniec dostał zamiast honorarium od kobiety, której syna uratował, operując w porę wieloobjawowy skręt kiszek. Że był to przedmiot cenny, wiedział z pewnością, matka młodzieńca była bez pieniędzy, on nie śmiał odmówić daru; na kosztownościach trochę się znał, sam zbierał etruskie skorupy i precjoza. Być może nie doceniał wartości kamyków i nic nie wiedział o schowkach? Ale skąd wiedziała matka, jak na to wpadła? Nijak nie mogłem się domyślić, nie mogłem też rozeznaczyć sposobie zrobienia supełków, chyba zawężlonych szydełkiem na gładkim i mocnym sznureczku. Aha, przy różańcu brak było krzyżyka, a nawet śladu po nim, bo w tym miejscu przymocowano było jak główkę puciołowatego aniołka; przyglądałem mu się z uśmiechem, coś mi przypominał i nagle mnie olśniło - Ewa! - listy matki do Feli! - i już dzwoniłem do Paryża: moja mała szelma obiecała przeszukać listy, jak tylko ciocia wyjedzie do Awinionu, w przyszłym miesiącu.

Zaraz padnę, dosyć na dzisiaj, już późna noc, siedziałem nad tajemnicą staroci kilkanaście godzin i teraz czułem się jak w malignie, kręciło mi się coraz bardziej w głowie. Magia czy

co? Muszę się porządnie wyspać, za dwa dni mam badania ENG i lepiej, żebym był w formie.

Już jestem po badaniach, napisali, że mój stan to „skompensowane wypadnięcie czynności przedsionka ucha prawego”. Bardzo ładnie, od razu odmówiłem podpierania się laską i zacząłem się uczyć chodzenia z zaciśniętą pięścią, pani doktor powiedziała, że to całkiem dobre ćwiczenie rehabilitacyjne mojego pomysłu.

\*

„Potoczyły się oczy suki Żłocistymi gwiazdami w śnieg”.  
S.A. Jesienin, Pieśń o suce

Bobrowałem w kredensie i szufladach komody, wygrzebując srebrny złom, i odnalazłem wielki widelec mojego pradziadka, Teodora Japalskiego, i dużą rączkę jego połamanej łaski; musiała to być straszna laga i pewnie bym się jej bał, gdybym pamiętał coś więcej niż to, co matka mówiła. Zostawiłem papierośnicę i ramkę do fotografii, zgarnąłem jednak trzy srebrne łyżeczki do kawy, od dawna nieużywane. Wszystko to zamierzałem wykorzystać do zrobienia małej płaskorzeźby; ot, dobre zajęcie na posuchę stanu wojennego. Rysunek miałem gotowy i ciągle mi się podobał. Nie ustawałem w pracy, dużo rysowałem i znów spędzałem większość czasu w pracowni. Chłopcy zrobili mi świetną pryczę, na której mogłem bezkarnie wylegiwać się i parę razy dziennie robić ćwiczenia korygujące coś tam w kręgach szyjnych.

Cniło mi się okrutnie. Nocami śniłem o Sophie i widać to jej perłowe piersi ssąłem ciągle, bo i tego dnia, gdy Alina budziła mnie gwałtownie, zawstydziłem się moim zbyt głośnym mlaskaniem.

- Wstawaj szybko, już był listonosz, mam list od Ewy. Jadę do niej natychmiast, musisz mi pomóc.

Alina zawsze łatwo się czerwieniła, ale teraz miała rozpalone policzki i czoło, na szyi plamy, nerwowo pstrykała palcami, tarła dłonie i krztusiła się herbatą.

List Ewa napisała przed dwoma tygodniami, a przecież wtedy Alina była w Paryżu! Co się dzieje, na Boga? Co ona pisze?

Mamo kochana, jesteś tutaj i jest tak, jakby cię nie było, piszę do ciebie, zamiast po prostu porozmawiać. To nie dlatego, że poszliście do teatru, lecz dlatego, że ja muszę mieć to napisane. Wiem, że postarasz się zrozumieć tak samo jak wtedy, gdy napisałam wiersz i miałam wtedy pięć lat i wszyscy się śmieli, tylko ty jedna nie, bo to był o miłości do ciebie wierszyk, do dzisiaj go pamiętam i ty pewnie też. Teraz piszę, bo chcę ci powiedzieć, że się strasznie boję, że nie dam sobie rady, i boję się tego, co wtedy będzie. Rozumiesz? Nic nikomu nie mówiłam, ale mam taką potrzebę powiedzenia, co ja czuję, że już nie mogę wytrzymać napięcia. Ja wiem, zawsze są dwie strony i ta druga może wcale nie mieć nastroju do słuchania, ty cały czas byłaś taka rozbawiona i zabiegana, ale jesteś przecież głęboko wprowadzona w moje życie i dlatego piszę i powtarzam: wiem, że mnie zrozumiesz. Ja bardzo chcę być nieuciążliwa i stąd połowa napięcia, które mnie dręczy, a do tego przeczytałam Fausta.

Mama, ja się boję, a gdy kiedyś bałam się, że mi piersi nie urosną, ty pomogłaś i urosły. Teraz boję się, że nie zdam egzaminów, i to nie ma nic wspólnego z moimi stopniami. Strach, lęk i obawa przed życiem uczepiły się sali egzaminacyjnej, stoję i nie mogę nic powiedzieć i odpadam (kompletny przypał, tak mówi Monisia, co niedawno przyjechała z Polski), jestem spalona, niknę, czuję, że mi ręce i nogi odpadają, że jestem jak ten kaleka, widziałam go, taki kadłub na stołku, dmuchał w zawieszony przed ustami organki, robił piękną muzykę i ludzie dawali mu pieniądze.



Czuję obrzydzenie, nie mogę patrzeć, ja nie chcę! Zaklinam świat, sprawiam sobie ból, szczypię się i drapię, niech boli, byle tylko przestać się bać i egzaminów, i życia.

Posłuchaj jeszcze trochę mamo, powiem ci, bo ty mi kiedyś powiedziałaś, że nigdy mnie nie zostawisz, nawet gdyby mnie coś sparaliżowało naprawdę, cieleśnie. Więc ci mówię, ja już chciałam się otruć, już sobie wszystko przyszykowałam, chciałam wypić taki niezbyt szkodliwy związek chemiczny - siarczan miedziowy, do którego wpuściłam trochę rtęci z termometru, ale tego nie zrobiłam, bo sobie pomyślałam, że mnie odratują, będą leczyć i tylko mi narosną zaległości w lekturach i w ogóle w nauce, czyli same kłopoty, i się tego zlekłam. Mama, tak naprawdę to ja chciałam żyć i zrobiło się tak jak w dzieciństwie, gdy wydało się moje „przestępstwo”, bo ci stłukłam twoją tęczową szklaneczkę, pamiętasz? Miałaś takie dwie, ale powiedziałaś, że jak jeszcze raz zrobię coś takiego, to ty każesz zapracować i odkupić w Desie taką samą. Przeraziłam się, myślałam, jaką pracą mogłabym zarobić pieniądze, i jednocześnie bardzo mnie kusiło, żeby tą drugą szklaneczką też rąbnąć w ścianę, lecz miałam pomysł tylko na kopanie kartofli na zarobek gdzieś na wsi, czyli w PGR, i to było tak straszne, że się rozplakałam, a ty pomyślałaś, że płaczę z żalu, i było mi wstyd. A dzisiaj nie wróciłaś z teatru, poszłście na kolację, czekałam, myślałam, że umrę ze strachu, a przecież mam dopiero szesnaście lat... a śmierć...

Alina wzięła trzy miesiące bezpłatnego urlopu, ja pobiegłam do Borsuka, żeby przez swoją siostrę w Orbisie załatwił bilet, i to wszystko się udało. Czekaliśmy na samolot, ona zaczęła się martwić, jak sobie dam radę: pani Loda przy wnuczce, Łapa na stażu w obserwatorium... ja: znam szesnaście sposobów robienia jajecznicy i omletów, jajek nie

brakuje... ona: będę przysyłała paczki... ja: ...i sery, bardzo proszę, sery, parmezan, pamiętaj!

\*

„Materia snów się nie starzeje...”

T. Różewicz (w rozmowie TV, 23 czerwca 1998)

Do wszystkich, wszystkich, wszystkich: wyłączyć radia, telewizory, lodówki, pralki, suszarki, telefony, nadajniki, agregaty, akumulatory, aparaty... Uwaga, nadchodzi. Cisza. UWAGA, UWAGA. F - 1, C - 3, H - 5, R - 5 zbiórka według podanego porządku czasu i miejsc. W rękach koszyki: chleb, sól, miód, jeden nóż. Ruszać kolejno o godzinie wyznaczonej przez dowództwo... Najpierw... Nie, tak, trzeba. Błysk: DON'T WALK! Ostrzeżenie? Co robić? Można zabrać tylko dwoje dzieci... Co robić? Trzeba podrzucić komuś Ewę. Komu? Sąsiedzi nie chcą, wolą Tobiego, bo się ładnie bawił z ich Wiktorem. Idziemy, ale trochę z boku, by w razie czego... Ciągnę małą, znowu włożyła palec do buzi, zaraz będzie rzygać. Tłum wali do kościoła, my na plac za komendą. Autokary buczą, szumią silniki, kolejka, gdzie mój koszyk?, nie wiem, szukam, bo sprawdzają. Uciekło mi miejsce w kolejce, poleciało, pusta dziura. Muszę dogonić, ale jak dogonić pustkę, która umyka. Ciemno, lepiej stąd odejść, warkot motorów i tak daleki, odjechały autokary pełne jak wozy zboża, uciekam obok śmietnika i przez park po schodkach w dół, to przejście podziemne. Ewa, uwieszona na mnie, ledwie idzie, już wiem, schowam ją w okrągłaku, o, jak jej wygodnie, zasnęła. Teraz ja - pędzę z powrotem, łatwo mi się idzie, bo frunę, i już opadam pod płotem, śpię chwilę, a tak dobrze zasnąć znienacka. Dalej, do domu, pusto, cicho, widno, nie ma ludzi, liści, psów, nie ma ptaków, to nic. Idę do domu, przecież uciekłem. Bonifraterska, Muranowska, skręcam w Nowotki. To tu. Jasno, nie ma drzew, domy do połowy

zwalone, górne piętra leżą na trawnikach równiutko do góry nogami. Idę szparą między murami, przeciskam się, ledwo oddycham, wciągam brzuch, spinam pośladki, ręce rozłożone na piaskowcu, wcieram się w ściany, plecy bolą i tak czołgam się na stojąco do bramy i na podwórko. Już, już. Pusto, wszystkie domy zmiecione, na zachód aż do pomnika Bohaterów Getta betonowy step, a dalej nad Gęsią, Dzielną i Pawią aurora borealis drży i wieje zielenią na północ. Klatka, włączę na pierwsze piętro prawie na czworakach, drzwi otwarte, okna zamknięte, półmrok. Wpadam i zamykam wszystkie drzwi. Ulga, trochę siedzę na podłodze, zrywam się i do porządków. W holu trzy trupy, szare, napuchnięte prochem toboły, muszę wyrzucić, najlepiej przez okno w pokoju, ciągnę truchła, daję radę... Łazienka, umyć ręce, a tu trupy na podłodze, cały stos, znowu dźwigam i wypycham przez okno, nie patrzę, nie słucham plaśnięcia na chodnik. Już mogę się umyć, jeszcze tylko zamknąć drzwi do innych pokoi. O, jest światło, włączyli? - nie, to tylko blask od tamtej polarnej zorzy, ale srebrny. Skądś ciurka krew i wlewa się niewidocznie pod podłogę i dalej niewidocznymi szparami. Spoglądam do góry, nic, to od sąsiadów z lewej. Klucze, gdzie klucze, muszę zamknąć i pobiec po Ewę. Lecę, biorę dziecko na ręce, niosę, kładę na kanapie, otulam sobą, jak ciepło...

\*

- Dojedziesz do pętli i tam wysiądziesz - powiedziała ostro i tyle ją widziałem. Gdzieś musi być ta pętla, tramwaj czy los - wszystko jedno. Pętla musi się jakoś zapętlić, chyba tam jest ósemka, przecież kiedyś tak było, w ten sposób wszystko się zawraca i od początku. Nie dosłyszałem, czy domy po lewej, czy po prawej i z której strony ta droga w pola ze słupami o śpiewnych drutach. Ona tak szybko wyskoczyła przed tamtym zakrętem, że nie zrozumiałem, którą stronę pokazuje palcem, i nie zdołałem zapamiętać. Tramwaj jedzie

cały czas pod górę i już ma dojeżdżać do pętli, skręcać, zawracać, a tu raptem znowu zjazd w dolinę. - Gdzie jest pętla? - pytam głośno. Nikt nie słucha, nikt nie odpowiada, wszyscy szykują się do wyjścia, ciągną tobołki i kosze ze słomy jak snopy zboża. Niech będzie, wysiadam i ja, ale niepewny, zupełnie jak wtedy na Chłodnej, kiedy miałem iść z Łuckiej do pani Strakacz. Tam też był zakręt blisko pętli, drzewa ani jednego, ulica wybrukowana polnymi kamieniami... idę, idę...

...wreszcie trafiam. - Ja w sprawie pracy - mówię do portiera, a on kciukiem pokazuje napis i strzałkę. Idę i myślę, co to za firma? Nazwy nie podali, ale ja muszę do pracy, wszystko mi jedno, biuro, fabryka, supermarket. Idę i trafiam do sklepu, muszę kupić ubranie, to jest uniform, nawet niedrogo i ładny. Moje łachy do osobnego worka i do zsypu, nie martwię się, jakoś przecież potem znajdę. Spodnie mam miękkie, bluzę też, bardzo wygodne buty. Patrzą, a to skarpety zapinane na pasek. Może być i tak, myślę, byle do pracy. Sprzedawca podaje mi czapkę z daszkiem i zgarnia forszę do kieszeni. Na pewno kradnie albo taki tu porządek. Ruszam i zaraz chcę wrócić po coś, a tu ściana bez żadnych drzwi. Potrzask, już się boję, już nie chcę tej pracy i zaraz przypominam sobie, że przecież muszę. Szukam wyjścia, znajduję drzwi bez klamki, to winda i zaraz korytarz, pełno ludzi, wszyscy przyszli po pracę. Nie wiem, co dalej, idę, trafiam do wejścia za napisem AUDIO TELE, już wiem, będzie egzamin, już wiem i się nie boję. Szybko mówię, co trzeba, biorę karteczkę z numerem 1414, nie pytam o nic, chcę też załatwić pracę dla pani Chciałowskiej, bo prosiła. Zgłaszam, nie pamiętam, ile ma lat, coś zmyślam, podpisuję, zgadzam się na dwa tysiące i akord, nie myślę, że jest za stara na wyścig, niech się oni tutaj o to martwią. Wreszcie wychodzę z wiadomością, że do pętli i w lewo... Buty

rozdeptałem, idzie mi się coraz gorzej, muszę uważać, stawiając nogi na gęstych schodkach, chodnik wyślizgany, schodki oznaczone i to rzeczywiście coś znaczy, trzeba uważać, nie wiem, co to może być za znak. Idę do pętli. Aleja na Skarpie, tam była ambasada francuska, z matką tam byłem przed wyjazdem do Francji, jeszcze przed wojną. Wychodzę z plątaniny korytarzy i uliczek na urwisko, po prawej wysokie domy, po lewej nic, polna droga, cykoria podróżniczek kwitnie na pogodę, zielsko suche, nie ma żadnej pętli, tamci poszli wprawo, poczekam na pętlę, przecież to nie jest na niby, wszak było powiedziane, było...

\*

- Tu pąki, tu pająki, tam cykady... - rozglądałem się uważnie po drewnianych ścianach, szukając śladów czegoś znajomego. Nie znałem tego domu, wolałem nie ruszać się z miejsca i nie patrzeć na miękką podłogę. Posiedzę, poczekam, potem zobaczę te cykady. Niech mówi, co chce, pąki widzę, pajaków nie ma, ona chyba trochę zmyśla, chociaż nie wszystko, bo zapach kadzidełka, owszem, czuję, cykady słyszę, śpiewają w sąsiednim domu, tam gdzie na dachu duży ogród. Japońskie cuda architektoniczne, bambusy, wachlarze... ona coś mówi dalej i zawija rękawy kimona...

Przecież to Ewa. Śmieje się. Nie, szlocha. Zaraz, zaraz, co ja widzę, co. Niech no popatrzę, ruszę się, podejść bliżej, ktoś tu jest, ktoś mi ją zasłania cieniem. Trzeba sprawdzić, już. To mężczyzna, stoi teraz tyłem do mnie, podpira się czymś i prze do przodu, na nią... Ewa wychyla twarz z cienia, blask jej czoła, skroni i policzków rozsuwa mrok, oczy przymknięte, włosy rozpuszczone na nagich ramionach, cofa je, ręce związane na plecach, szyja i piersi podane do przodu jak na sztalugach. Taki obraz. Co to, kto to, gdzie to? Niski sufit, białawe ściany, kąć pokoju, na macie tatami czarny materac. Mężczyzna wspina się rękoma na jej barki, ciągnie do siebie,

popycha na ścianę, chwieje się, ręce ma podparte od dołu metalowymi rurkami, to zbir, zabije ją tymi kulami albo zgwałci. Rzucam się na niego, chcę chwycić za kark i spodnie, oderwać, odepchnąć, zgnieść, wykopać, zabić. Ewa ze łzami na twarzy, podniecona, szczęśliwa, uśmiechnięta, podtrzymuje go, przyciąga do siebie, kładą się, on na niej, ona go ogarnia, obejmuje... Nie! Chcę krzyczeć i nie mogę. Szarpnię go i wołam: - Nie! - a wtedy ona mówi do mnie powoli, łagodnie: - Nie widzisz, że to kaleka?... Patrzę, ona wsuwa się głębiej pod niego, niknie, ginie, przepada... Krzyczę i słyszę, że krzyczę, łapię biedaka za kołnierz, muszę zdjąć go z niej, wyrwać, odrzucić precz. Ewa, już bezwładna, śmieje mi się w oczy, chętna, poddana, odtrąca mnie, lekko dotyka i odpycha moją twarz i ręce, dotknięcie jej rozpalonych dłoni podnieca mnie, muszę odejść do łazienki, a tam pani Loda patrzy i mówi przed siebie: - Olaboga, jak pan wygląda! Coś jej muszę powiedzieć i wtedy ona ze smutkiem: - A to insza inszość, proszę pana... - Jak ja nic nie wiem - odpowiadam; budzę się na podłodze, mówię cicho, prawie bezgłośnie, chociaż krzyczę w środku siebie, łomot w głowie, gramolę się na kanapę, nie wiem, co dalej, łapię sens zdarzeń, a więc to tak: „To nie są kamienie, ale grób dziecka”.

Już wiem, to Frost, Robert Frost, poeta. Albo „Sztuka wyciągania wystarczających wniosków z niewystarczających przesłanek”.

\*

W ten sen wchodzę gładko, boleśnie i zawsze tak samo - bokiem. Zgięty, skurczony, skulony, zwinięty w sobie, z gardłem pełnym krwi rozchyłam się obolały i powoli kładę na plecach. Jeszcze tylko wyprostować nogi i złapać oddech. Wtedy nagle jesteś i jest ciepło, radość, czułość, ulga. Moja skóra rośnie od twojego dotyku i tak zostaje. Błogosławieni, którzy usłyszeli, tylko usłyszeli, i uwierzyli. W okamgnieniu,

niewidzący, na okamgnienie. Słyszę: - To nie ja zginąłem, jestem, ja żyję, czujesz? Ciepło niedotknięcia, ukojenie - jesteś. Słyszę, czuję, wiem, chociaż nie rozumiem. Chcę zapytać - „, nic się nie stało?” - twoja ręka bliskością dotyku zamyka słowa w moich ustach. Brak tchu i oddechu dławi tak samo jak wtedy, kiedy usłyszałem gromowe WYBIERAJ.

Znowu ścierpnięty szloch i skurcz w brzuchu, gardle, płucach, mózgu. Nie chcę wybierać, zwolnij mnie, Panie, przecież wiesz, że największe nieszczęście to nie wyżyć życia. Babcia mówiła, pamiętam: - anosim, nosim, we'faf. Z mężczyzn, kobiet i dzieci one są najważniejsze, spośród nich mam wybierać. Mam? Przecież już wybrałem, przecież to dlatego przeżywam w tym śnie - nie - śnie ulgę, radość i spokój. Nie chcę wybierać; o, nie ma tak dobrze, jesteś człowiekiem, więc musisz. Wepchnięty na skrzyżowanie dróg, jeśli wybiorę którąś, odrzucam inne. I jestem przeklęty, chociaż mój wybór nie miał żadnego znaczenia, wszystko stało się, jak stało: nie ma ciebie, właśnie ciebie.

\*

„...bym ja, bo kto inny, przywrócił go do życia...”

G. Grass (z przemówienia na uroczystości wręczenia Nagrody Nobla)

Najpierw listy, dokumenty i fotografie, to będzie najbardziej bolało. Taki niby jestem porządnicki, a sprzątania nie cierpię. Trudno.

Prawie codziennie rozpalałem pod płytą - drzazgi, drewno, węgiel i dopiero papiery. Powąchałem obwiązaną wstążeczkami paczkę listów mojego ojca, położyłem na rozżarzonych węglach i czekałem, aż się spali. Listy ode mnie znałem, więc tylko wyciągnąłem przedwojenną pocztówkę z pobytu z babcią w Zakopanem i przeczytałem dziecinne zachwyty nad górami. Mój podpis ze słowami „całuje, kocha,

miłuje" ścisnął mi serce. Do pieca! Cztery pudełka listów od Feli, wszystkie w kopertach z powycinanymi znaczkami i ponumerowane, przejrzałem. Bez trudu odnalazłem te, które mnie kiedyś bawiły; były w nich opisy dwóch romansów wujka i portrety jego kochanek, które na rysunkach Feli wyglądały jak cudowne maskary. Miała dobrą kreskę ta moja francuska ciotka, mogłaby się wybić, gdyby nie miłość, małżeństwo, dzieci. Pośmiałem się trochę i pomyślałem, jak bardzo były sobie bliskie i czy Fela także przechowuje listy siostry i co też może w nich być. Do pudełek dołączyłem album z fotografiami, pocztówki i kopertę z kosmykiem rudych włosów mojego ojca, a może moich. Znowu rozpałiłem w piecu.

- Zdązysz? - zapytała Alina, przypatrując się moim porządkom. Jej zdaniem niepotrzebnie się cackałem ze starociami, ale ja trzymałem się swego. Nie chciałem niczego wyrzucać na wysypisko śmieci, wolałem ogień. Może trochę się grzebałem, niedługo miała przyjechać Ewa, Alina postanowiła oddać jej pokój mamuśki, chciała go urządzić, więc mnie poganiała.

- Zdążę, nie bój się - odpowiedziałem ugodowo. Od dnia tamtej czerwcowej burzy z wielką ulewą całe wieczory poświęcałem porządkowaniu rzeczy mojej matki. Przez sześć lat nie pozwalałem nic ruszać w jej pokoju, nie było zresztą potrzeby. Łapa przeniósł się do pokoju Tobiego, Mat i Marek dobudowali pawilon do północnej ściany domu i tam urządzili sobie pracownię z „aneksem mieszkalnym”, ja siedziałem u siebie w „ciemnicy”, Alina urządziła salon po swojemu, wszędzie było przestronnie i nawet jak przyjechał Japa z Anką i dziećmi, nie było kłopotu.

Musiałem jednak przyspieszyć, bo upały i moje nocne ogniska trochę denerwowały Alinę. Coraz szybciej przeglądałem papiery. Spaliłem już wszystkie dokumenty,



świadczenia i dyplomy. Odłożyłem na bok okupacyjną kenkartę matki i jej prawdziwą metrykę(?) - według tego świadectwa była o dziesięć lat starsza. Hm. Hm. Zastanawiałem się, co też może być w zalakowanej kopercie, ale jeszcze nie miałem siły, żeby ją otworzyć. Myślałem, jak matce udało się przechować tyle pamiątek z całego życia, gdzie je trzymała i jak dawała sobie radę w czasie wojny. Przyglądałem się papierom, które nic mi nie mogły powiedzieć. Co czuła młoda piękna kobieta, wyciągając papiery na żądanie - Ausweis bitte! Schnell, schnell! Świadectwo pracy, tak, przecież była zatrudniona, mówiła, w pralni otwockiego sanatorium. Opowiadała, że jak zachorowała, to mogła tam sobie poleżeć dzięki pomocy znajomego lekarza. Na co chorowała? Spaliłem już teczkę z napisem „Choróbska”, nigdy się nie dowiem. Zezłościłem się i wsadziłem do pieca moje wiersze, które przechowywała, podarłem i spaliłem rysunki z czasów, gdy jeszcze rysowałem. Siedziałem i wrzucałem w ogień notesy z telefonami, nazwiskami, adresami, rachunkami i wszystkie kalendarzyki - od 1938 roku. Czekałem, aż się spalą, popychałem je pogrzebaczem na środek paleniska i myślałem o telefonie Japy - dowiedział się, co trzeba zrobić, żeby dostać się na studia z gemmologii w Santa Monica. Trudno, niech to kosztuje, ale muszę wysłać tam Ewę.

Teraz chciałem nie myśleć i jak najszybciej skończyć porządki, które coraz bardziej upodabniały się do moich snów o sprzątaniu cudzych mieszkań: opowiadałem te sny matce, a ona ich nie cierpiała: zwykle wkradałem się do półznajomego domu, odkrywałem złoża zleżalej pościeli w komodach, stęchłe ubrania w szafach, serwantki pełne szkła i porcelany okropnie zakurzonej, chodziłem po podłogach pokrytych skorupą błota i zgniłej krwi, odgarniałem sterty zepsutego jedzenia, myłem wszystko śmierdzącymi ścierkami, lejąc

potoki pianistej wody, uciekałem przez zakamarki przejść do ukrytych pomieszczeń, w których czekało na mnie sprzątanie, i kradłem z nich jakieś rzeczy, cenne bibeloty; zwykle brałem za dużo i już nie mogłem się ruszyć, zostawałem chciwy, zaborczy, brudny i okrutnie zmęczony.

Trzeba to wreszcie skończyć, już niewiele zostało. Za tydzień przyjeżdża Ewa, ma zamiar zdawać na hebraistykę. Muszę przesunąć książki na półkach, wszystkie podziemne wydawnictwa przenieśliem już do siebie. Zabrałem z biurka kilka zeszytów zapisanych pismem mamuśki, ponumerowanych i zatytułowanych „Sny...”, tamtą kopertę jeszcze zalakowaną, parę fotografii i wrzuciłem wszystko do mojej skrzyni. Później zobaczę, co tam jest. Teraz kolej na panią Lodę z odkurzaczem i na Alinę, niech przygotuje świeżą pościel.

\*

„Bo testament tych, którzy zmarli, mocny jest...”  
List św. Pawła do Żydów, IX, 17.

Niedziela, 25 marca 1990 roku, co za dzień! Wczoraj z Oxfordu przyjechał Łapa, dziś był wystawny obiad, goście już sobie poszli, syci i nagadani, została tylko Asia, młodsza siostra Aliny. Ległem zmęczony na kanapie, Łapa obok na dywanie przeglądał odłożone dla niego gazety, chyba trochę przysnąłem, podsłuchując rozmowę siostrzyczek.

- Koniec Jałty w środę! - wrzasnął Łapa i roześmiał się całą gębą. - Dobra ta „Gazeta”. Może ktoś wie, w którą? - dopytywał i nie czekając odpowiedzi, ściągnął ze mnie koc, opatulił się i dalej przewracał stertę czasopism. Nikt się nie odezwał, ja prawie spałem, Alina z Asią rozsiadły się na drugiej kanapie; słyszałem, jak moja żona namawia siostrę, żeby rzuciła posadę i wzięła na swoje nazwisko drugi kantor, który właśnie urzędowała.

- Coś ty, z Grobelnym chcesz się ścigać? - zapytała Asia i nie czekając na odpowiedź siostry, z zapalem opowiedziała, co się dzieje na Marszałkowskiej 72. Alina powróciła do tematu:

- ...ani mi się śni coś takiego... tylko widzisz, to jest dobry punkt... - i była bardziej łaskawa niż zwykle, lecz Asia kręciła nosem, nie chciała rezygnować z etatu, broniła się, że bardzo lubi swoją pracę w korekcie, że ma kłopoty domowe i zaraz zwękslowała rozmowę na opowieść o nowej rozróbce w redakcji „Expressu”. Alina przeczekwała gadkę siostry i zaczęła od początku, jeszcze łaskawiej, łagodnym szeptem:

- ...procent teraz wyższy... od razu będziesz miała na wykup mieszkania dla Piotrka... na Grójecką masz blisko... dam Gryzi na butik...

Łapa szurał gazetami i przeszkadzał mi podsłuchiwać, ale Asia była głośniejsza; z lubością słuchałem, jak napada na Alinę:

- Tyle razy cię prosiłam, żebyś nie mówiła na Oleńkę „Gryzia”, a ty ciągle używasz tej głupiej ksywy, jakbyś nie wiedziała, że mnie to... sama wiem, co moja córka wyrabiała, że ćpała i zmarnowała parę lat życia, ale to nie powód, żebyś ty tak ją...

Alina krzyknęła: - Asiu! - dalej nie usłyszałem, ale i tak wiedziałem, że chwyciła siostrę w ramiona, całują się, jakieś bla - bla - bla, kwa - kwa - kwa, Asia siąka nosem, moja żona mruczy uspokajająco: - i weź te parę milionów teraz.

- Co jest z tą Jałtą? - upierał się Łapa. - Nikt nic nie wie?

Jakoś rozkleiłem usta i prawie bez trudu powiedziałem:

- Nie wiem nic więcej, niż napisali, ale Mazowieckiemu dobrze idzie, naprawdę dobrze.

- No to fajnie, tylko co z Jałtą, kiedy? - upierał się Łapa.

- Daj mi spokój, czytaj - stęknąłem. Trochę mnie ten wysiłek oprzytomnił, pomyślałem o inflacji i że dobrze

ulokowałem pieniądze, stopy procentowe wysokie, zacząłem liczyć w myśli i o mało nie zasnąłem znowu. Za dużo zjadłem tych francuskich kluseczek, takie były dobre z cielęcina i sosem, a szparagi strasznie drogie. Nie powinienem tyle jeść i leżeć po obiedzie, brzuch mi znowu urośnie. Chciało mi się jeszcze zdrzemnąć, ale trzeźwił mnie chłód. No tak, nasz astronom zabrał mi koc, zimno. Sięgnąłem po poduszkę i postanowiłem: zaraz wstanę i rozpalę pod płytą, i byłbym zasnął z poduszką na brzuchu, gdyby Łapa znowu nie zaczął:

- Mówię i mówię, nikt nie odpowiada. Co jest z wami, chcę wiedzieć, kto zjadł miód?!

Nawet się nie roześmiałem, gdy Asia odkrzyknęła:

- Wałęsa! - i całkiem serio opowiedziała Łapie, jak to sławny elektryk szykuje się na prezydenta i co się dzieje w redakcji „Tygodnika Solidarność”: - Panegiryk piszą o nim, wiesz? - i już sypnęły się informacje, plotki, wydumki, nazwiska, epitety, ochy i achy; Łapa aż usta otworzył:

- No, no, co też ciocia mówi? - i Asia z rozpędem sypała plotkę za plotką.

Słuchałem zaciekawiony; spośród sióstr Aliny tylko Asię polubiłem naprawdę, chociaż mówiła o mnie „synalek”. Zawsze podziwiałem jej wspaniały biust i niezwykłą zdolność zapamiętywania szczegółów; czasami gubiła kontekst zdarzeń, czasami wręcz go ignorowała, wtedy lubiłem się z nią droczyć i wmawiać, że coś wiem właśnie od niej i bardzo mnie bawiło jej zdumienie, spływające z oczu niczym ogromne łzy, i okrzyki:

- Ja? Ode mnie? Że ja tak sądzę? - z oburzenia ścisnęła piersi rękoma, niczym dyndające piękne kule, i ja wtedy wyobrażałem ją sobie nago. Kiedyś przybiegła z „Gazetą Wyborczą” datowaną mylnie na czwarty styczeń 1989 roku. - Widzisz? Na pierwszej stronie! - triumfowała. - Przecież ich

wtedy jeszcze nie było!! Co za korekta, dobrze im tak, nie chcieli mnie przyjąć, niech mają - pieniała się.

- Byli, byli - zaprotekowałem, ale ona na moją gadkę, co było, gdy „Gazety” jeszcze nie było, machnęła ręką, uważała, że to już nie ma znaczenia, dla niej ważny był tylko ten straszny korektorski błąd.

Siedziałem sobie przy kuchennym piecu, było ciepło, panie zajęły się żurnalami, małe żywicne szczapki i okruszki dymiały odurzająco, na płycie parzyła się kawa, za oknem dżdżysto i zimno, myślałem już tylko o tym, co by tu jeszcze spalić. Alina widać postawiła na swoim, bo roześmiana podsuwała siostrze duży kawałek czekoladowego tortu. Mrugnąłem na Łapę i przyciągnęliśmy wielką paterę na naszą stronę stołu. Już, już łapczywa łapa zagrabiłaby cały kawał tortu, gdy moja ręka śmignęła razem z widelcem i oderwała prawie połowę; roześmiał się z uznaniem i wskazał na pozostałość - okrągły środek ozdobiony garstką konfitur z rajskich jabłuszek, obaj wiedzieliśmy, że to dla pani Lody, na jutro.

Alina z Asią wybierały się do kina, na „Emmanuelle”, ktoś miał po nie przyjechać; Łapa wyraźnie czekał na ich wyjście, mnie było wszystko jedno, choć czekania nie lubię. Wypiliśmy z Asią po lampce koniaku do kawy, znowu pomyślałem o pieniądzech i byłbym zaczął liczyć w pamięci odsetki, ale przypomniał mi się wierszyk mojej babci. Prawie zapomniałem, jak to szło: - stało sobie klajne bucherl przed ogromnem bankiem/ was iz due tate luber?/ hir iz gielt giehan gien - nie mogłem przypomnieć sobie wywodu ojca tłumaczącego dziecku, że na pieniądzu stoi cały świat - tylko zakończenie: - a ja myślał, że on z kulkiem lata/ toś ty głupi majn bucherle/ to ty nie znasz świata. Leniwie dłuhałem w głowie, chcąc wygrzebać słowa ojca o ziemskich porządkach, nie udało mi się, trudno, poszukam potem w skrzyni. Nie

chciało mi się sięgnąć po kalkulator, więc znowu zacząłem w pamięci liczyć odsetki od swego kapitału, chciałem sprawdzić, czy starczy mi za dwa lata na auto dla Ewy.

Już wychodziły. Asia, na pożegnanie całując mnie w policzek, zapytała:

- Gdzie kupiłeś tę cielęcinę?

- Na ulicy - przyznałem się - no bo widzisz, coś ta nasza baba nie przychodzi, a to był naprawdę ładny udziec...

- Popatrz, popatrz, a tak się zarzekałeś - zakpiła. - „Nigdy w życiu!”, terefere. Do nas pani cielęcina też nie przychodzi, czarny rynek się załamał, ale na bazarku mam polędwicę ekstra, wątróbki drobiowe, ryby i wszystko świeżutkie. Byle tak dalej, trzymaj się.

Łapa podał mi zmiętą kartkę.

- Masz tu list od Ewy. Do mnie też napisała, jak chcesz, możesz przeczytać. Ona oszczędza na znaczkach, zrób z tym coś, dobrze? Idę do Borsuka, coś mam mu poświadczyć, będę wieczorem, chcę zobaczyć w telewizji ten film o Żydach polskich. Cześć.

Dołożyłem drewek do pieca i sięgnąłem do skrzyni. Odsunąłem na bok listy Ewy, jej rysunki i fotografie, pod spodem była tamta zalakowana koperta. Pora zajrzeć. Odłupałem pokruszony lak i wysypałem zawartość na stół; niedużo tego było, jakieś wizytówki, pocztówki, list do mnie:

Józik, synu mój, masz brata. Urodziłam go piątego sierpnia czterdziestego piątego roku, odkarmiłam i zostawiłam rodzinie. Jego ojciec był Niemcem, to on mnie znalazł, dał jeść, napoił, wyleczył, wyciągał wszy z moich włosów, ukrywał. Nie wierzyłam, że płacze z żalu nad światem, ale pocieszyłam go sobą. Wiedział, że jestem w ciąży, kazał jechać do jego rodziny w Aachen i tam czekać. Nie wrócił z frontu w Ardenach, nie wiem, jak zginął, nie chciałam słuchać, był bardzo młody, piękny, dobry. Zostawiłam dziecko

jego rodzicom i uciekłam. To mój grzech, nigdy się do nich nie odezwałam, Joachima widziałam dwa razy. Masz jego wizytówkę, łatwo go odnajdziesz. Zrób to za mnie, ja nie dałam rady. Miałam ciebie i...

Przejrzałem wszystkie papiery, wybrałem, co było potrzebne, i zacząłem szykować się do drogi.